tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 33 (1388)
10-16.08.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

KMDR MAKSYMILIAN DURA
KUPUJEMY DROGO I BEZ SENSU

PROF. PIOTR KIMLA
LEKCJE Z NOLANOWSKIEJ „ODYSEI"

HELENA KOWALIK
PROCES, KTÓRY PRZEJDZIE DO HISTORII

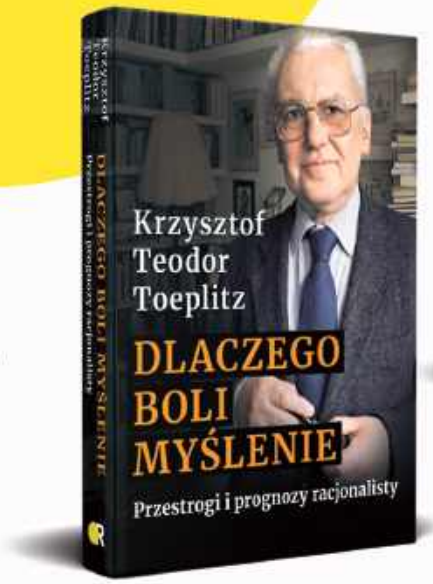
MICHAŁ KOTAŃSKI
TEATR TELEWIZJI
NAJWIĘKSZA SCENA ŚWIATA

POLSKI KLER
PAŃSTWO W PAŃSTWIE

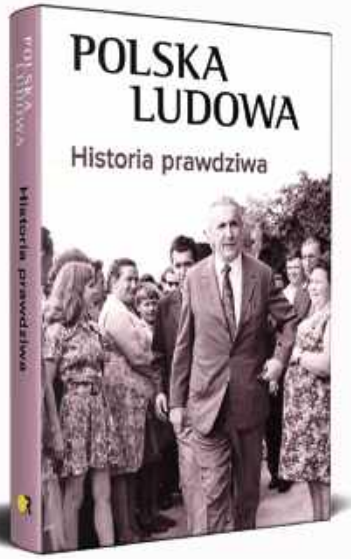
ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

Wakacje z książką PRZEGLĄDU

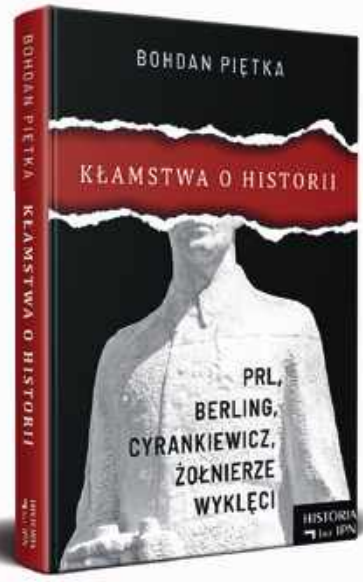
20% taniej











Promocja obowiązuje do 30 sierpnia 2026 r.

sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ec8301456a



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Bareja by tego nie wymyślił

Podobno w Polsce każdy powód jest dobry, by świętować. Najchętniej wtedy, gdy trafi się sponsor. Z tym prezydent Nawrocki nie ma problemu. Stoi za nim najbardziej rozbudowana i najdroższa w historii kancelaria. I armia urzędników skrojonych na jego podobieństwo. Poświętował więc, choć świętowanie roku prezydentury to żenada. A pochwały wygłaszane pod adresem jednorocznego jubilata były jak z filmu Barei. Modelowe zakłamywanie rzeczywistości.

Nawrocki wyciągnięty z kapelusza Kaczyńskiego wygrał wybory o włos. Poparło go tylko trochę więcej wyborców niż Trzaskowskiego. A prawdziwego wyniku wyborów prawica nie chciała sprawdzać. Przegrany kandydat, który nie liczył się z porażką, i popierający go obóz polityczny nie mieli wystarczającej determinacji, by żądać powtórnego przeliczenia głosów. Trzeba było to zrobić – mimo jazgotu i presji ze strony tych polityków, którzy poparli Nawrockiego.

Powtórne liczenie głosów w wyborach amerykańskich staje się już rutyną. Największy wielbiciel Trumpa na świecie nie powinien więc mieć z tym problemu. Chyba że zna ludzi, którzy mają zakulisową wiedzę o wyborach.

Prezydent Nawrocki szczyci się szczególnymi relacjami z Trumpem. W lizusostwie i poddaństwie wobec niego nie ma konkurencji. A co z tego ma Polska? Wasalne relacje. Drogie, coraz droższe zakupy amerykańskiej broni. Paliwo, za które z powodu wojny Trumpa z Iranem płacimy wygórowane ceny. I szantaż ze strony Amerykanów, by w żadnym wypadku nie opodatkowywać big techów. Gdziekolwiek się rozejrzeć, tam im do czegoś dopłacamy. Patronem tego poddaństwa jest właśnie Nawrocki. Wystarczyło mu 12 miesięcy, by oderwał się od ziemi. Uwierzył, że jest europejskim Trumpem. I że to właśnie on ma sięgnąć po ponadkonstytucyjną władzę. Tak, by jego pomysły, jak u Trumpa, miały moc sprawczą. Chciałby być także nieformalnie premierem i rządzić państwem.

Czego dowiedzieliśmy się o Nawrockim po roku prezydentury? Trudno znaleźć większego szkodnika w sprawach dotyczących strategicznych interesów państwa. Licznik jego wet to dowód szaleńczego wyścigu. Byle tylko zaszkodzić rządowi Tuska. Wetowanie programu SAFE jest światowym kuriozum. Zwierzchnik sił zbrojnych blokujący gigantyczne środki na armię to zachowanie, którego nie da się pojąć ludzkim rozumem. Większość wet Nawrockiego uderza materialnie w kieszenie Polaków. I utrudnia im życie.

Gdzie mogłaby być dziś Polska, gdyby nie ta osobliwa prezydentura? Z obsesjami na punkcie Trybunału Konstytucyjnego, blokowaniem sądownictwa, utrudnianiem życia związkom partnerskim i paraliżowaniem dyplomacji? Nawrocki tak bardzo ośmieszył urząd prezydenta, że coraz częściej słyszy się, że powszechne wybory prezydenta w Polsce są całkowicie bez sensu.

I tak człowiek ze snusami w ustach coraz bardziej staje się karykaturą.

BĄKOWSKI



eprasa.pl ec8301456a

W NUMERZE

KOŚCIÓŁ
8 **Polski kler, czyli państwo w państwie**
– rozmowa z prof. Tadeuszem Bartosiem

KRAJ
13 **Fałszywa pamięć wielkiej klęski**
Skradziona powaga rocznicy powstania
15 **Błaszczak minister katastrofa**
Niebezpieczna zabawa w wojsko
19 **Kupujemy drogo i nie na tę wojnę, która nam grozi**
– rozmowa z kmdr. Maksymilianem Durą
22 **Bo ludzie mówili**
Kłamstwa w wieloletnim procesie
26 **Wojna o talerz**
Bariery dla polskiej żywności

OPINIE
30 **Piotr Kimla**
Trzy polityczne lekcje z „Odysei” Christophera Nolana

HISTORIA
32 **Nędza antykomunizmu**
Kto zbuduje zgodę narodową?
36 **Pułkownik od siedmiu grzechów**
Zbigniew Załuski – żołnierz i publicysta

ZAGRANICA
40 **Kto pilnuje granic Europy**
Ceuta – migracyjne miejsce zapalne
44 **Niewolnicy włoskich pól**
Caporalato – przestępczy system

KULTURA
46 **Czasami czuję ten ciężar**
– rozmowa z Michałem Kotańskim
49 **Qulturalia**
50 **Józef Pankiewicz**
Wszystkie style malarza
66 **Jacek Żebrowski. Plakaty**

OBSERWACJE
52 **Stąd, czyli z Bielska Podlaskiego**
Miasto od „Znachora”

SPORT
56 **Jaga ograła Glasgow Rangers**
Kiepskie widoki w europejskich pucharach

ZWIERZĘTA
58 **Czujny jak ważka nad Narwią**
Raj w rzecznej dolinie

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Bareja by tego nie wymyślił
29 **Jan Widacki**
Internet a demokracja
39 **Roman Kurkiewicz**
Hiroszima, wymazane ludobójstwo
43 **Tomasz Jastrun**
Pożytek z nieszczęścia
61 **Wojciech Kuczok**
Pogwarka z nietoperzem



30
OPINIE

PIOTR KIMLA
Trzy polityczne lekcje z „Odysei” Christophera Nolana

46
KULTURA



CZASAMI CZUJĘ TEN CIĘŻAR
– rozmowa z Michałem Kotańskim



58
ZWIERZĘTA

CZUJNY JAK WAŻKA NAD NARWIĄ
Raj w rzecznej dolinie



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS, WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER, WIKIMEDIA, M.LASYK/REPORTER

eprasa.pl ec8301456a


WOJNA NA PRAWICY
Czy Mateusz Morawiecki wywróci stolik, czy sam się wywróci?

Wojna na prawicy

Trudno rywalizować z politycznymi dinozaurami – Kaczyńskim i Tuskiem. To bezcelowe. Oni już wiele namieszali w polskiej polityce, nie potrafiąc załatwić spraw fundamentalnych, jak poprawa funkcjonowania ochrony zdrowia, sytuacji w oświacie i nauce czy problemu mieszkalnictwa. Nie potrafili również uregulować relacji z Ukrainą, która niezbyt szanuje nasz kraj. Potrzebna jest zmiana pokoleniowa, także w kierownictwie Nowej Lewicy. Ludzie ci z pewnością nie przyciągają młodych wyborców (…).

Damian Paweł Strączyk

Zdrowie bez zysku albo zysk bez zdrowia

Nie zgadzam się z diagnozą prof. Andrzeja Szahaja. Trudno twierdzić, że to „mechanizmy rynkowe zawiodły", skoro publiczna ochrona zdrowia finansowana przez NFZ nie funkcjonuje na zasadach wolnego rynku. Ceny świadczeń, zasady kontraktowania, limity i sposób finansowania są w ogromnej mierze ustalane administracyjnie przez państwo i urzędników, a nie przez mechanizmy rynkowe. Można dyskutować o wadach obecnego modelu, ale nie przypisujmy ich rynkowi, który w tym obszarze działa jedynie w bardzo ograniczonym zakresie. Nie oznacza to, że rozwiązaniem jest prywatyzacja ochrony zdrowia – to odrębna kwestia. Po prostu warto trafnie nazwać problem: jeśli system jest przede wszystkim centralnie regulowany, to jego niedomagania trudno uznać za dowód porażki wolnego rynku.


Andrzej Szahaj
Zdrowie bez zysku albo zysk bez zdrowia

Iwona Olczyk

„Jednak, jak znam życie, żadnych głębokich zmian nie będzie". Też tak uważam. Dla rządu Donalda Tuska ważniejszy jest wyścig zbrojeń – kto więcej z PKB przeznaczy na bezużyteczny amerykański złom. Dobrze dla nich też jest, że mają PSL w koalicji, i prezydenta Nawrockiego. Mają alibi! Należałoby – moim zdaniem – reformę zdrowia zacząć od likwidacji przywilejów zdrowotnych dla mandarynatu rządowego (klinika rządowa itp.). Gdyby postali trochę w kolejkach jak zwykli ludzie, z pewnością zaczęliby działać na rzecz poprawy ochrony zdrowia.

Józef Brzozowski

Wojna jako model biznesowy

I oto jest odpowiedź na nurtujące mnie od dawna pytanie – dlaczego od wybuchu „wojny pełnoskalowej" nie ma żadnej, najdrobniejszej wzmianki o toczących się jakichkolwiek próbach zażegnania konfliktu drogą pertraktacji i politycznego wygaszenia konfliktu. Dla nikogo z możnych tego świata wizja pokojowego rozwiązania nie stanowi głównego i pożytecznego celu. Rozkręca się machina zbrojeń, handlu mediami strategicznymi. I manipuluje się naszą świadomością. Wmawia się, że 5% PKB bardziej wystraszy domniemanego agresora niż 2% czy 3%. Wmawia się nam, że zagrożenie rośnie z dnia na dzień w szalonym tempie, jednocześnie informując, że domniemany agresor coraz bardziej słabnie. W informacji z zaatakowanego Kijowa dziennikarz TVN, pokazując jakieś szczątki, mówi: rosyjska rakieta i zaraz szybko dodaje: a może fragmenty zaparkowanego samochodu. A korupcja wojenna jest tematem tabu.


Wojna jako model biznesowy

Tadeusz Żyła

ZDJĘCIE TYGODNIA



Bartłomiej Kubkowski po starcie w Szwecji, płynąc wpław bez przerw przez 55 godzin, pokonał prawie 160 km i dotarł do plaży w Dziwnowie (woj. zachodniopomorskie). Swój wyczyn zadedykował podopiecznym Fundacji Cancer Fighters. Dziwnów, 2 sierpnia 2026.

FOT. PAP/MARCIN BIELECKI

eprasa.pl ec8301456a

Na **141,5 tys. czynnych zawodowo lekarzy** ok. 70% prowadzi prywatną praktykę lub pracuje na umowach B2B.

•

434 tys. ha lasów spłonęło w tym roku na terenie Unii Europejskiej.

•

Prezydent Trump wycofał się z obietnicy złożonej Ukrainie, że dostanie licencję na produkcję rakiet Patriot.

•

7,2 mln osób skorzystało w 2025 r. z programów bezpłatnych leków dla seniorów.

•

W sześciu gminach w Polsce ponad 26% mieszkańców stanowią cudzoziemcy. Są to: **Raszyn** i **Mława** (mazowieckie), **Ustronie Morskie** (zachodniopomorskie), **Mikstat** (wielkopolskie), **Głowno** (łódzkie) i **Jelcz-Laskowice** (dolnośląskie) **(„Rzeczpospolita”).**

•

Modernistyczne Centrum Gdyni o powierzchni 87,9 ha zostało wpisane przez komitet UNESCO na prestiżową **listę światowego dziedzictwa**. Jako jeden z najlepiej zachowanych przykładów nowoczesnego miasta portowego na świecie.

•

W 2025 r. koszty podstawowych zadań realizowanych przez samorządy (drogi, szkoły, komunikacja publiczna, usługi komunalne) wyniosły ok. 371 mld zł. W tym wynagrodzenia ze składkami – 176,4 mld zł.

•

31-letni **Bartłomiej „Foka” Kubkowski** w piątym podejściu przepłynął wpław Bałtyk. Prawie 55 godzin zajęło mu pokonanie 160 km morza.

•

Wiktoria Ptak z Supraśla, studentka medycyny, zdobyła tytuł Miss Polski 2026.

•

Pogorszyła się punktualność pociągów PKP. Do celu zgodnie z rozkładem dociera 50-60% składów.

•

W Chicago, nowym miejscu gry Roberta Lewandowskiego, i w okolicy mieszka ok. **700 tys. osób deklarujących polskie pochodzenie**. Ale w liczącej 50 członków radzie miejskiej nie ma nikogo.

•

21% produkcji mięsa drobiowego w Unii Europejskiej to udział Polski. Prawie 5 tys. zakładów hodowlanych wyprodukowało w 2025 r. w sumie 3,32 mln ton.

•

356 egzekucji przeprowadziły władze Arabii Saudyjskiej w 2025 r. Prawie wszystkie wskutek wyroków za handel narkotykami.

•

W 2025 r. do aresztów śledczych przed skierowaniem sprawy do sądu trafiło prawie 18 tys. osób. Ponad 500 osób czeka tam na prawomocny wyrok po kilka lat.

•

Będą podwyżki stawek notarialnych. W Polsce działa 3507 kancelarii notarialnych, zatrudniających 4297 notariuszy.

•

Najwyższe ceny gruntów ornych w obrocie prywatnym są w Wielkopolsce – wynoszą średnio **97,3 tys. zł za 1 ha**, a za najlepsze ziemie – 123,3 tys. zł. Najtaniej można kupić ziemię w woj. zachodniopomorskim – 43,6 tys. za 1 ha.

•

27 września odbędą się przedterminowe wybory prezydenta Krakowa.

PRZEBŁYSKI



Komu dawał Jabłoński?

„Gnojek robi to tylko dlatego, że jego banda z Solidarnej/Suwerennej Polski teraz ten PiS przejęła”. Któż tak mówi o koledze z partii? Po stylu można poznać, że jest to adwokat z Radomia Paweł Jabłoński. A tym, którego Jabłoński wziął pod obcas, był Michał Woś.

Za Jabłońskim, który był wiceministrem spraw zagranicznych w rządzie PiS, ciągną się oskarżenia NIK i Krajowej Administracji Skarbowej. Co wykryli kontrolerzy KAS? Na 550 stronach raportu o Jabłońskim jest sporo. W ciągu trzech lat MSZ bezprawnie udzieliło 109 dotacji na kwotę 48 mln zł.

Jabłoński rozdawał pieniądze wbrew rekomendacjom 24 ekspertów. Zmienił ich decyzje mejlami, które wysyłał jego asystent. Taka chytra sztuczka adwokacka. Chowanie się za plecami człowieka, któremu wydawał polecenia służbowe. Decyzjami Jabłońskiego kasa trafiła do Stowarzyszenia Bezpieczna Lubelszczyzna, do Fundacji Leny Grochowskiej (żony właściciela Arche), do Fundacji „Hagia Marina” i wielu innych. Sprawami zgłoszonymi przez KAS zajmuje się Prokuratura Okręgowa w Kielcach. Jabłoński nie będzie miał więc daleko.



Uwierzyć trudno, ale…

Nie wiadomo, co gorsze. Tegoroczne lato czy perspektywa jazdy samochodem? Po tym, co wytropili reporterzy tygodnika „Fakty po Mitach”, chyba lepiej, żeby padało. Zostaniemy w domu i unikniemy podobnych sytuacji. W Namysłowie policja zatrzymała kompletnie pijaną parę. Prowadząca miała 2,5 promila i na widok patrolu weszła do bagażnika. A jej partner, który miał wziąć winę na siebie, schował się pod beczkowozem. W Lublinie pijany 33-latek (2 promile) zostawił auto na środku skrzyżowania i boso poszedł na stację paliw. Zatankował do wiadra i gdy wrócił do samochodu, policja przypomniała mu, że od siedmiu lat ma zabrane prawo jazdy. Z kolei w Radomiu, trzeźwy co prawda, 17-latek kilka godzin po zdanym egzaminie na prawo jazdy gnał BMW w obszarze zabudowanym 103 km/godz. Czeka go więc powtórka egzaminu.

VeloBank liderem zwolnień

Na pytanie, co to są tzw. mieszane uczucia, można podać przykład VeloBanku, następcy Getin Noble Banku. Po przejęciu działalności detalicznej Citi Handlowego VeloBank pokazał się Polakom w licznych reklamach. Na bogato. Kampanie telewizyjne, celebryci, billboardy i Magdalena Różczka. Aktorka zaprasza do królestwa nowoczesności, bezpieczeństwa i wygody. To bezpieczeństwo to dla 950 pracowników VeloBanku ponury żart. Mimo obietnic zarządu stracą pracę. Ludzie, którzy całe życie pracowali w Citibanku, trafiają na bruk. Bo właściciele banków muszą zarobić więcej. Jeszcze więcej.



FOT. SHUTTERSTOCK (2), YOUTUBE

eprasa.pl ec8301456a

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI



PYTANIE TYGODNIA | Czy przywrócenie poboru do wojska staje się koniecznością?

PŁK MAREK PIETRZAK,
rzecznik prasowy Sztabu Generalnego Wojska Polskiego

Obecnie nie ma decyzji o przywróceniu obowiązkowej zasadniczej służby wojskowej – aktualne potrzeby armii zaspokajają formy zawodowe i ochotnicze. Państwo zachowuje jednak taką możliwość prawną, a decyzję podejmuje Prezydent RP na wniosek Rady Ministrów. Siły Zbrojne RP są przygotowane planistycznie do realizacji różnych wariantów. Jeśli sytuacja bezpieczeństwa wymusi rozszerzenie obowiązku szkolenia wojskowego, nie będzie to powrót do dawnej „zetki", czyli zasadniczej służby wojskowej. Ewentualny pobór przybierze formę nowoczesnego, selektywnego i opartego na kompetencjach systemu budowania rezerw oraz odporności całego państwa.

DR HAB. FILIP ILKOWSKI,
politolog, współtwórca dawnej Inicjatywy „Stop Wojnie", UW

Należy stanowczo sprzeciwiać się przywróceniu poboru do wojska. Brak decyzji o powrocie do obowiązkowej służby ze strony polskich władz wynika ze strachu przed oporem społecznym, jaki widzimy np. w Niemczech po zapowiedziach przywrócenia częściowego poboru. Żyjemy w czasach niestabilnych, w których rywalizacja wielkich mocarstw – zarówno Rosji, USA, Chin, jak i państw Europy Zachodniej – napędza wyścig zbrojeń i zwiększa ryzyko konfliktów, realizując własne ambicje w regionie. Prawdziwe bezpieczeństwo da nam nie pęd ku militaryzacji, lecz budowanie międzynarodowego ruchu antywojennego i sprzeciw wobec każdego imperializmu – bez względu na to, czy jego źródłem jest Moskwa, Waszyngton, czy też mały, lecz ambitny, imperializm żebraczy z Warszawy.

MICHAŁ BYDZICKI
psycholog, Młodzieżowy Ośrodek Socjoterapii w Warszawie

Nie mam przekonania, że przywrócenie powszechnego poboru to konieczność. W obecnych warunkach masowy pobór by nie wypalił – jesteśmy na innym etapie społecznym niż kilkadziesiąt lat temu i skończyłoby się to unikaniem służby. Ponadto młodzi między 18. a 21. rokiem życia dopiero kształtują mechanizmy samokontroli i przewidywania konsekwencji. Obronność to przecież nie tylko bieganie z karabinem. Wzorem Szwecji warto stawiać na umiejętności cywilne: od logistyki po radzenie sobie w zagrożeniach. Czas też odrzucić mit, że wojsko to jedyna „szkoła męskości". Pielęgnowanie wizerunku twardego mężczyzny bywa szkodliwe – tłumienie strachu i zamiana go w złość prowadzi do kryzysów psychicznych. Zamiast przymusu potrzebujemy edukacji i realnych zachęt społecznych.

Rozmawiał Maciej Belowski

eprasa.pl ec8301456a

POLSKI KLER czyli PAŃSTWO W PAŃSTWIE



Prof. TADEUSZ BARTOŚ
– filozof, wykładowca Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie

Rozmawia Paweł Dybicz

Czy duchowieństwo w Polsce, oczywiście generalizując, bliższe jest poglądom na swoją wiarę, na naukę Kościoła temu, co myśli społeczeństwo, wierni, i dlatego jest dość odległe od tego, co prezentują ostatni papieże, Franciszek i Leon XIV?

– Środowiska, z których pochodzi polskie duchowieństwo, kształtują jego obraz świata. To, co mogłoby uzupełniać ten obraz poprzez wykształcenie teologiczne, do naszego kleru nie dociera. Gdyby czytali konstytucję *Gaudium et spes*, wiedzieliby, że obok głównej – katolickiej, możliwe są też inne drogi do Boga, że Żydzi, protestanci, ba, nawet ateiści mogą być zbawieni. Kontekst jest taki: katolicy doszli do przekonania, że stracili dominującą pozycję w zachodnim świecie, nie mogli już mówić: jesteśmy centrum świata, a reszta ma do nas dołączyć, bo jak nie, to *anatema sit*. W pluralistycznej kulturze odgórne narzucanie siebie, dyscyplinowanie, stało się niewykonalne, mogło być już tylko śmieszne. Trzeba było więc zejść z piedestału i wejść w interakcję z tzw. światem. Tego wśród polskiego kleru nie ma. Nadal siedzi on na swoich wyimaginowanych stołkach jedynie słusznej racji i chęci bycia monopolistą prawdy. A całość świata ma za zadanie się słuchać.

Czy to wynika z ich wiarołomstwa i nieuznawania tego, co głoszą chociażby wspomniani dwaj papieże? Chcą po prostu, żeby było, jak było? Może więc jednak mówią to, czego wierni chcą słuchać?

– Tak, ale w mówieniu o polskim duchowieństwie trzeba uważać, żeby nie przeintelektualizować. Jeśli chcemy je zobaczyć, musimy spojrzeć najpierw na ks. Rydzyka, na ten typ cwaniactwa, choćby biznesowego, bo to jest wzorzec bycia polskiego kleru. Księża nie są tymi, którzy coś uzasadniają, oni mają swoje kościelne interesy do załatwienia. A tacy, którzy głoszą jakieś teorie, zasady wiary, są nieistotni. Ważni są ci, którzy umieją ogarnąć przedsiębiorstwa, jakimi są parafie, biskupstwa itd. A jednocześnie, co jest ważnym elementem, przyciągają dużo ludzi.

Z biogramów nominowanych na biskupów wynika, że wielu ma za sobą pobyt w Rzymie. I co, wracają do tego, z czego wyszli, zapominając o watykańskiej edukacji?

– Trzeba byłoby na każdą osobę spojrzeć osobno i przyjrzeć się jej karierze biskupiej, zrobionej w wyniku kooptacji. Jeśli jest jakiś młody, podoba nam się, to go pchniemy na studia, później będzie pracował w kurii, a jak się sprawdzi, będzie biskupem pomocniczym, potem diecezjalnym. Czynników wpływających na kościelny awans jest wiele. Opisał to Frédéric Martel w książce „Sodoma", gdzie pokazuje, jak ważną rolę w polityce kadrowej Watykanu odgrywają przyjaźnie i miłości męskie.

Kiedy po Październiku '56 prymas Wyszyński udał się do Watykanu, w rozmowie z ówczesnym sekretarzem stanu ekipę Gomułki nazywał „narodowymi komunistami". Czy, parafrazując, można powiedzieć, że w Polsce mamy narodowych, a nie rzymskich katolików?

– Można tak powiedzieć. Napięcie między Kościołem lokalnym a globalnym zawsze istnieje. Przymiotnik „narodowy" oznacza różne rzeczy. Katolicyzm nie jest przeciwko patriotyzmowi, a nauki kościelne mówią, trochę trywializując, że koszula bliższa ciału. Przed wojną dominikanin

eprasa.pl ec8301456a



O. Rydzyk i Jarosław Kaczyński w Parku Pamięci Narodowej. Toruń, 5 września 2020 r.

Jacek Woroniecki pisał, że naturalnie bardziej się dba o najbliższych, choćby rodaków, niż o tych, których w życiu się nie widziało. To pod wpływem zdroworozsądkowego arystotelizmu. Natomiast nauki powtarzane przez ostatnich papieży, przeciwko skrajnym nacjonalizmom – bo przecież obowiązuje miłość do wszystkich bliźnich swoich, nawet nieprzyjaciół – w Polsce się nie przebijają. Jan Paweł II wiele zrobił w kwestiach odantysemityzowania katolicyzmu. I co? U nas antysemityzm jest nadal żywy. Winne są także braki w edukacji, nieobecność w szkołach prawdziwej historii polskich Żydów. Jeśli zatem transmisja najnowszych osiągnięć nauki katolickiej jest w Polsce niska, to znaczy, że rządzą jakieś lokalne interesy, również tradycje nacjonalistyczne, co widać w odnoszeniu się do obcokrajowców, teraz Ukraińców. Jeśli co chwilę mamy napady na Ukraińców, a Kościół katolicki milczy, nie robi żadnych gestów, o czymś to świadczy.

Dlaczego tak się dzieje?

– Może jest tak, jak pan sugeruje, że duchowni nie chcą się narażać swoim ukochanym, umiłowanym wiernym. Byłoby to tchórzostwo (*timiditas*), przeciwieństwo męstwa (*fortitudo*), jednej z czterech katolickich cnót kardynalnych.

Ja bym powiedział: nie chcą się narażać wiernym sponsorom.

– Wtedy mielibyśmy chciwość (*avaritia*), jeden z siedmiu grzechów głównych, definiowany jako „immoderatus amor habendi" (nieumiarkowana miłość posiadania). Tak że sprawę można ująć fachowym językiem. Są na to paragrafy. Ten mechanizm jest do prześledzenia. Prosta taktyka: jestem proboszczem, zbieram na tacę, mam sponsorów, chcę, a raczej muszę mówić to, co im się spodoba, i co chcą usłyszeć. Nie chcę denerwować ludzi, przychodzą do kościoła, wspierają, czyli jestem w ich kieszeni. Mówiąc językiem kościelnym, muszę zrezygnować z głoszenia Ewangelii.

Dlatego apel kardynałów polskich i ukraińskich o pojednanie spotkał się z dość chłodnym przyjęciem wiernych i większości duchowieństwa.

– Rzeczywiście apel przeszedł bez echa, nie licząc środowisk narodowych, które wręcz wyrażały dezaprobatę. Kardynałowie Ryś, Nycz czy Krajewski mogą coś napisać, ale nie są w stanie spowodować, by nawet podlegli im proboszczowie wykazywali postawę chrześcijańską. Wielu biskupom, także tym z watykańską edukacją, pewne rzeczy nie przejdą przez gardło, bo nie chcą wychylać się ponad świadomość wiernych.

Na awans kościelny wpływa wiele czynników. Martel w „Sodomie" pokazuje, jak ważną rolę w polityce kadrowej Watykanu odgrywają przyjaźnie i miłości męskie.

Powiedzmy, że biskup poleca proboszczom w diecezji: w kruchcie każdego kościoła proszę umieścić plakat z napisem: „Każdy Ukrainiec jest twoim bliźnim. Każdy!". I piękne zdjęcie ukraińskiej rodziny. Ale byłaby jatka, proboszczów na taczkach by wywozili! A może przesadzam?

Czy Kościół w Polsce będzie coraz bardziej przybierał kształt Kościoła radiomaryjnego?

– Poza pojedynczymi, tzw. oświeconymi enklawami, od niepamiętnych czasów miał ducha

eprasa.pl ec8301456a



O. Tadeusz Rydzyk i Mateusz Morawiecki na obchodach 27. rocznicy powstania Radia Maryja. Toruń, 1 grudnia 2018 r.

radiomaryjnego. Zanim pojawiło się Radio Maryja, on już tam był.

Może kiedyś stać się inny?

– Różne są scenariusze. Jeśli jakaś struktura społeczna się zmniejsza, to się elitaryzuje. Młodzi nie chodzą do kościoła, starzy nie dają rady. Następuje wymiana pokoleniowa i zostają tacy bardziej świadomi, oświeceni. To może być czynnik jakiejś zmiany. Problem jednak polega na tym, o czym Jacek Woroniecki pisał w jednym z artykułów o sentymentalizmie, fideizmie i irracjonalizmie polskiego katolicyzmu: wiara to czucie, masz wierzyć, przestań ciągle wszystko analizować, bo to jest „niemieckie mędrkowanie". Katolicyzm w Polsce to nie jest jakieś rozumienie świata, tylko sentymenty, emocje oraz przeżycia: całym sercem za, i koniec. Alternatywą dla niego byłoby tomistyczne hasło: *fides quaerens intellectum* (wiara szukająca zrozumienia). Stąd też dawniej i dziś tak mocna pozycja duchowieństwa, które uznaje za korzystne i słuszne milczeć i się nie określać. Przed wojną Kościół nie wypowiadał się w sprawie antysemityzmu, napadów na Żydów czy getta ławkowego. Uważał, że istnieje zagrożenie żydowskie. Takie było choćby stanowisko przedwojennego Wyszyńskiego. W 1938 r. pisał w „Ateneum Kapłańskim": „Żydzi walczą z Kościołem katolickim, tkwią w wolnomyślicielstwie i stanowią awangardę bezbożnictwa, ruchu bolszewickiego i działalności wywrotowej (…). Wpływ żydowski na życie gospodarcze, prasowe i kulturalne jest wielki i społeczeństwo ma prawo bronić się przed przewagą obcego żywiołu". A na pocieszenie dodawał: „Nie wolno nikogo bić, krzywdzić, prześladować (…). Nawet w Żydzie należy widzieć człowieka i bliźniego". Łaskawca.

Konkordat poddaje niektóre obszary życia w Polsce jurysdykcji Watykanu. Korzyści ma Kościół, państwo żadnych.

A dziś? Księża oficjalnie nie są w stanie wypowiedzieć się w sprawie napadów na Ukraińców. Milczą tak jak ich przedwojenni poprzednicy. Milczą, kiedy nie należy.

Czym zatem tłumaczyć, że nie mając aż takiego wpływu na społeczeństwo, Kościół jednocześnie zajmuje mocną pozycję w państwie? Bo ma silne wpływy wśród ludzi władzy każdego szczebla?

– Na ten problem trzeba spojrzeć z perspektywy historycznej. Lata 80. – w stanie wojennym i po nim Kościół staje po stronie opozycji. Jak się dziś mówi: narodu przeciwko opresyjnej władzy. Rodzi się osobliwa równość: naród-wolność-katolicy-Kościół. Na to nakłada się mit Jana Pawła II, który miał rzekomo doprowadzić do upadku komunizmu. Ta mitologia, choć przecież śmieszna, była nośna. W lata 90. weszliśmy z przekonaniem o Kościele jako instytucji moralnej, stojącej po stronie pojedynczego człowieka. Dlatego rozstrzygnięcia dotyczące relacji państwo-Kościół to wiele ustępstw państwa, w duchu wdzięczności. Najpierw wprowadzenie rozporządzeniem religii do szkół. „No wypadałoby", pomyślał minister Samsonowicz. A potem odezwali się hierarchowie: „Jak to tak, bez pensji? Trzeba płacić katechetom". To także lata funkcjonowania Komisji Majątkowej, kompletnie uznaniowej. Sprawozdania z posiedzeń Komisji Wspólnej Episkopatu i Rządu to katalog żądań biskupów. Opisała to kiedyś Magdalena Środa. Konkordat poddaje niektóre obszary życia w Polsce jurysdykcji Watykanu. Korzyści ma Kościół, państwo polskie żadnych. To jak zależność kolonialna. Stąd i mentalność kleru, że najpierw obowiązuje go prawo kościelne, a nie państwowe. Księża zbierają na

eprasa.pl ec8301456a

tacę i nie muszą z niej się rozliczać, dają koperty biskupom, a więc obrót pieniędzy jest poza kontrolą skarbową. Jak w mafii. To tworzy poczucie kleru bycia państwem w państwie. I niech sąd się odczepi, bo nie mam ochoty się stresować, mówi kard. Dziwisz. „Pani nie ma prawa mnie pytać" – to Dziwisz do dziennikarki. Dobre prawo tworzy właściwe postawy i vice versa.

Ten brak jasnego rozdziału Kościoła od państwa, brak kontroli nad finansami kościelnymi musi demoralizować kler.

– Trzeba sobie jasno powiedzieć, że mamy układ koleżeński: ludzie władzy – ludzie Kościoła. Proboszcz, wójt, burmistrz. Powstają grupy wsparcia. Więzy nieformalne są naturalne, kłopot pojawia się, gdy brakuje przejrzystości, rzeczywistej autonomii władz wobec kleru.

Od lat twierdzę, że gdyby w Polsce jakaś władza ogłosiła, że będzie literalnie respektować konkordat, to na kler padnie blady strach, bo uzyskał korzyści, które wykraczają daleko poza zapisy umowy z Watykanem.

– Rządy się zmieniają i nikt jakby tego nie widzi.

Wszystkie badania, nawet kościelne, pokazują laicyzowanie się społeczeństwa: najmniejszy udział w mszach, coraz mniej uczniów na lekcjach religii i ślubów zawieranych w kościele. Wśród Polaków Kościół traci, ale relacje ludzie władzy – hierarchia kościelna są stałe.

– U nas jest to naturalny stan symbiozy Kościoła z państwem. PiS ją jeszcze zwiększyło, przeznaczając setki milionów złotych na przedsięwzięcia Rydzyka i innych księży. To kupowanie sobie kleru było bezwstydne.

Dostrzega pan w polskim społeczeństwie jakieś przejawy buntu, że tak być nie może, że rozdział Kościoła od państwa jest fikcją i jesteśmy niemal państwem teokratycznym?

– W Polsce można zaobserwować ciekawe zjawisko. Społeczeństwo się laicyzuje, a nie rozwijają się szersze ruchy dążące do rozdziału Kościoła od państwa. Wierni odchodzą po cichu. A lewica milczy. Nie ma żadnej sensownej konceptualizacji ideowej świeckości państwa, jakiegoś projektu i wizji, która mogłaby czekać na lepsze czasy.

Postępująca laicyzacja jest zjawiskiem kulturowym, Kościół katolicki w Polsce bardzo dobrze do niego się przygotowuje, w sensie zabezpieczenia finansowego i inwestycyjnego. Z punktu widzenia Kościoła ta sytuacja wygląda tak: jest dużo budynków kościelnych i ludzi do utrzymania, a zmniejszają się wpływy. Trzeba zatem inwestować w stałe dochody, czyli nieruchomości – Nycz Tower czy inne takie rzeczy. I to jest ta odpowiedź Kościoła na laicyzację.

Gdy obserwuję zachowanie biskupów, dochodzę do wniosku, że kler przyjął taktykę przeczekania. Myślenia, że po okresie współczesnej reformacji przyjdą dla niego dobre czasy, swoistej kontrreformacji.

– Jest teoria głęboko wierzących katolików, którzy mówią, że religia wraca, bo np. we Francji w zeszłym roku kilka tysięcy dorosłych przyjęło chrzest. Tylko że Francja ma 60 mln obywateli, a praktyki religijne katolików to kilka procent. Ta odnowa będzie się kręcić wokół tych kilku procent. Nie będzie tak, że 70-80% katolików we Francji zacznie znów chodzić do kościoła. Podobnie w innych krajach europejskich. Już nie wróci to, że kler panuje nad sposobem życia i myślenia 70-80% populacji. To *se ne vrati*. W XIX w. Pius IX mówił, że wynalazek prasy jest chory (*insane*), ponieważ ludzie, słuchając sprzecznych opinii, nie będą widzieć, co myśleć. Niegdyś kanały przekazu kształtowania ludzi były wąskie i zmonopolizowane. Pojawienie się prasy, telewizji, teraz internetu spowodowało, że głos jednego nurtu wyznaniowego, Kościoła katolickiego, luteranów, kalwinów, anglikanów itp. się nie przebije. Owszem, w totalitarnych systemach, jak w Iranie i krajach arabskich, jest potencjał rozwoju opresyjności. A w Chinach kontrola zachowań coraz bardziej technologiczna: wszędzie kamerki, ujemne punkty za przejście na czerwonym świetle itd. Można za pomocą technologii sterować ludzkimi zachowaniami. Ale to nie jest religijne odrodzenie. Wielki Brat przestał być pobożny.

W tym roku w Polsce ukazała się książka Garetha Gore'a o „Opus Dei". Opisy przekupstwa, zbrodni... Straszne rzeczy. Czytelnik będzie się zastanawiał, jakie ta organizacja ma powiązania w Polsce.

– Jakie są wpływy Opus Dei w Polsce? Tu niewiele mogę powiedzieć, bo oni się kryją.



35. Pielgrzymka Rodziny Radia Maryja na Jasną Górę. We mszy z udziałem polityków związanych ze środowiskiem TV Trwam i radiem uczestniczył Zbigniew Bogucki (w środku). Częstochowa, 12 lipca 2026 r.

eprasa.pl ec8301456a

To taka katolicka masoneria?

– Są dyskretni. Nikt się nie ujawnia. Członkowie są oceniani za skuteczność werbunku. Zaprzyjaźniają się z ofiarami w złej wierze, by je upolować. W Polsce są domy tej organizacji. Znam akademik w Krakowie. Jest zdolny student, namierza go nauczyciel akademicki: mamy akademik, zamieszkaj u nas, to korzystne finansowo. I zaczyna się nagabywanie: nabożeństwa itp. Niektórzy w to wchodzą, inni uciekają, nie wytrzymują. Target: elity prawne, ekonomiczne i medialne. Trzeba dotrzeć do tej gazety, do ministerstwa i tam łowić. Dla Jezusa oczywiście. Watykan mógłby takie organizacje przystopować, ale ich wpływowość polega na tym, że dość mocno finansują Watykan, który zwykle jest pod kreską.

Biskupie i kardynalskie nominacje Franciszka i Leona XIV to swoiste przetrzepanie układu personalnego w Polsce, który stworzył Jan Paweł II?

– Polskie nominacje dawniej wisiały na nuncjuszu Kowalczyku, swoje robił kapciowy Dziwisz. Selekcja była osobliwa. Nasza biskupia elita to nie są najlepsi z najlepszych kleru. Teraz mamy pojedyncze nominacje duchownych, uważanych za oświeconych, ale one nie mają większego znaczenia. Jeden czy drugi biskup, nawet kardynał, nie zmieni antyintelektualizmu i merkantylnego nastawienia kleru. Oczywiście ktoś powie: mogło być gorzej, bo papież mógł wybrać innych, np. biskupem w Krakowie mógł zostać Rydzyk czy ktoś z tej półki. Oceniając te nominacje, trzeba pamiętać o watykańskiej perspektywie. Chodzi o to, by nominacje ładnie wyglądały. Im mniej szumu, tym lepiej. Kościół lubi ciszę (podobnie jak pieniążki). Dlatego główne zagrożenie dla kleru to dziennikarze tropiący brudy. To najgorsza zaraza.

Zatem ten sposób sprawowania władzy w Kościele, połączony z mafią lawendową, nie zmieni się.

– Raczej nie. Dobieranie do swojej grupy młodych, osobliwy mechanizm kooptacji powoduje, że wygrywa ten, kto umie się przypodobać. Wchodzi się w świat, który jest zamkniętą grupą. Tę izolację konstytuuje celibat. Ani „baby" (mentalność kleru jest mizoginiczna), ani dzieci nie będą mieszać w naszym kotle.

Były nadzieje, że papież Franciszek zniesie celibat.

– Uchodził za oświeconego, ale celibatu nie ruszył, bo to całkowicie zmieniłoby strukturę Kościoła. Z punktu widzenia antropologicznego celibat generuje patologie, tworzy system podwójnego życia, uzależnia totalnie od instytucji. Zależność tę można nazwać mafijną.

Mamy układ koleżeński: ludzie władzy – ludzie Kościoła. Proboszcz, wójt, burmistrz. Powstają grupy wsparcia.

To struktura instytucji totalnej, gdzie całość życia jednostki jest rozpisana w szczegółach i kontrolowana przez organizację.

Co by zmieniło zniesienie celibatu?

– Oznaczałoby jedno: każdy duchowny staje się podmiotem, ma rodzinę, dzieci i nie można z nim robić, co się chce, nie jest śmieciem (wbrew temu, co mówił założyciel Opus Dei), nie można go dowolnie przenosić w nagrodę lub za karę. Jego bycie w klubie „kler katolicki" jest tylko częścią jego życia. On idzie do pracy, a po pracy ma swoją prywatność. Hierarchowie nie mogą sobie pozwolić na zniesienie celibatu także dlatego, że to demaskowałoby lawendową mafię. Mamy więc zamkniętą grupę, która dobiera sobie towarzysko nowych adeptów ze względu sympatię, atrakcyjność seksualną i uległość. To element cementujący i podwójne życie nie jest przeszkodą. Dokładnie to opisał Martel. Kilka lat mieszkał w Rzymie, rozmawiał z wieloma duchownymi, którzy, smutni, skarżyli mu się, opowiadali, jak jest. Gdyby to wszystko wymyślił, byłyby procesy. A jest cisza. Zwykła strategia katolicka: przeczekać.

Tak jak to, że Dziwisz wraca do Krakowa ze swoim, powiedzmy, współpracownikiem, zamieszkuje w rezydencji obok Wawelu i jakoś to nie burzy nie tylko wizerunku Kościoła, ani ludzi tej instytucji, innych duchownych.

– Ten wizerunek powoli się kruszy. Jedyny ratunek dla kleru to zakneblować dziennikarzy. Naturalnym sprzymierzeńcem katolicyzmu są więc systemy autorytarne. Nie udało się: PiS przegrało. Ale dopóki piłka w grze...

Wierni się nie burzą?

– Jedni się burzą, drudzy nie. Gorliwi katolicy stają się krytykami instytucji. A inni współuczestniczą wiernie w tej kościelnej mistyfikacji. Z książki Martela wynika, że w Kościele wszyscy wszystko wiedzą, kto z kim sypia, kto kogo kocha, kto kogo rzucił. Od kleryka po kardynała.

Mając tę wiedzę, mogą się szantażować.

– To też stanowi element funkcjonowania układu kościelnego. Jest też czynnik zazdrości, gdy jeden wysoko postawiony „podbiera" młodego kleryka drugiemu. Taka osobliwość jak Dziwisz ze swoim chłopakiem może dziwić z punktu widzenia zewnętrznego obserwatora. Kleru jednak nie dziwi. „To ty nie wiesz, że on z tym...?". Stan duchowny to żywioł plotkarski. A wszystko w atmosferze uogólnionego poczucia bezkarności. Choćby Dziwisz, który nie stawia się na przesłuchania i daje sądom do zrozumienia: a co mi zrobicie? Zachowuje się jak rozpuszczony bachor.

Za przyzwoleniem instytucji państwa.

– Które w tej materii nie jest rychliwe. Bo instytucja Kościoła ma swego rodzaju egzempcję, jest państwem w państwie. I nie zanosi się tu na zmiany, bo nie ma klarownej, przekonującej wizji państwa laickiego. To jest – użyjmy mocnego słowa – zdrada lewicy. Albo słabszego – zwyczajna jej niekompetencja. Lub jeszcze bardziej zwyczajne lenistwo. A przypominam: lenistwo jest jednym siedmiu grzechów głównych.

Paweł Dybicz
p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, PAP/TYTUS ŻMIJEWSKI, KAROL PORWICH/EAST NEWS, ŁUKASZ DEJNAROWICZ/FORUM

eprasa.pl ec8301456a



Robert Bąkiewicz na Marszu Powstania Warszawskiego. 1 sierpnia 2026 r.

Fałszywa pamięć wielkiej klęski

Ryki, race i opowieści o zwycięstwie obrażają pamięć powstania

Robert Walenciak

Czy oddaliśmy pamięć o powstaniu warszawskim Bąkiewiczowi, jego kumplom i kibolstwu? Czy pamięć o tych, którzy wówczas zginęli, musi być szargana? Kolejna rocznica wybuchu powstania pokazuje, że jest coraz gorzej. Że zamiast powagi i refleksji, mamy dymiące race i krzyki. A prezydent RP opowiada bajki o zwycięstwie. Tyle z tej wielkiej tragedii chce rozumieć.

Powstanie warszawskie! Oczywiście naszym obowiązkiem jest o nim pamiętać, ale i to, byśmy się nie okłamywali. Bo to nie było zwycięstwo, lecz wielka klęska.

•

Tak się złożyło, że urodziłem się na warszawskiej Woli, mieszkałem w kamienicy, w której przed wojną mieszkała babcia z moim tatą. Ocaleli w zasadzie przypadkowo. Pacyfikując Wolę, Niemcy mordowali systematycznie, kamienica po kamienicy. Ale bodaj po trzech dniach doszli do wniosku, że to zbyt wiele kosztuje i lepiej ograniczyć się do rozstrzeliwania mężczyzn. W ten sposób ocalała moja babcia z 10-letnim chłopcem, moim ojcem.

Ich wspomnienia słyszałem dziesiątki razy. Że uciekli do kościoła św. Wojciecha na Wolskiej, że wychodząc, musieli iść po trupach. A potem do Pruszkowa. W naszej kamienicy – teraz to rozumiem – mieszkały w zasadzie same starsze kobiety. Do dziś je pamiętam. Chętnie zapraszały mnie na herbatę i ciasto, byłem jednym z niewielu dzieci w tym domu, więc siłą rzeczy budziłem ciepłe uczucia. Zaproszenia kończyły się podobnie – ja piłem herbatę, a sąsiadki opowiadały o swoich mężach i braciach, których zabili Niemcy. A im teraz przyszło żyć samotnie i w bólu. 30 lat po wojnie wciąż przeżywały tamte dni i cierpiały, czas dla nich się zatrzymał.

Mój ojciec, rocznik 1933, w powstaniu zanurzony był całkowicie. Kupował wszystkie książki na ten temat, mieliśmy piękny album z fotografiami, wycinał z gazet i tygodników artykuły. Kiedyś przyszedł po mnie do szkoły. Grałem w piłkę, chciałem zostać dłużej, mówiłem: Tatusiu, tak dobrze się gra, może jeszcze trochę. To moi koledzy, Jacek, Irek, Andrzej… Też masz takich? A on odpowiedział: synku, moi koledzy nie żyją, zostali w powstaniu zamordowani…

1 sierpnia i 1 listopada zabierał mnie na cmentarz na Woli i na Powązki, żeby zapalić światełko powstańcom. Czytałem te nagrobki i wiek poległych – 17 lat, 18, 19… Wtedy wydawali mi się dorosłymi żołnierzami, dziś wiem, że to były dzieci.

Wychowałem się wśród ofiar powstania. Tych na cmentarzach i tych żyjących. I ciągłych o nim opowieściach. Nie były lekkie. Tym bardziej boli mnie, że pamięć tragedii powstania jest szargana.

Pamiętam ciszę i skupienie setek ludzi zapalających znicze na grobach powstańców. A teraz maszerują ulicami miasta takie typy jak Bąkiewicz, z okrzykami: „Helmut, Helmut, nie udawaj. Ukradł dziadek, ty oddawaj” albo „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz”. Z powstania robi się polityczny wiec. I to kierowany przez człowieka, który Polsce przynosi wstyd.

Gdy słyszę te puste przemówienia, w których na okrągło, przez wszystkie przypadki odmienia są słowa: bohaterowie, kochani powstańcy, ojczyzna, wolność – im głośniej, tym lepiej – mam wrażenie pogłębiającej się żenady. To tyle, panowie, macie do powiedzenia o powstaniu?

FOT. ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl ec8301456a

Bo cóż więcej powiedział Karol Nawrocki w trzech wystąpieniach? Co chciał przekazać? Że pamięta? Wszyscy pamiętamy. Mówił, że drugim imieniem Polski jest historia. Nawet jeżeli tak jest, cóż on z historii rozumie? Że powstanie było w imię wolności? No to pytam: ale co dalej? Że „Warszawa zwyciężyła”? Wiem, mówił to w przenośni, ale nawet wtedy nie można mówić bzdur, które nijak się mają do faktów.

W powstaniu Warszawa poniosła straszliwą klęskę. Powstańcom nie udało się opanować najważniejszych obiektów – dworców, mostów, drogi wschód-zachód. Wszystko przegrali. Zginęło 160-180 tys. mieszkańców stolicy. Po drugiej stronie zginęło 2 tys. Niemców i ich sprzymierzeńców. To nie była walka jak równy z równym, ale rzeź. Miasto zostało całkowicie zniszczone. I od dzisiejszych przywódców Polski powinniśmy wymagać nie słów, że była to wielka, wspaniała walka i że świat podziwia bohaterów, tylko podstawowej odpowiedzi: dlaczego ta rzeź się odbyła? Jakie są z tego wnioski?

Od przywódców wymaga się zdrowego rozsądku i mądrości. Zrozumienia, że odpowiadają za losy narodu. Za jego fizyczne istnienie. Czy Karol Nawrocki, gloryfikujący tych, którzy wysłali miasto na pewną klęskę, spełnia te warunki? Czy rozumie swoją odpowiedzialność? Wątpię.

Przywódcy powstania sprzeniewierzyli się wszystkim zasadom żołnierza – obrońcy narodu i przywódcy. Znamy ich tłumaczenia, że chcieli witać Rosjan jako gospodarze, a Rosjanie niespodziewanie zatrzymali ofensywę. Owszem, oni mogą tak mówić, ale my nie powinniśmy tych niemądrych tłumaczeń przyjmować do wiadomości. Jako wojskowi powinni mieć świadomość, jak skończy się atak 20-latków, mających parę pistoletów, na oddziały regularnego wojska. Jako politycy powinni mieć świadomość, jak skończy się powstanie, któremu nikt nie pomoże. Nie mieli? To znaczy, że nie mieli elementarnych kwalifikacji, by stać na czele armii i władz.

Wychowałem się wśród ofiar powstania.
Tych na cmentarzach i tych żyjących.
Tym bardziej boli mnie szarganie pamięci tragedii.

Nie wiem, czy nie nadeszła już pora, byśmy przestali usprawiedliwiać narodowych szkodników. Tych, którzy przez swoją głupotę skazali na śmierć pół miasta. Ale wiem, że czcząc tych, którzy zginęli, powinniśmy zachować elementarne poczucie godności i przyzwoitości.

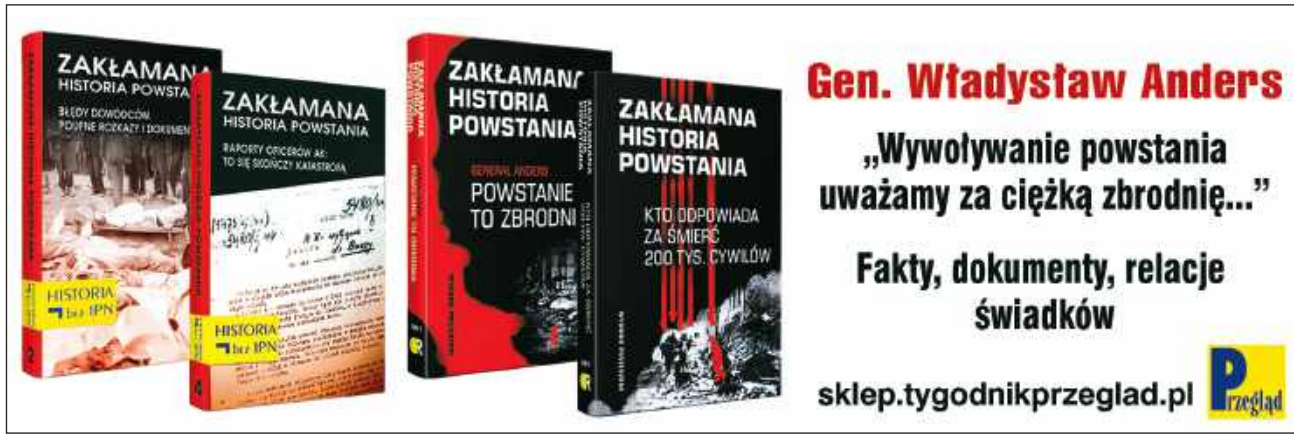
I jeszcze jedno. Karol Nawrocki wołał na Woli: „To apel do całego świata. Z Warszawy, z Woli, gdzie Niemcy zamordowali ponad 50 tys. Polaków, w tym kobiety i dzieci. (…) Świat nie posunie się do przodu jeśli tych, którzy mordowali kobiety i dzieci, nie będzie miał odwagi potępić”.

Te słowa to supozycja, że „kat Woli” Heinz Reinefarth, który został po wojnie burmistrzem niemieckiego miasteczka Westerland, nie tylko nie poniósł odpowiedzialności, ale zła pamięć o nim jest przez Niemców ukrywana. Otóż tak nie jest. W 2014 r. podczas obchodów 70. rocznicy powstania była w Warszawie ówczesna burmistrz Westerland – Petra Reiber. Czyny Reinefartha – mówiła – „nie będą już wymazywane z pamięci ani wypierane ze świadomości”. I prosiła Polaków o przebaczenie.

W tymże 2014 r. na ścianie ratusza w Westerlandzie zawisła dwujęzyczna tablica: „Żołnierze Polskiego Państwa Podziemnego przystępują do walki przeciwko niemieckiemu okupantowi. Powstanie zostaje stłumione przez reżim nazistowski. Ponad 150 tys. osób zostaje zamordowanych. Niezliczona jest liczba rannych i maltretowanych mężczyzn, kobiet i dzieci. Heinz Reinefarth, burmistrz Westerlandu, był jako dowódca grupy bojowej współodpowiedzialny za tę zbrodnię. Zawstydzeni pochylamy się nad ofiarami z nadzieją na pojednanie. w 70. rocznicę powstania warszawskiego. Sylt/Westerland”.

Nie jest więc tak, że świat nie wie, nie rozumie ani nie ma odwagi potępić. To raczej polska prawica nie chce nic o świecie wiedzieć, chce wciąż obnosić się z własnymi krzywdami, bezustannie domagać się podziwu i opowiadać, że wszędzie są wrogowie. Te tony, po przekroczeniu pewnej granicy, brzmią płaczliwie i fałszywie. Są niegodne Warszawy i niegodne pamięci powstania.

Robert Walenciak



eprasa.pl ec8301456a

Ignorant, kłamca i tchórz

BŁASZCZAK minister katastrofa

Andrzej Sikorski



Wypowiedzi Mariusza Błaszczaka pokazują, że nie ma on bladego pojęcia o wojsku. Nz. w Sejmie, 16 października 2019 r.

„Mamy do czynienia z ludźmi nieodpowiedzialnymi, którzy pozwalają na to, żeby 100 km w głąb naszego terytorium przeleciała rosyjska rakieta, i nie zestrzeliwują tej rakiety", mówił Mariusz Błaszczak po tym, gdy na polu rzepaku we wsi Tarnawa-Kolonia na Lubelszczyźnie rozbił się rosyjski pocisk manewrujący Ch-101. Były szef MON zażądał dymisji premiera Donalda Tuska oraz ministrów Władysława Kosiniaka-Kamysza i Marcina Kierwińskiego, którym dostało się także za chaos informacyjny i zbyt późne powiadomienie mieszkańcowi zagrożonych terenów o zbliżającym się niebezpieczeństwie.

Filipiki Mariusza Błaszczaka pokazują, że nie ma on bladego pojęcia o wojsku. To nie premier i minister obrony narodowej decydują o zestrzeliwaniu wrogich rakiet, ale dowódcy wojskowi na podstawie obowiązujących procedur. Gdyby Polska była w stanie wojny, wojsko automatycznie niszczyłoby każdy wykryty obiekt. Ale nie jest i musimy przestrzegać przepisów w czasie pokoju. Mówią one wyraźnie, że trzeba mieć stuprocentową pewność (wizualną) w identyfikacji obiektu, aby np. wykluczyć pomylenie go z maszyną cywilną. A w pobliżu strefy, gdzie leciał pocisk, odbywał się normalny ruch pasażerski. Takiej stuprocentowej pewności wojskowi nie mieli. Zdaniem specjalistów pocisk Ch-101 jest trudno wykrywalny, poruszał się z prędkością ok. 1 tys.km/godz. na bardzo niskiej wysokości.

Zgodnie z ustawą o ochronie granicy państwowej decyzję o zniszczeniu pocisku rakietowego podejmuje dowódca operacyjny Rodzajów Sił Zbrojnych (jest nim gen. Ireneusz Nowak) w formie rozkazu. „Rozkaz wydaje się adekwatnie do zagrożenia, w granicach określonych w wiążących Rzeczpospolitą Polską ratyfikowanych umowach międzynarodowych, po rozpatrzeniu całokształtu okoliczności konkretnego zdarzenia i wynikającego z niego realnego i poważnego zagrożenia dla życia osób postronnych, w tym możliwych ofiar ataku", czytamy we wspomnianej ustawie.

Gen. Ireneusz Nowak na podjęcie decyzji miał kilkadziesiąt sekund i nawet gdyby było tak, jak twierdził Błaszczak, to nie zdążyłby skontaktować się z Tuskiem i Kosiniakiem-Kamyszem. To, że nie zestrzelono rosyjskiej rakiety, wcale nie oznacza, że wojsko było bierne. Pocisk monitorowano jeszcze na terytorium Ukrainy, poderwano polskie i sojusznicze myśliwce F-16. Jednak pilotom nie udało się zidentyfikować obiektu, bo zniknął im z radarów.

Minister dezinformacji

Mariusz Błaszczak, który przez sześć lat (2018-2023) był ministrem obrony narodowej, jest wyjątkowo bezczelny w krytyce rządu. Tę bezczelność uznaje zresztą za swój atut, mniemając, że ludzie mają krótką pamięć, a ciemny lud kupi jego niedorzeczne wywody.

W listopadzie 2022 r. w Przewodowie spadła ukraińska rakieta,

eprasa.pl ec8301456a

zabijając dwie osoby. Błaszak nie zorganizował konferencji prasowej, nie wyjaśnił Polakom, co się stało, tylko schował głowę w piasek i przez 10 godzin milczał ze strachu. W tym czasie opinia publiczna o szczegółach tragicznego zdarzenia dowiadywała się od zagranicznych dziennikarzy, którzy powoływali się na źródła we własnych rządach.

Gdy w grudniu 2022 r. rosyjska rakieta Ch-55 spadła w lesie pod Bydgoszczą kilkanaście kilometrów od Centrum Szkolenia Sił NATO i Wojskowych Zakładów Lotniczych nr 2, szef MON znowu zapadł się pod ziemię. Pocisk (na szczęście nieuzbrojony) przeleżał w lesie 127 dni do kwietnia 2023 r., a odkryła go przypadkowo osoba przejeżdżająca konno. Bulwersującą sprawę ujawniły media. Błaszczak przez dwa tygodnie siedział cicho, po czym kłamliwie oskarżył gen. Tomasza Piotrowskiego, dowódcę operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych, o niepoinformowanie go o rosyjskiej rakiecie. (W rzeczywistości Błaszczak był na bieżąco informowany o przebiegu wydarzeń. Gdy rakieta przekroczyła granicę, postawiono w stan alarmowy obronę przeciwlotniczą, poderwano amerykańskie i polskie samoloty bojowe).

Mało tego! Według informacji przekazanych przez gen. Piotra Pytla, byłego szefa Służby Kontrwywiadu Wojskowego, po tym jak gen. Tomasz Piotrowski i szef sztabu generalnego gen. Rajmund Andrzejczak powiadomili Błaszczaka o rakiecie, ten nie tylko nie podjął żadnych działań, ale poinstruował dowódców, „że w tej sprawie nie należy drążyć".

Aby chronić własną skórę, Błaszczak chciał zdymisjonować gen. Piotrowskiego, ale prezydent Andrzej Duda stanął za nim murem. Jednak w październiku 2023 r. generałowie Piotrowski i Andrzejczak solidarnie podali się do dymisji na znak protestu przeciwko chamskiemu zachowaniu Błaszczaka. Dymisje wywołały poruszenie nie tylko w Polsce, ale i w państwach sojuszniczych. Dotychczas nie zdarzyło się jeszcze, aby tak wysocy rangą dowódcy w ten sposób wyrazili wotum nieufności wobec szefa MON.

Sprawa miała ciąg dalszy. Broniąc swojego honoru, gen. Piotrowski pozwał do sądu Błaszczaka w związku z art. 212 Kodeksu karnego (Sejm uchyli mu immunitet w lipcu 2024 r.). Dowódca zarzucił byłemu ministrowi, że ten swoimi kalumniami poniżył go i naraził na utratę zaufania wśród współpracowników, a to w wojsku jest nie do przyjęcia. Gen. Piotrowski zarzucił też Błaszczakowi, że próbując zdjąć z siebie odpowiedzialność za zatajenie przed opinią publiczną informacji o rosyjskiej rakiecie, nakazał wygłosić generałowi specjalne oświadczenie. Generał skonsultował treść oświadczenia z szefem Służby Kontrwywiadu Wojskowego, a ten ostrzegł go, że dopuściłby się przestępstwa ujawnienia tajemnicy państwowej. Gen. Piotrowski odmówił Błaszczakowi, który groził mu, że jeśli nie wygłosi oświadczenia, będzie miał kłopoty.

W sposób haniebny zachowywał się też Błaszczak, gdy w sierpniu 2023 r. dwa białoruskie śmigłowce bojowe Mi-24 przekroczyły polską granicę i urządziły prowokacyjny rajd nad Białowieżą. O zdarzeniu poinformowali przerażeni mieszkańcy i turyści, na dowód pokazując filmy i zdjęcia. Ale bezczelny Błaszczak nakazał podwładnym iść w zaparte, a oficjalny przekaz MON był taki, że świadkowie mieli zwidy (ulegli złudzeniu optycznemu), bo żadnego naruszenia granicy nie odnotowano. Dopiero po kilkunastu godzinach resort obrony przyznał, że wrogie śmigłowce jednak wleciały na terytorium RP, ale tłumaczono to szkoleniem, o którym Białorusini wcześniej poinformowali stronę polską (sic!).

Armia kucharek i księgowych

Były minister obrony narodowej w rządzie PiS kreuje się na zbawcę armii. Twierdzi, że dzięki jego decyzjom polskie wojsko wyrosło na potęgę, ale nieudacznicy Donald Tusk i Władysław Kosiniak-Kamysz niszczą jego dorobek. Zobaczmy więc, jak jest.

Obejmując w styczniu 2018 r. szefostwo MON, Błaszczak postawił sobie za główny cel zwiększenie liczebności żołnierzy zawodowych. Zgodnie z zapowiedziami profesjonalna armia miała liczyć 150 tys. ludzi (potem była mowa już o 300 tys.). Aby zachęcić potencjalnych kandydatów, zainaugurowano kampanię „Zostań żołnierzem Rzeczypospolitej", skierowaną głównie do absolwentów szkół średnich. Kampanię prowadzono tak, że każdego miesiąca w wyznaczonym tygodniu żołnierze lokalnych jednostek wojskowych i Wojskowych Komend Uzupełnień wyruszali w trasę oplakatowanymi busami. Zespoły rekrutacyjne jechały tam, gdzie najczęściej można spotkać młodych ludzi, m.in. do galerii handlowych, ośrodków sportu, centrów rozrywki, w okolice dworców kolejowych i autobusowych, a także do miejscowości turystycznych w górach i nad morzem.

Przez następne miesiące Błaszczak chwalił się, jak to wielu młodych ludzi dobrowolnie szło w kamasze. Na konferencjach prasowych rzucał liczbami: 5 tys., 10 tys., 15 tys., aż jesienią 2019 r. zakomunikował z dumą, że polska armia powiększyła się o ponad 32 tys.

Mariusz Błaszczak uznaje, że ludzie mają krótką pamięć, a ciemny lud kupi jego niedorzeczne wywody.

PiS wydało na zbrojenia setki miliardów złotych. Gdy Władysław Kosiniak-Kamysz przyszedł do MON, zastał dziurę budżetową na ok. 500 mld zł.

eprasa.pl ec8301456a



Ministrowie obrony Polski Mariusz Błaszczak i Korei Południowej Lee Jong-sup na spotkaniu w Seulu, 30 maja 2022 r.

żołnierzy. Minister mijał się z prawdą. Te 32 tys. nowych wojaków to byli gównie weekendowi żołnierze Wojsk Obrony Terytorialnej.

W rzeczywistości przez dwa lata udało się powiększyć armię tylko o ok. 7 tys. żołnierzy zawodowych (z 98 tys. na prawie 105 tys.). W 2023 r. zawodowych żołnierzy było zaledwie 118 tys. Ten „sukces" okupiony był wyjątkową desperacją w rekrutacji. „Uelastyczniono" bowiem katalog chorób i schorzeń, które wcześniej dyskwalifikowały kandydatów do służby. Na korytarzach MON śmiano się, że do wojska przyjmowani są bezzębni, ślepi, głusi i kulawi, a jeśli chodzi o wykształcenie wystarczyło ukończenie szkoły podstawowej. Służby nie weryfikowały kandydatów, więc zdarzało się, że mundur zakładali przestępcy. Skrócono proces rekrutacyjny (ze 190 do 50 dni) i szkolenie podstawowe (z 90 do 28 dni).

Zakupy w MON były dokonywane chaotycznie, bez planu, przygotowania, konsultacji ze środowiskiem wojskowym.

Żeby bardziej podbić statystyki, Błaszczak wpadł na absurdalny pomysł, aby do służby rekrutować cywilnych pracowników wojska, tj. kucharki, księgowe, pracownice administracji, kobiety w wieku 50-60 lat. W tym samym czasie doświadczeni żołnierze ze specjalistycznymi umiejętnościami i kilkunastoletnim stażem porzucali mundur.

Jak wyglądała taka armia od kuchni, pokazał raport Najwyższej Izby Kontroli o szkoleniu. Według ustaleń kontrolerów potrzeby szkoleniowe były zaspokajane ledwie na poziomie od 63% do 66% zgłoszonych przez żołnierzy. Wynikało to z braku sprzętu, urządzeń szkolno-treningowych, a także „niepełnego ukompletowania kadry instruktorskiej". Braki kadrowe obejmowały od 20% do 66% instruktorów. Efekt tego był taki, że np. egzaminy z budowy i eksploatacji, obsługi oraz nauki jazdy w czołgu Leopard w Świętoszowie przeprowadzali żołnierze z Ośrodka Szkolenia Kierowców CSWL z Poznania, „nieposiadający kwalifikacji w tym zakresie".

Brakowało środków bojowych, np. amunicji ślepej, lontów prochowych, petard i ręcznych granatów dymnych. W Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych żołnierze nie otrzymali do wykorzystania żadnego naboju ślepego do kałasznikowa z zaplanowanych 400-800 szt. Z kolei w Szkole Podoficerskiej Marynarki Wojennej z powodu braku lontu prochowego nie prowadzono zajęć z jego użyciem.

Zdaniem NIK programy szkoleniowe były anachroniczne i „nie zapewniały przygotowania żołnierzy do wykonywania obowiązków na stanowisku dowódcy i nie umożliwiały opanowania wymaganych wiedzy i umiejętności". Iluzoryczny był też nadzór Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych nad ilością i stanem wyposażenia jednostek szkolnictwa wojskowego. Nie prowadzono ponadto analiz i badań skuteczności szkolenia żołnierzy. Zdaniem kontrolerów jednym ze sposobów poprawy sytuacji powinno być uzupełnienie kadry oraz podjęcie „działań kreujących system motywacyjny przeciwdziałający jej odpływowi", a także uzupełnienie wyposażenia w sprzęt.

Drogie zabawki

Mariusz Błaszczak chwali się gigantycznymi zakupami sprzętu wojskowego. Rzeczywiście na zbrojenia PiS wydało setki miliardów złotych. Jak ujawnił Władysław Kosiniak-Kamysz, gdy przyszedł do MON, zastał gigantyczną dziurę budżetową na ok. 500 mld zł, którą nazwał „dziurą Błaszczaka". Na taką kwotę opiewały

FOT. JAKUB KAMIŃSKI/ EAST NEWS, AFP/ EAST NEWS

eprasa.pl ec8301456a

wszystkie kontrakty podpisane za rządów PiS, ale jednocześnie niedoszacowane, a kredyt ten będą spłacać kolejne pokolenia podatników. Kupowano niemal wszystko, jak leci, co stało na sklepowych półkach z uzbrojeniem i było w danej chwili dostępne.

Tyle że – jak wielokrotnie wskazywali specjaliści – zakupy były dokonywane chaotycznie, bez planu, przygotowania, konsultacji ze środowiskiem wojskowym i nie wiadomo, na jakich zasadach. Decyzje o zakupach podejmowano nie wiadomo gdzie i w jakich okolicznościach, a szef MON nie przejmował się prowadzeniem przetargów, transparentnością działań ani dbaniem o polski przemysł.

Kupiono np. samoloty, ale nie pomyślano o hangarach oraz zapewnieniu obsługi technicznej. Za kilka lat polskie wojsko będzie miało setki nowoczesnych czołgów, samolotów, śmigłowców, transporterów, wyrzutni rakiet itp. Niestety, bez zaplecza technicznego, uzbrojenia, a także bez ludzi do obsługi i serwisowania.

W 2022 r. Mariusz Błaszczak w tajemnicy przed opinią publiczną i polskim parlamentem (sic!) podpisał umowy z koreańskimi firmami zbrojeniowymi na zakup m.in. 180 czołgów K2 Heuk-Pyo (Black Panther), 212 haubic samobieżnych K9A1 Thunder, 48 lekkich myśliwców bojowych FA-50, oraz 218 modułów wieloprowadnicowych wyrzutni rakietowych K239 Chunmoo wraz z amunicją. Wartość wszystkich kontraktów opiewała na ponad 90 mld zł. Dlaczego wybrano akurat tak egzotyczne państwo do strategicznej współpracy, tego nigdy się nie dowiedzieliśmy. Przy tym fachowcy nie zostawili suchej nitki na samolotach FA-50, które – jak twierdzą – są słabo uzbrojone i przegrywają w konfrontacji ze wszystkimi samolotami na wyposażeniu wojsk Federacji Rosyjskiej.

Wiadomo natomiast, że Korea ma najbardziej skorumpowane elity polityczno-biznesowe. W skandale korupcyjne zamieszanych było co najmniej sześciu prezydentów tego państwa, liczni premierzy, ministrowie, urzędnicy państwowi, prezesi banków, posłowie Zgromadzenia Narodowego, a także szefowie największych koncernów, takich jak Samsung, LG czy Hyundai.

Gdy generałowie Piotrowski i Andrzejczak powiadomili Błaszczaka o rakiecie, ten poinstruował ich, „że w tej sprawie nie należy drążyć”.

W sierpniu 2025 r. telewizja TVN 24 poinformowała, że w Prokuraturze Regionalnej w Warszawie prowadzone jest śledztwo „mające bezpośredni związek z zamówieniami w przemyśle zbrojeniowym Korei”. Mowa o podejrzanych fakturach, które polska spółka wystawiła koreańskiej spółce z branży zbrojeniowej za usługi doradcze. A chodzi o zawrotną kwotę ok. 100 mln zł. Według nieoficjalnych informacji śledczy podejrzewają, że pieniądze nie były wynagrodzeniem, ale ukrytą łapówką.

Arsenał na Wisłostradzie

Mariusz Błaszczak był pierwszym ministrem obrony, za którego kadencji uziemiono wszystkie okręty podwodne. W 2021 r. wycofane ze służby zostały ORP Sęp i ORP Bielik. Na stanie pozostał również unieruchomiony ORP Orzeł, ale nie można go było wycofać ze służby, bo marynarze zostaliby bez zajęcia, a tak mogli sobie chociaż poćwiczyć na sucho.

Tymczasem rząd PiS dostał w spadku po koalicji PO-PSL program „Orka”. Planowano zakup trzech nowoczesnych okrętów zdolnych do działań poza Bałtykiem wraz z zaawansowanym systemem rakietowym. „Orka” była też nadzieją dla polskiego przemysłu stoczniowego. Kooperacja z zagranicznym partnerem zapewniłaby rozwój oraz zdobycie nowych zamówień i nowoczesnych technologii. Jednak Błaszczak uznał, że nie warto wydawać miliardów złotych na okręty, których nie można pokazać na defiladach.

Aroganckiego traktowania nie zniósł inspektor Marynarki Wojennej kontradm. Mirosław Mordel, który publicznie oskarżył polityków o niedotrzymanie obietnic. W odwecie Błaszczak zdymisjonował Mordela.

W sierpniu 2023 r., z okazji święta Wojska Polskiego, Mariusz Błaszczak prężył muskuły przed całym światem, bo zorganizował „największą w historii defiladę”. Gen. Mirosław Różański, były dowódca generalny Rodzajów Sił Zbrojnych, tak to skomentował w rozmowie z „Gazetą Wyborczą”: „To robi wrażenie. Jednak spójrzmy na defiladę w paru wymiarach, nie tylko widowiska. Teoretycznie wiemy, co to jest kompania. To 14 czołgów, wozów bojowych piechoty albo transporterów. My oddaliśmy od 2022 r., od agresji Rosji na Ukrainę, 24 takie kompanie, i to tylko czołgów. W tym czasie rząd uzupełnił tę lukę trzema kompaniami. (…) Oddaliśmy ok. 14 myśliwców MiG-29, a w Polsce są cztery FA-50 – na defiladzie były dwa, szybko zmontowane. (…) Ekscytowano się defiladą, bo były Borsuki. Były, cztery, więc wszystkie, jakie są w Polsce. To są zamienniki bojowych wozów piechoty, których oddaliśmy ponad 100. Choć powtórzę, nie wiadomo ile, bo to tajne według resortu obrony. Więc cały arsenał ministra Mariusza Błaszczaka można zmieścić na Wisłostradzie. Tak to wygląda, choć oficjalny przekaz brzmi: czujcie się bezpiecznie”.

Andrzej Sikorski

Przegląd
Zapisz się na NEWSLETTER na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ec8301456a

Kupujemy drogo i nie na tę wojnę, która nam grozi

Ludzie, którzy kupowali śmigłowce Apache, nie mają pojęcia o współczesnej wojnie

Rozmawia Robert Walenciak

Panie komandorze, budżet MON to 200 mld zł, będzie jeszcze więcej. Czy rozsądnie wydajemy te pieniądze? Czy nie inwestujemy w rzeczy niepotrzebne albo bardzo drogie, a można by było mieć sprzęt bardziej użyteczny?

– Nie można mówić o rzeczach niepotrzebnych, dlatego że praktycznie wszystko, co jest kupowane, przydaje się wojsku. Natomiast problem jest z ustaleniem priorytetów i z kupowaniem w taki sposób, aby to wszystko od razu działało. Na przykład kupujemy w tej chwili czołgi kompletnie nieprzydatne na współczesnym polu walki.

Dlaczego nieprzydatne?

– Nie mają możliwości bronienia się przed dronami. I teraz – zamiast kupić mniej czołgów, ale od razu takie, które byłyby przygotowane do walki jak na Ukrainie – kupiono od razu mnóstwo czołgów, a na później zostawiono decyzję, że zostaną wprowadzone systemy, które je zabezpieczą. A jeśli takich systemów nie dostaniemy? Obecnie żaden czołg nie jest przygotowany do takiej walki jak na Ukrainie. Po kilkunastu minutach będzie zniszczony. Te kilkanaście minut to czas, w którym dolecą rosyjskie drony. I gdy dolecą, tego czołgu już nie będzie.

366 Abramsów, które kupiliśmy, to cena ok. 25 mld zł.

– Dlatego podaję to jako przykład. Inny: kupiliśmy Borsuki, bojowe wozy piechoty, bardzo potrzebne. Tylko nie kupiliśmy do nich żadnych systemów antydronowych, więc na taką wojnę jak na Ukrainie, się nie nadają. 15 sierpnia będzie parada wojskowa. Proszę zwrócić uwagę, czy prezentowane czołgi i wozy piechoty będą miały klatki antydronowe. Czy będą miały systemy zakłóceniowe przeciwko dronom i pancerze aktywne? Widać, że kupujemy na zasadzie: kupmy, co jest do kupienia, a potem się zastanowimy, jak to dostosować do pola walki. Tak nie powinno to wyglądać.

Czyli kupujemy broń na starą wojnę, której już nie będzie?

– Przykładem tego jest kontrakt na zakup 96 śmigłowców Apache. Wszyscy wiedzą, że śmigłowce bojowe na współczesnym polu walki nasyconym dronami mają niewiele do powiedzenia. A my ich kupiliśmy aż 96. To świadczy o tym, że ludzie, którzy je kupowali, kompletnie nie mają pojęcia, jak wygląda współczesna wojna.

Śmigłowiec na linii frontu nie ma szans?

– W ogóle tam nie doleci. Ma uzbrojenie, które może działać na odległość kilkunastu kilometrów. A pas śmierci, w którym operują drony, jest znacznie szerszy – to 15 do 20 km. Żaden śmigłowiec nie wleci w tę strefę, więc o nich zapomnijmy.

Jeśli chodzi o śmigłowce Apache, nie dość, że ich zakup to 40 mld zł, czyli gigantyczne pieniądze, trzeba będzie jeszcze wyszkolić 500 pilotów, mechaników, do tego koszty serwisowania, części zamienne.

– Szkolenie pilotów to ogromny wysiłek, nie wiem, jak się w tym wyrobimy. Natomiast jest jeszcze większy problem – to nie są śmigłowce proste do utrzymania. One nie mogą stać tak jak śmigłowce Mi-24, które stały pod kocami, i – jesień, zima – od razu można je było uruchomić.

Z Apache'ami jest inaczej?

– Jest tak, jakbyśmy wystawili telewizor na zewnątrz i potem próbowali go włączyć, żeby działał, na deszczu, na mrozie. Tak się nie da.



Kmdr MAKSYMILIAN DURA
– przez 26 lat (1985-2011) służył w Marynarce Wojennej, na okrętach rozpoznawczych, szef Wydziału Dowodzenia i Łączności w Sztabie MW. Polski przedstawiciel w grupach NATO (RADHAZ, MCG-5, MSA). Obecnie ekspert w portalu Defence24.

eprasa.pl ec8301456a

Przykład Ukrainy pokazuje, jak wygląda wojna współczesna i przyszłości.

– I albo podporządkujemy się zasadom, które wojna na Ukrainie pokazała, albo będziemy mieli w przyszłości kłopoty. Bo Rosja do tych zasad się stosuje. Wyciąga wnioski. I przygotowuje się do totalnej wojny dronowej. Opartej na małych dronach FPV. My, niestety, nadal jesteśmy w takiej samej taktyce działania jak przed rokiem 2022.

Prezydent Putin powołał oddzielny rodzaj sił zbrojnych, siły dronowe.

– My też powołaliśmy: Inspektorat Wojsk Bezzałogowych Systemów Uzbrojenia. Tylko że nie mamy Wojsk Systemów Bezzałogowych, bo tych wojsk ostatecznie nie powołano. Podchodzimy do tego jak do zakupów sprzętu wojskowego – zostawiamy na później to, co jest najważniejsze. A tymczasem powinniśmy budować armię, tak żeby mogła działać. Podam przykład. Nadbrzeżne dywizjony rakietowe w marynarce wojennej wykorzystują rakiety NSM o zasięgu ponad 200 km. Ale nie mają one systemów rozpoznania, które pozwoliłyby zwalczać cele na takiej odległości. W związku z powyższym nadbrzeżne dywizjony rakietowe, działając samodzielnie, mogą zwalczać tylko te cele, które są do horyzontu, a to ok. 40 km od brzegu.

Rozpoznanie zostawiono na później.

– I mija ponad 10 lat od czasu, kiedy mamy te dywizjony rakietowe i nadal nie ma integralnych systemów rozpoznania, które pozwalałyby wystrzeliwać rakiety na maksymalną odległość. Tak u nas jest – rzeczy najtrudniejsze zostawia się na później. Natomiast najłatwiej jest kupić coś z półki za granicą i tak to się robi.

Jest jeszcze jeden wątek, który wyjaśnia, dlaczego kupujemy tak drogo, i to najlepiej za granicą. Lobbyści! Ważna osoba opowiadała mi, że rozmawia z generałem ze sztabu generalnego. Mijają dwa tygodnie i ona go spotyka już w cywilu, jako przedstawiciela firmy zachodniej sprzedającej Polsce uzbrojenie.

– Warto byłoby się nad tym zastanowić. Bo w wielu przypadkach przytrzymuje się polskie programy zbrojeniowe, a potem w ramach tzw. pilnej potrzeby operacyjnej kupuje się system uzbrojenia za granicą. Niestety, jest to widoczne.

Mam w pamięci relację z ćwiczeń wojsk NATO w Estonii Hedgehog 2025. Zespół ukraińskich operatorów dronów, liczący 10 osób, w ciągu pół dnia zasymulował zniszczenie 17 pojazdów opancerzonych. W efekcie w jeden dzień „wyeliminował" dwa bataliony, czyniąc je niezdolnymi do walki. Podobne wyniki przyniosły niedawne ćwiczenia w Szwecji. Wojsko chyba widzi, jaka jest skuteczność ukraińskich droniarzy w porównaniu z tradycyjnymi oddziałami NATO?

– Nie mylmy sytuacji. Tu nie chodzi o ukraińskich droniarzy. Takich samych mają też Rosjanie. I wyciągajmy z tego wnioski.

Śmigłowce bojowe na współczesnym polu walki mają niewiele do powiedzenia. A my ich kupiliśmy aż 96.

A wyciągamy?

– Niech pan zwróci uwagę na takie sytuacje. Politycy lubią spektakularne sceny: oni stoją, na ich tle ustawione są trzy armaty koło siebie i zaczynają strzelać prawie pionowo do góry. Wystrzelanie takiego pocisku to ponad 100 tys. zł. Strzelanie zatem takimi pociskami tylko po to, żeby politykowi było przyjemnie, jest kompletnie bez sensu. Na wschodzie Ukrainy, tam, gdzie się toczą walki, taka sytuacja nigdy się nie zdarzy. Gdyby armata wyjechała na pole w taki sposób, jak u nas robi się na poligonach dla VIP-ów, natychmiast zostałaby zniszczona. Myślę, że nasi wojskowi tego nadal nie rozumieją. Albo rozumieją, tylko o wiele łatwiej jest im działać tak, jak działają. W naszym wojsku mówi się, że nasza wojna będzie inna niż na Ukrainie. To nieprawda. Będziemy prowadzili taką wojnę, jaką nam narzuci przeciwnik, a przeciwnik narzuci nam taką wojnę, jaka jest na Ukrainie, bo tylko na taką będzie Rosjan stać.

Jest hasło: syndrom państw arabskich. Kupuje się dużo nowoczesnych systemów broni, tylko one nie są kompatybilne, są źle wykorzystywane i to kiepsko działa.

– Nie można mówić, że to, co kupujemy, jest niekompatybilne. Ale chodzi także o wytrzymałość, o żywotność na polu walki. A w tej chwili współczesne pole walki to Ukraina. Cały czas nam się wydaje, że kupowane przez nas systemy antydronowe to systemy, które będą skuteczne i pozwolą zabezpieczyć nasze wojska. I tu ludzie się mylą. Dlatego że systemy zakłócające, które kupujemy, są kompletnie nieskuteczne w stosunku do dwóch rodzajów dronów wprowadzanych na Ukrainie. Pierwszy to drony światłowodowe i drugi to są drony sterowane sztuczną inteligencją.

Drony ze sztuczną inteligencją nie wymagają kontaktu z operatorem. Same znajdują cele i wydają sobie polecenie zniszczenia. W związku z powyższym ich zakłócanie nie ma sensu, bo ten dron z nikim się nie łączy. On nie potrzebuje też GPS, ponieważ potrafi się orientować w terenie. My szykujemy się na inną wojnę.

Wiemy, że będą drony autonomiczne albo kierowane światłowodem 20-kilometrowym.

– Nie! Już są 40-kilometrowe. A nawet działające dalej.

I co my na to wszystko?

– My na to mamy czołgi i mamy BWP, armatohaubice, kupujemy wyrzutnie rakietowe. Nie rozumiemy tego, co się dzieje. Cały czas przygotowujemy się na wojnę ze Stanami Zjednoczonymi. Mówię to w cudzysłowie oczywiście, ale tak jest. Kupujemy systemy uzbrojenia, bardzo wyrafinowane i drogie, do zwalczania najnowocześniejszych systemów. A tak naprawdę największym zagrożeniem jest uzbrojenie tanie, ale produkowane w ogromnej ilości. Weźmy drony Shahed – zwalczamy je rakietami, które były przygotowane do zwalczania rakiet samolotów SU-57, tych piątej generacji. Tylko że Rosjanie tych samolotów na nas nie wyślą, bo po co, skoro mogą wysłać dron za kilkanaście tysięcy dolarów?

A my będziemy strzelać do tych dronów rakietami za parę milionów, których tak wiele nie mamy.

eprasa.pl ec8301456a



Ćwiczenia Hedgehog 2025 z użyciem dronów w Estonii.

– Gdzie tu więc zasada koszt-efekt? Powinniśmy też przyjąć, że jeżeli Rosja zacznie przygotowywać się do wojny, to zacznie zbierać swoje drony. I w pierwszym ataku wyśle 20 tys. dronów, a nie 500, jak obecnie wysyła na Ukrainę. 20 tys.! I czym je zestrzelimy? My kompletnie do tego się nie przygotowujemy.

A wiemy, jak powinien wyglądać system obrony, który je zatrzyma?

– Mamy mądrych ludzi w wojsku. Oni wiedzą, jakie są na to sposoby. Ale tych sposobów się nie wprowadza. Drugą sprawą jest to, że nie przygotowujemy się na konflikty, które będą miały charakter tzw. konfliktów podprogowych. Takich, w których nie będzie ataku czołgów, ale w których będziemy musieli jakoś reagować. Ale nie armatami lub wyrzutniami Himars. Zawsze podaję prosty przykład: w jaki sposób możemy reagować na ataki na infrastrukturę krytyczną morską? Budujemy wielkie fregaty, które są dobre na wojnę pełnoskalową. Natomiast na wojnę, w której tankowiec rzuca kotwicę i trałuje, niszcząc kable podmorskie, nie jesteśmy przygotowani. Nie mamy jednostek, które byłyby w stanie wyjść w morze, dogonić ten statek i go zatrzymać. Takich jednostek nie mamy i nie zamierzamy ich budować.

Ćwiczenia w Estonii i niedawne w Szwecji pokazały, że wojna będzie wyglądać inaczej niż w podręcznikach.

– Ludzie już wiedzą, że gdyby to, co w tej chwili mamy, co kupujemy, stanęło przed rosyjską armią, Rosjanie zrobiliby nam rzeź. My nadal przygotowujemy się na wojnę, która już była.

Czy systemy dronowe można budować, opierając się na polskim przemyśle i zasobach?

– To, że nie produkujemy tak tanich dronów, jakie produkują Ukraińcy, wynika z tego, że nasze drony muszą spełniać nasze normy. Muszą być np. przechowane przez 20 lat, bezpieczne itd. W przypadku Ukrainy takich wymagań nie ma. W związku z tym polski przemysł produkuje drony drogie. A my ich potrzebujemy miliony. Minister Kosiniak-Kamysz zresztą powiedział, że każdy żołnierz ma być przygotowany do obsługi dronów. Każdy żołnierz, który znajduje się na froncie. I słusznie, bo one spełniają w tej chwili funkcję granatów. Tylko że granat rzuci się na 30 m, natomiast dron można wysłać na 4 km i trafić dokładnie i celnie.

Jak więc wojsko sobie radzi?

– Jednostki naprawdę wykonują ogromną pracę. Kupują za własne środki drony, szkolą swoich operatorów. Ale to nie jest to. Powinno się to odbywać na masową skalę. W szkołach średnich powinniśmy wprowadzić szkolenia z obsługi dronu. Traktujmy to jako sport, tak jak kiedyś strzelectwo sportowe. Mało kto zdaje sobie sprawę, że w Polsce znajduje się w tej chwili ponad 400 tys. operatorów, którzy są rejestrowani przez Urząd Lotnictwa Cywilnego. W większości to cywile. Warto byłoby wyszkolić ich tak, żeby potrafili wykorzystywać drony bojowe, kiedy dojdzie do mobilizacji.

Gen. Załużny mówił, że państwa NATO potrzebują 12 lat, żeby dojść do połowy poziomu armii rosyjskiej.

– Myli się. Myślę, że nawiązał tylko do wspomnianych ćwiczeń w Estonii i w Szwecji, gdzie grupa ukraińskich operatorów dronów „rozbiła" wiele natowskich pojazdów. Ale to świadczy tylko o tym, że w pewnej dziedzinie NATO odstaje. Natomiast jeżeli generalnie chodzi o siły NATO, Rosjanie nie mają żadnych szans i to oni potrzebują kilkunastu lat, żeby skutecznie nas zaatakować. NATO ma lepsze lotnictwo, lepsze rozpoznanie, lepszą marynarkę wojenną i lepsze systemy rakietowe. Natomiast niewątpliwie taki konflikt będzie nas dużo kosztował, jeżeli chodzi o straty. Na ataki dronów, które są tanie i użyte w masowej ilości, nie jesteśmy przygotowani. Bo tak naprawdę nie rozwiązujemy problemów, ale staramy się je przemilczeć albo odkładać na później.

Jeżeli chodzi o siły NATO, Rosjanie nie mają szans.

Robert Walenciak

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. DEFENCE24, NATO

eprasa.pl ec8301456a

Bo ludzie mówili

Prokuratura nadużyła zaufania społecznego – twierdzą obrońcy oskarżonych w sprawie Iwony Cygan

Helena Kowalik

Gdyby wystąpienia adwokatów i repliki prokuratora mogły wywoływać pioruny, powietrze w sali sądowej, gdzie dobiegał końca proces oskarżonych o zabójstwo Iwony Cygan, raz po raz przeszywałyby błyskawice.

– Dlaczego śledztwo trwało 28 lat? Bo doszło do zmowy milczenia miejscowych sił porządkowych i obywateli miasteczka – mec. Jan Kuklewicz, obrońca Pawła K., kpiącym tonem cytuje oskarżyciela publicznego. I od razu rozprawia się z powtarzanym dziennikarzom wyjaśnieniem Bogdana Michalca, ówczesnego szefa Archiwum X: – A prawda jest taka, że zmowa milczenia miała służyć wytłumaczeniu, dlaczego dowody zbrodni są, jakie są, czyli żadne. Pokrzywdzono mieszkańców Szczucina, nazywając ich miasteczko siedzibą zbrodni. Ta szczególna omerta to pomysł na wytłumaczenie braków w postępowaniu przygotowawczym.

Cena przeszłości

Mecenas Kuklewicz przez pięć godzin podważa poszczególne tezy oskarżenia. Przekonuje, że gdyby jego klient naprawdę siał taki postrach w Szczucinie i okolicy, będąc nietykalnym dla wymiaru sprawiedliwości, jak sugerował prokurator, wcześniej nie zostałby zatrzymany i skazany razem z Robertem K. za pobicie dwóch nastolatków za to, że mieli obrażać dziewczynę Pawła K.

– Oskarżony płaci olbrzymią cenę swojej przeszłości. Był więcej niż aroganckim człowiekiem. Jako ten, który problemy zwykł załatwiać pięścią, dla określonej koncepcji oskarżenia stał się idealnym motywem.

Według prokuratury Renata G. miała wyciągnąć Cyganównę z domu i zaprowadzić ją w ręce oprawców. Jest o tym przekonana także rodzina zamordowanej nastolatki.

– Weryfikowaliśmy to od A do Z. Renata G. nie znała głównego oskarżonego. Bilingi z telefonu Iwony wskazują, że tamtej tragicznej nocy ktoś inny do niej dzwonił. Nie można się zgodzić ze stwierdzeniem prokuratora, że jakkolwiek nie ma dowodów, nie znaczy to, że takich zdarzeń nie było.

W akcie oskarżenia razi brak dowodów. Dlaczego na ławie siedzą szeregowi policjanci, gdzie są ich szefowie?

Wyssana z palca jest teoria o ofiarach rzekomej zmowy milczenia. Tadeusz D. nie został utopiony, bo wiedział, kto jest mordercą. On sam kilka miesięcy po zabójstwie dziewczyny zeznał, że „tak gadał po pijaku". A jego zwłoki wyłowione z Wisły nie miały skrępowanych rąk, jak przekazywano w prokuraturze dziennikarzom.

Mec. Jacek Jurczyński, obrońca ojca i syna K., powołując się na swoją 30-letnią praktykę, ocenia mowę prokuratora jako akt desperacji. Świadczy o tym już sam opis zarzutu. W akcie oskarżenia stwierdzono, że Paweł K. doprowadził do zabójstwa w Szczucinie – siedlisku grozy i pornografii .

– To miało wywołać określoną atmosferę – interpretuje adwokat – że mamy do czynienia z jednym wielkim złem. W akcie oskarżenia prokurator swojej pewności co do tego, kto był zabójcą, nie poparł żadnym dowodem, nawet poszlaką. Takie braki nie przeszkodziły mu w zamknięciu Józefa K. na cztery i pół roku w areszcie i zniszczeniu jego dobrego imienia w całej Polsce, bo wiele mediów pokazało go jako mordercę szytego na miarę seriali dokumentalnych.

– Nie można przemilczeć – dodaje obrońca – że wszystko, co się wydarzyło w sprawie po roku 2015, gdy śledztwo przejęło Archiwum X, jest niezgodne z prawem. Choćby trzykrotne przesłuchiwanie Krzysztofa B. w szpitalu psychiatrycznym bez udziału prokuratora. Chodziło o to, aby pacjent pozostający pod wpływem leków psychotropowych zeznał, że Iwona wsiadła do białego pojazdu prowadzonego przez Pawła K.

Na mieście gadano

– Ten proces przejdzie do historii kryminalistyki – podkreśla prof. Jan Widacki, obrońca Renaty G. oraz policjanta Roberta N., i wnosi o uniewinnienie swoich klientów. – Wokół zabójstwa nastolatki celowo tworzono wiele mitów, np. o Szczucinie jako „miasteczku zbrodni". Chciano tym przykryć niedoskonałości aktu oskarżenia, brak nie tylko dowodów, ale i poszlak.

Adwokat twierdzi, że mimo wieloletniej praktyki po raz pierwszy spotkał się z taką manipulacją w sformułowaniu zarzutu prokuratorskiego. Robert N. słuchany w śledztwie dowodził, że nie znał nikogo z rodziny K., jest przybyszem z innego województwa. Nie prowadził żadnych czynności śledczych, służył w pionie prewencji. Jedynym dowodem na

eprasa.pl ec8301456a



Ojciec zamordowanej Iwony Cygan zasłabł w trakcie odczytywania wyroku uniewinniającego oskarżonych. Rzeszów, 31 lipca 2026 r.

obciążenie N. było zeznanie świadka incognito, że „ludzie mówili, że »Cygankę« zabił Paweł K., i wymieniali zamieszanych w to policjantów, m.in. Roberta N.".

– Prokurator założył, że usłyszenie informacji, że „ludzie mówią" obligowało policjanta N. do podjęcia zawodowych czynności! – oburza się obrońca. – Czy taka pogłoska pchnęłaby śledztwo na nowe tory? Postępowanie nie dostarczyło żadnych dowodów potwierdzających zarzuty stawiane Robertowi N.

– Ten proces – zauważa profesor – przyniósł szkody nie do naprawienia. To udręczenie w areszcie policjantów, stracone może na zawsze dobre imię. Wystarczy spojrzeć do internetu, gdzie są komentarze o oskarżonych.

Adwokat zwraca się do rodziny Iwony Cygan: – My, obrońcy, rozumiemy wasz ból i współczujemy wam. Przez lata procesu patrzyliście na nas jako tych, którzy utrudniają skazanie. Solidaryzowaliście się z oskarżycielem publicznym, który nawet w mowie końcowej zarzucił nam, że bronimy kosztem ofiar. Nie byliśmy waszymi wrogami. Współczujemy podwójnie – z powodu tragicznej śmierci, ale i dlatego, że przez długie lata tego procesu mieliście nadzieję na ukaranie. Tymczasem sprawców nie ma na ławie oskarżonych. Życzę wam, abyście dożyli chwili, gdy się znajdą.

Mecenas Marcin Hilarowicz, obrońca policjanta Grzegorza J., nie ukrywa, że jest to trudny proces, ale to nie znaczy, że należy iść na skróty, opierać się na plotkach i opowieściach ludzi, którzy zeznając, może chcą załatwić własne interesy.

– Ten proces przejdzie do historii kryminalistyki – podkreśla prof. Jan Widacki. – Wokół zabójstwa nastolatki celowo tworzono wiele mitów.

– Mój klient znalazł się w oku cyklonu wymyślonej historii – ocenia adwokat – w wyniku czego spędził półtora roku w areszcie i osiem lat przed sądem. Nie ma ani jednej opinii, że ma on w tej sprawie coś na sumieniu. Obciąża go świadek anonimowy. Ale kwestia świadków incognito kładzie się cieniem na rzetelności materiału dowodowego prokuratury. Jedni uznali bowiem, że pozostanie takim świadkiem to dla nich szansa zaistnienia w ich szarym życiu, więc zeznają: „Ja od kogoś słyszałem, ale nie powiem, od kogo". Hucpą było ich przesłuchanie, a następnie zatajenie 80% protokołu. Jak oskarżony ma się bronić?

Inna grupa świadków incognito została postawiona w takiej sytuacji: albo będziesz świadkiem anonimowym, albo podejrzanym. Żadna z tych osób, które rzekomo były w oku cyklonu, nie widziała tamtej nocy 1998 r. Poloneza albo Łady vel Fiata – bo różnie określa się w śledztwie samochody z rzekomymi zabójcami – nie widziała też radiowozu w absurdalnie nieprawidłowym miejscu.

– Zatem, co takiego się wydarzyło w 2016 r., że prokurator wydał dwa postanowienia z zarzutami? Dlaczego do pierwszego zatrzymania

FOT. PAP/DAREK DELMANOWICZ

eprasa.pl ec8301456a

wytypowano Leszka W., który od lat nie jest już policjantem, oraz matkę małego dziecka? Bo istniała szansa, że w ich sytuacji życiowej będą chcieli współpracować z wizjonerską magią głównego architekta aktu oskarżenia. Czy możemy dopuścić do takich uproszczeń, że pojawiających się na początku tropów nikt nie sprawdza? (Adwokat wymienia przykłady – H.K.). Prokurator liczy na to, że sąd nie przeanalizuje każdego fragmentu materiału dowodowego i nie dostrzeże ewidentnych sprzeczności, niedających się ułożyć w jedną spójną relację. Zapewne temu miała służyć niesamowita koncepcja, żeby nie przesłuchiwać świadków.

Mec. Hilarowicz odwołuje się do zasady à rebours: – Przyjmijmy za prawdę najbardziej kuriozalną część układanki wykreowanej przez prokuratora. Co musiałoby spowodowywać, żeby dwóch policjantów na służbie miało bezczynnie obserwować, jak kilku rzezimieszków wyprowadza z baru pobitą dziewczynę? Na oczach niereagujących biesiadników? W imię czego mieliby się tak zachować, nie wzywać posiłków? Przecież nie było relacji między nimi a Pawłem i Józefem K. Opowieść Leszka W. (myślę, że nie w jego głowie powstała), że jadą kawałek z Grzegorzem J. za uprowadzającymi nastolatkę i zawracają, nie ma sensu. A gdzie w tym wszystkim Renata? Bo zniknęła. A jak miałyby wjechać nocą dwa samochody na wał wiślany i do kogo należały, kto je prowadził? Dlaczego nie ma ani jednej osoby, która by potwierdziła to, co mówi mieszkający w pobliżu D., nie czyni tego nawet jego dziewczyna i ojczym? I jak to jest, cóż za przypadek, że standardem w akcie oskarżenia są świadkowie, którzy albo później odwołali swoje zeznania, albo już nie żyją?

To są kozły ofiarne

Mec. Przemysław Podlasiewicz reprezentujący kilku policjantów oskarżonych o zatajenie informacji o przestępstwie podkreśla, że nie wolno oceniać zachowania oskarżonych przez pryzmat dzisiejszych standardów czy procedur. Funkcjonariusze patrolu nie mieli formalnego obowiązku dokumentowania nieoficjalnych pogłosek, zwłaszcza że nie wchodzili w skład grupy śledczej.

W akcie oskarżenia razi brak dowodów. Dlaczego na ławie siedzą szeregowi policjanci? Gdzie są ich szefowie? To ośmioletni absurd tej sytuacji. Prokurator twierdzi, że policjant Marek K. zataił wiedzę o tragicznym wydarzeniu. Ale jego nie było wtedy w miasteczku, on

Na pasku śledczych

Dziennikarze sprawą zabójstwa Iwony Cygan zajmują się od 28 lat. Pół roku po tragicznym wydarzeniu na antenie TVP w „Magazynie Kryminalnym 997" przedstawiono hipotezę dąbrowickich śledczych, że mordercą nastolatki był chłopak, którego uczucia zostały przez Iwonę odrzucone.

W grudniu 2003 r. „Super Express" w artykule „Mają ślad zabójcy Iwony" informuje o sukcesie dąbrowickiej policji, która trafiła na mordercę. Kiedy trop okazuje się chybiony, gazeta nie wraca do tematu.

W maju 2011 r. w cyklicznym programie TVP „Listy gończe" zatytułowanym „Cyganeczka" wskazany jest kolejny morderca nastolatki. To Robert K., właściciel lokalu U Trabanta, który nie mógł zdobyć najładniejszej dziewczyny w miasteczku – owej Cyganeczki, bo wolała rówieśnika. Dziewczyna wierna była swojemu Tomkowi. Również ta wersja jest konfabulacją.

Kiedy śledztwo ponownie przejmuje Archiwum X, w „Gazecie Warszawskiej" pod koniec stycznia 2017 r pojawia się artykuł „Rodzina znanej polityk to mordercy siedemnastolatki". Ta znana polityk to Ewa Kopacz, była premier, w przekonaniu dziennikarzy tej gazety ciotka Pawła K. Ewa Kopacz zaprzecza.

Medialna machina się kręci. Prokurator Piotr Krupiński i Bogdan Michalec, szef Archiwum X, otwarcie mówią w chętnie udzielanych wywiadach, że póki oni nie przejęli śledztwa, zabójcy byli chronieni przez miejscową i powiatową policję. Prokurator w radiu Kraków: „Wszyscy w Szczucinie wiedzieli, że Paweł K. dokonał tej zbrodni. Milczeli z obawy o swe życie".

Mariusz Błaszczak, ówczesny szef MSW, zwołuje konferencję prasową z komendantem głównym policji nadinspektorem Jarosławem Szymczykiem. – Mieliśmy do czynienia z lokalnym układem, zmową milczenia – informują. – Teraz te układy są przełamywane dzięki wytężonej pracy funkcjonariuszy z Archiwum X.

W 2019 r. wychodzi reporterska książka „Miasteczko zbrodni" Moniki Góry, dziennikarki współpracującej z TVN.

Cztery lata później zabójstwem Iwony Cygan zajmuje się reporter śledczy Onetu Mateusz Baczyński w pitawalu „Martwy punkt". Rekomendujący tę książkę wydawca informuje na okładce, że z dziennikarskiego śledztwa „wyłania się wstrząsający obraz pracy prokuratury i Archiwum X, całkowicie ignorujących dowody, manipulujących opinią publiczną i w konsekwencji nakręcających spiralę nienawiści wobec podejrzanych".

Mateusz Baczyński kwestionuje większość twierdzeń Moniki Góry, która nie ukrywa swojego zaufania dla śledztwa funkcjonariuszy Archiwum X pod kierownictwem Bogdana Michalca. Autorka „Miasteczka zbrodni" nie ma wątpliwości, kto jest sprawcą. Przytaczając wyjaśnienia Pawła K., że do Polski przyjechał z Wiednia 14 sierpnia 1998 o 4 nad ranem, stwierdza: „Jak wiemy, to nieprawda".

Inne dementi dziennikarza Onetu: Archiwum X oskarża „Austriaków", że po zabraniu do samochodu dziewczyn pojechali w nocy nad Wisłę. Tam koło hangaru „Stary Klapa" zwykle urządzał grill dla policjantów. Potwierdziło to trzech świadków incognito, ale żaden z nich nie był 13 sierpnia w tym miejscu. Wszyscy powoływali się na opowieść Mariana K, który przesłuchiwany przyznał, że uczestniczył w grillowej imprezie, ale dzień po zabójstwie.

Autor „Martwego punktu" wskazuje też na wątpliwą wiarygodność powołanych przez Archiwum X świadków incognito. Większość z nich znała wydarzenie tylko ze słyszenia, bo mówiono o tym w Szczucinie na ulicach i w sklepach. I było głośno w mediach.

eprasa.pl ec8301456a

pracował w komendzie Dąbrowy Tarnowskiej, a tam, jako pochodzący ze Szczucina, był izolowany przez grupę śledczą. Kiedy wchodził do pokoju kolegów zajmujących się tym dochodzeniem, ostentacyjnie milczeli.

– Nie mam wątpliwości – przekonuje w swojej mowie obrońca – że oskarżenie po niemal 30 latach, oparte na kruchych relacjach świadków anonimowych, nie daje żadnych podstaw do skazania moich klientów. To są kozły ofiarne. Liczę, że sąd weźmie również pod uwagę wstrząsający sposób prowadzenia postępowania przygotowawczego przez organ prokuratorski wyższego szczebla. Wnoszę o uniewinnienie.

– Niektórzy świadkowie oskarżenia opisywali sytuacje, których nie mogli widzieć – twierdzi mecenas Tomasz Początek, jeden z obrońców Renaty D. Prezentując zdjęcia i mapy Szczucina, udowadnia, że z miejsca wskazywanego przez Tadeusza D. nie można było dostrzec światła samochodów za wiślanym wałem. Adwokat podważa również prokuratorską wersję wydarzeń w barze U Trabanta. Żadna z osób tam obecnych feralnej nocy nie potwierdziła, że widziała Iwonę Cygan lub oskarżonych i pobicie nastolatki.

Uniewinnienia policjanta Pawła W. domagali się obrońcy Marek Skiba i Waldemar Waszkiewicz.

– Społeczne zaufanie – zauważa mec. Skiba – że oskarżyciel publiczny działa zgodnie z prawem, zostało cynicznie wykorzystane przez prokuratora Krupińskiego, który wymyślił, że miejscowi policjanci pod wpływem grupy biznesu w miasteczku kryją sprawców morderstwa. Oskarżycielowi publicznemu do zatrzymania funkcjonariuszy wystarczyło przesłuchanie jednego świadka incognito, który zeznał, że słyszał od pewnej osoby, która dowiedziała się od innej, że doszło do podmiany włosa ofiary. Potem się okazało, że takie fałszerstwo było niemożliwe do wykonania.

Obaj obrońcy zwracają też uwagę sędziów na nieliczącego się z prawdą jednego z biegłych na usługach Archiwum X. Fabrykując dowody, w ciągu miesiąca sporządził 68 opinii korzystnych dla prowadzącego śledztwo, za które pobrał sowite honorarium. Równie dyspozycyjna okazała się inna biegła oceniająca wiarygodność psychologiczną zeznań Leszka W.

Na salę sądową dotarło też echo oświadczenia sprzed kilku lat na Facebooku kancelarii mec. Jakuba Wendego, obrońcy Józefa. K. Oto jego fragment:

„Zdecydowaliśmy się na opublikowanie naszego stanowiska w sprawie, w której występujemy jako obrońcy jednego z oskarżonych. Od miesięcy zastanawialiśmy się, czy jako adwokaci Józefa K., powinniśmy ujawnić opinii publicznej okoliczności sprawy, a także procesu sądowego, w którym uczestniczymy od czerwca 2018 r.

Niestety. Domniemania, plotki i teorie, które stanowią podstawę sformułowanych wobec oskarżonych zarzutów, tak dalece przeniknęły do świadomości uczestników tego postępowania, ale także opinii publicznej, że od czterech lat nasz Klient, 73-letni, schorowany mężczyzna, przebywa w areszcie śledczym. Na nic zdają się podnoszone przez nas argumenty, że w tej sprawie nie mamy do czynienia nawet z prawdopodobieństwem popełnienia przestępstwa. Potwierdza to każda kolejna rozprawa sądowa, a obecnie zeznania świadków incognito – osób, które według oskarżyciela i sądów stosujących tymczasowe aresztowanie miały dostarczyć informacji o udziale oskarżonych w zbrodni. Okazuje się, że nie mają na jej temat żadnej wiedzy lub wiedza ta pochodzi z mediów czy plotek. Dzisiaj już wiemy, dlaczego Prokurator próbował nakłonić Sąd do odstąpienia od przesłuchania wskazanych osób, których relacje dla oskarżyciela są po prostu kompromitujące. Nie potrafimy zrozumieć, jak na podstawie takich dowodów, materiału, który nie pozwala w żaden sposób zrekonstruować zdarzeń z sierpnia 1998 r., można przez tyle lat izolować oskarżonych.

(…) Cała ta koncepcja został oparta na tezie, że kilkunastu policjantów zaryzykowało dobre imię dla Józefa K., bo miał taką moc. A prawda jest taka, że Józef K., pracując w WOPR, zarządzał blaszanym hangarem (wykreowanym przez prokuraturę na luksusowy ośrodek, w którym bawili się prominenci) i miał jedną łódkę".

Ponad 200 wokand

Oskarżeni w ostatnim dniu procesu zachowali powściągliwość. Wszyscy chcieli tylko jednego – uniewinnienia. Już nie tłumaczyli, dlaczego. I wszyscy usłyszeli oczekiwane po ponad 200 wokandach słowo: niewinny.

Sędzia Sądu Okręgowego w Rzeszowie Mariusz Sztorc w głębokiej ciszy, przy pustej ławie opuszczonej przez rodzinę ofiary, uzasadnił, dlaczego wydano taki wyrok:

– Wyniki przewodu sądowego nie wykazały ponad wszelką wątpliwość, że oskarżeni dopuścili się zarzucanych im czynów. Zgodnie z zasadami procesu karnego o winie można orzekać wyłącznie wtedy, gdy nie istnieją nierozstrzygnięte wątpliwości dotyczące sprawstwa. W toku procesu nie pojawiły się dowody pozwalające jednoznacznie przypisać winę oskarżonym, choć przeanalizowano ponad 240 tomów akt, przesłuchano 204 świadków jawnych i 32 incognito. W ocenie sądu na miejscu zbrodni nie zabezpieczono śladów DNA, odcisków palców ani przedmiotów, które pozwalałyby bezpośrednio powiązać oskarżonych z zabójstwem.

Sędzia zwrócił także uwagę na niespójności w części zeznań świadków oraz fakt, że wielu z nich, w przekonaniu prokuratury kluczowych, nie żyje.

Wyrok rzeszowskiego sądu nie kończy postępowania. Stronom przysługuje prawo wniesienia apelacji. Rodzina Iwony Cygan już to zapowiedziała.

Helena Kowalik

Wszystko, co się wydarzyło w sprawie po 2015 r., gdy śledztwo przejęło Archiwum X, jest niezgodne z prawem.

eprasa.pl ec8301456a

WOJNA O TALERZ

Jak protekcjonizm w Unii Europejskiej rozgrywa polską żywność

Marek Czarkowski



Późną jesienią w zagrodach na Kujawach gęsi białe kołudzkie będą się tłoczyły przy korytach z owsem, nim trafią na stoły w Berlinie, Monachium i Hamburgu. A tysiąc kilometrów stąd, w gmachu Berlaymont przy Rue de la Loi 200 w Brukseli urzędnicy Komisji Europejskiej będą zastanawiali się, czy ptaki te zostaną wpisane do unijnego rejestru Chronionych Oznaczeń Geograficznych (ChOG) jako „polska gęś owsiana" i staną się cenioną marką z unijną pieczęcią, czy też pozostaną zwykłym mięsem drobiowym. Wniosek Warszawy w tej sprawie wpłynął pod koniec 2025 r.

18 czerwca 2026 r. – w ostatnim dniu dopuszczalnym przez prawo unijne, przed ogłoszeniem decyzji KE – Niemcy złożyły formalny sprzeciw wobec tej rejestracji, dowodząc, że nie ma nic nadzwyczajnego w żywieniu gęsi owsem, które – zdaniem Berlina – stosuje się także w innych państwach, a to podważa „wyjątkowy" charakter naszego produktu.

Protekcjonizm i czarny PR

To nic nowego. Jeśli sektor rolno-spożywczy odpowiada za ok. 8,5% całkowitego eksportu Unii Europejskiej i należy do nielicznych branż, w których wspólnota notuje trwałą nadwyżkę handlową ze światem, żywność od dawna jest poważnym wyzwaniem politycznym. Za każdą toną sera, mięsa czy za hodowanymi w Polsce gęsiami stoją głosy wyborców wiejskich, lobbing koncernów przetwórczych i handlowych oraz budżety państw, które dopłacają do wspólnej polityki rolnej dziesiątki miliardów euro rocznie.

A gdy na stole leży coś, co karmi ludzi i zasila PKB, unijne zasady można „rozciągać" i „naginać" – zawsze z uzasadnieniem, że chodzi o bezpieczeństwo konsumentów lub ochronę lokalnych tradycji. W Europie bowiem, w odniesieniu do rynku żywności, protekcjonizm nie jest wyjątkiem od reguły – jest regułą w przebraniu złożonych przepisów prawa.

Wszystkie państwa członkowskie nauczyły się chronić własnych producentów bez stawiania barier celnych. Jedne robią to lepiej, drugie gorzej. Czasem wystarczą częstsze kontrole na granicach, sprzeciwy w procedurze oznaczenia geograficznego albo wymóg certyfikatów, których nie ma w rozporządzeniach unijnych. Bardzo skuteczne są komunikaty prasowe, które w mediach zamieniają się w czarny PR.

Tak postąpili Czesi, gdy w 2013 r. ogłosili, że w importowanym z Polski mięsie drobiowym wykryto ślady antybiotyków stosowanych w leczeniu chorób wenerycznych. Kto chciałby „coś takiego" włożyć do ust! Skończyło się awanturą na szczeblu rządowym.

W połowie stycznia 2013 r. Irlandzka Agencja ds. Bezpieczeństwa Żywności FSAI ogłosiła wykrycie DNA koniny w mrożonych burgerach wołowych sprzedawanych w Wielkiej Brytanii i Irlandii przez sieci Tesco, Lidl, Aldi i Iceland. Afera objęła całą Europę. Okazało się, że długie łańcuchy dostaw umożliwiały „uzupełnianie" paczek z wołowiną mięsem starych rumuńskich koni i fałszywe znakowanie mięsa, co znacznie utrudniało wykrycia oszustwa.

W tym samym roku w wyniku tej afery przeprowadzono prawie 15 tys. kontroli w UE. W ponad 300 próbkach przetworzonych produktów mięsnych wykryto DNA koniny, co pokazało, że zjawisko miało charakter systemowy, a nie incydentalny. W reakcji na ten skandal wprowadzono regulacje prawne, które

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl ec8301456a

na razie skutecznie uniemożliwiają fałszowanie mięsa.

Polski rząd także się uczy. W latach 2022-2023 zgłosiliśmy do unijnego Systemu Wczesnego Ostrzegania o Niebezpiecznej Żywności i Paszach (Rapid Alert System for Food and Feed, RASFF) pochodzące z Ukrainy zboże, w którym wykryto obecność niebezpiecznych pestycydów.

Polska jest największym producentem gęsi w UE. Pogłowie sięga 1,2 mln sztuk, a eksport gęsiny wart jest niemal 61 mln euro rocznie.

Potwierdziła to Najwyższa Izba Kontroli, która ustaliła, że w pierwszych pięciu miesiącach 2023 r. w 35% badanych próbek stwierdzono różne szkodliwe substancje, w tym salmonellę, pestycydy, GMO, mykotoksyny i metale ciężkie.

To twarda gra. Z jednej strony Warszawa oskarża Berlin i Pragę o podważanie reputacji polskiej żywności, z drugiej sama sięga po embargo na ukraińskie zboża, ryzykując konflikt z KE. Tylko że tu chodzi o miliardy euro, pozycję polskiego rolnictwa i pytanie, czy jednolity rynek w ogóle jest jeszcze jednolity.

Konflikt wokół gęsi

Kołuda Wielka leży w województwie kujawsko-pomorskim, z dala od brukselskich korytarzy. To stąd, z Krajowego Ośrodka Badawczo-Rozwojowego i z okolicznych ferm, wzięła się rasa Gęś Biała Kołudzka – ptaka, który przez dekady budował reputację polskiej gęsiny w Europie. Jego hodowla ma swój rytuał.

Gęsi w końcowej fazie tuczu, przez minimum trzy tygodnie, dostają owies. To zmienia profil tłuszczowy mięsa: rośnie w nim udział nienasyconych kwasów tłuszczowych, co wpływa na charakterystyczny smak i strukturę, którą niemieccy smakosze rozpoznają bez etykiety. Produkt jest niszowy, lecz nie marginalny. Polska jest największym producentem gęsi w Unii Europejskiej. Pogłowie sięga ok. 1,2 mln sztuk, a eksport gęsiny wart jest ok. 61 mln euro rocznie. Z tego wolumenu mniej więcej 66%, czyli ok. 9,5 tys. ton, trafia do Niemiec. Berlin jest nie tylko największym klientem, lecz także najpoważniejszym przeciwnikiem w sporze o nazwę.

Niemcy są największym odbiorcą polskiej gęsi, ale mają też własnych hodowców i własny handel detaliczny, który lubi opowiadać o lokalności i tradycji. Gdyby polska gęś owsiana dostała pieczęć ChOG, niemieccy producenci i dystrybutorzy musieliby importować nasze ptaki z certyfikatem i płacić premię za nazwę.

Przy polskich wolumenach i cenach – niższych niż u wielu zachodnich konkurentów – byłoby to realne zagrożenie dla miejscowych bauerów. Niemiecki sprzeciw w ostatnim możliwym momencie był zatem nie tylko zabiegiem formalnym. To sygnał polityczno-gospodarczy: Berlin nie będzie bezczynnie się przyglądał, jak polskie rolnictwo buduje kolejną eksportową markę premium w segmencie, który ma dla niego znaczenie. Niemcy wiedzą, że bez wpisu do rejestru ChOG polska gęś owsiana pozostanie w kategorii zwykłego mięsa drobiowego, a Polacy nie będą mieli jak uzasadnić wyższej ceny i stracą siłę przetargową w negocjacjach z odbiorcami hurtowymi.

W latach 2022-2023 zgłosiliśmy do unijnego systemu RASFF pochodzące z Ukrainy zboże, w którym wykryto niebezpieczne pestycydy.

Na poziomie mikroekonomicznym skutki mogą być dotkliwe. Rolnicy i zakłady, które liczyły, że znak ChOG pozwoli inwestować w jakość, markę i marketing, otrzymały sygnał: nie wiadomo, czy certyfikat zostanie przyznany i czy nakłady zwrócą się w cenach skupu. Przy rosnących kosztach energii, pasz i pracy brak premii cenowej może w ciągu kilku lat wymusić konsolidację branży, a to oznacza, że mniejsze gospodarstwa wypadną z rynku. Sprzeciw Niemiec to nie tylko procedura. To zamrożenie awansu polskiej gęsi owsianej z prostego produktu do europejskiej kategorii premium i ostrzeżenie dla innych niszowych producentów żywności.

Dotychczas Komisja Europejska zarejestrowała 47 polskich nazw produktów rolnych i spożywczych, z czego 10 jako chronione nazwy pochodzenia (ChNP) – z których najbardziej znane są bryndza podhalańska i oscypek.

W rejestrze chronionych oznaczeń geograficznych (ChOG) znajduje się 26 polskich produktów, w tym: miód wrzosowy z Borów Dolnośląskich, truskawka kaszubska, śliwka szydłowska, wędzone jabłko sechlońskie, podpiwek kujawski, kiełbasa lisiecka, jagnięcina podhalańska, rogal świętomarciński czy jabłka grójeckie.

W unijnym rejestrze gwarantowanych tradycyjnych specjalności (GTS) znajdziemy: miód pitny Półtorak staropolski tradycyjny, kabanosy staropolskie oraz olej rydzowy tradycyjny.

Zapisanie w tych unijnych rejestrach oznacza, że mamy do czynienia z produktami najwyższej jakości, mającymi swoją historię i reputację. W praktyce przekłada się to na ich cenę, co gwarantuje producentom odpowiedni zysk. Najlepszym tego przykładem z innych krajów są francuskie szampany i koniaki, włoskie sery Parmigiano Reggiano i Pecorino Romano czy hiszpańska szynka Jamón de Teruel oraz kiełbasa Chorizo Riojano.

Choć w ostatnich dwóch dekadach wartość naszego eksportu produktów rolno-spożywczych wzrosła 20-krotnie i w ubiegłym roku osiągnęła 58,4 mld euro, co oznaczało wzrost o 8,6% w stosunku do 2024 r., wspomniane państwa zachodnie produkują i sprzedają znacznie więcej towarów z najwyższej półki. I zarabiają na tym krocie.

eprasa.pl ec8301456a

Dobrze by było, gdyby polscy politycy pamiętali, że rodzime rolnictwo i przemysł rolno-spożywczy eksportuje dziś więcej żywności, niż jej sprowadza. To znaczy, że przyczynia się do poprawy bilansu handlowego kraju.

Trudne ścieżki marek premium

Nad Wisłą powszechne jest przekonanie, że najbardziej znane w świecie polskie produkty to wódki. Co nie jest do końca prawdą. Marka produkowanej w Żyrardowie luksusowej wódki Belvedere należy do francuskiego koncernu Louis Vuitton Moët Hennessy. Wytwarzana w poznańskim Polmosie Wyborowa to inny francuski koncern – Pernod Ricard. Jedynie Żubrówka należy do rodzimego koncernu Maspex z siedzibą w Wadowicach. Rodowych klejnotów, nierozerwalnie związanych z polską kulturą, pozbyliśmy się w trakcie prywatyzacji.

W ostatnich latach sporą popularność w internecie zdobył regionalny destylat rolniczy znad Biebrzy o nazwie Kopnięcie Łosia i mocy ok. 60%. Gdyby ta rzeka płynęła w okolicach Paryża, samogon z pewnością byłby chlubą regionu, wpisaną we wszystkie możliwe unijne rejestry i chronioną przez francuskie prawo.

Batalia o gęś owsianą nie jest epizodem, który można odłożyć do szuflady z napisem „incydenty". Według analiz Instytutu Ekonomiki Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej oraz raportów branżowych ponad 30% polskich produktów rolno-spożywczych eksportowanych do Unii natrafia na pozataryfowe bariery importowe, które sami eksporterzy kwalifikują jako dyskryminujące lub nieproporcjonalne.

Lista państw próbujących dyskryminować nasze produkty jest długa i nieprzypadkowa: Czechy, Niemcy, Słowacja, Hiszpania, Węgry, Holandia, a po brexicie także Wielka Brytania. To nie mapa wrogów, lecz rynków, na których polska żywność jest na tyle konkurencyjna cenowo, że tamtejsi producenci i sieci handlowe szukają sposobów, by spowolnić jej marsz.

W unijnym rejestrze gwarantowanych tradycyjnych specjalności (GTS) znajdziemy: miód pitny Półtorak staropolski tradycyjny, kabanosy staropolskie oraz olej rydzowy tradycyjny.

Bariery rzadko wyglądają jak klasyczne embargo. Częstsze kontrole sanitarne niż dla produktów krajowych albo zachodnich to wariant czeski, choć nie tylko. Dodatkowe wymogi certyfikacyjne, które nie wynikają wprost z prawa unijnego, ale z wytycznych sieci handlowych lub interpretacji lokalnych urzędów. Żądanie „ponadstandardowej" dokumentacji: certyfikatów laboratoryjnych, oświadczeń o pochodzeniu pasz, audytów zakładu, których rozporządzenia UE nie wymagają. Utrudniony dostęp do półek wielkich sieci – Lidl, Rewe, Carrefour – które formalnie kupują na wspólnym rynku, a w praktyce faworyzują lokalnych dostawców. Żadne z tych działań nie musi łamać traktatów. Za to razem tworzą system, który podnosi koszty i wydłuża wejście na rynek.

Szacunki branżowe mówią, że pokonywanie pozataryfowych przeszkód może podnosić koszty eksportu o 4% wartości dostawy. Brzmi niewinnie, dopóki nie przełoży się tego na marże w sektorze spożywczym, gdzie liczy się każdy punkt. Średni czas na rozwiązanie sporu administracyjnego albo certyfikacyjnego wynosi od kilku dni do kilku tygodni. Przy produktach łatwo psujących się – mięsie, nabiale, świeżych przetworach – kilka dni postoju na granicy albo w magazynie przeładunkowym bywa równoznaczne ze stratą całego ładunku. Eksporter nie idzie wtedy do sądu unijnego. Wyrzuca towar, obniża cenę przy następnej dostawie albo w ogóle rezygnuje z danego rynku. Protekcjonizm najskuteczniej działa wtedy, gdy ofiara sama się wycofuje.

Wątek gęsi owsianej wraca tu jako ilustracja systemu, nie jako ciekawostka. Sprzeciw Niemiec wobec ChOG to kolejna odsłona tej samej logiki: nie trzeba zakazywać importu, wystarczy zdusić możliwość budowania marki. Produkt bez pieczęci geograficznej pozostaje towarem porównywalnym cenowo z każdym innym. Produkt z pieczęcią zyskuje premię i lojalność konsumenta. Zablokowanie tej ścieżki jest subtelniejsze niż embargo i trudniejsze do zaskarżenia, bo odbywa się w ramach legalnej procedury sprzeciwu. Ale skutek rynkowy jest podobny: polski producent zalega na dole łańcucha wartości, a marża premium zostaje po stronie detalu i marek lokalnych w kraju odbiorcy.

Protekcjonizm nie musi krzyczeć. Wystarczy, że dyskretnie szepcze w języku procedur.

Marek Czarkowski



eprasa.pl ec8301456a



Z Galicji

Jan Widacki

Internet a demokracja

Dawniej mówiono, że celem polityki jest praca na rzecz dobra wspólnego. Wydawało się to proste, dopóki nie zaczęto dociekać, co jest „dobrem wspólnym", kto je definiuje, która droga do tego dobra wspólnego jest najlepsza, kto ją wybiera i na koniec realizuje.

W demokracji teoretycznie na te wszystkie pytania odpowiadają wyborcy, oddając głosy na tych, którzy ich zdaniem najlepiej to dobro wspólne definiują oraz najlepiej dobierają drogi i metody dochodzenia do tego dobra. Aby wygrać demokratyczne wybory, trzeba było mieć dobry program i umieć wyborców do tego programu przekonać. Uczciwie albo mniej uczciwie, posługując się czasem kłamstwem, czasem tylko demagogią i populizmem. Narzędziem tego przekonywania były media. Dawne wiece zastąpiły gazety, później pojawiło się radio, na koniec telewizja. Ta ostatnia przez kilkadziesiąt lat była najbardziej wpływowym medium.

To media, a ściślej politycy za pośrednictwem mediów komunikowali się z późniejszymi wyborcami. Pośrednikiem między politykiem a wyborcą był dziennikarz. Ważnym pośrednikiem. Tak ważnym, że media nazwano nawet czwartą władzą. To głównie od mediów zależało, które treści wypowiadane przez polityków trafiają do wyborców i z jakim dziennikarskim komentarzem. Stąd każda władza, podobnie jak każda opozycja, chciała mieć wpływ na media, a najlepiej mieć swoje media. W tych warunkach zrodziła się idea mediów publicznych, niezależnych od władzy. Z realizacją tej idei w różnych państwach, w tym w Polsce, bywało różnie. Do tego doszły media, w tym telewizje komercyjne. Ich właściciele i redakcje miały swoje polityczne sympatie i antypatie oraz swoje interesy, które czasem kazały im podejmować jakieś gry lub wchodzić w układy z siłami politycznymi. Generalnie pluralizm mediów dobrze służył demokracji.

W ostatnich dekadach pojawiło się medium nowe, dotąd nieznane, które nie tylko przewróciło do góry nogami medialny porządek, ale pośrednio zachwiało całym systemem politycznym. Tym medium jest internet. Obraz świata, w tym polityki, także poglądy polityczne, kształtują już nie gazety ani nawet nie telewizja, ale internet właśnie. Dziennikarze i złożone z nich redakcje przestają na naszych oczach być pośrednikami między politykami a wyborcami. To wyborcy sami między sobą wymieniają się informacjami i komentarzami. Liczba komentarzy, kliknięć pod najgłupszymi, ale emocjonalnie i demagogicznie sformułowanymi wpisami często przekracza liczbę czytelników artykułów prasowych. Zanim materiał dziennikarski zostanie opublikowany, musi być zaakceptowany przez redakcję. To ona czuwa, aby był zgodny z linią pisma, aby był odpowiedzialny, zawierał prawdziwe informacje i mądre komentarze, by w razie czego nie kompromitował gazety, nie ośmieszał jej i nie pozbawiał czytelników. W internecie każdy może pisać, co chce, nie ponosząc za to żadnej odpowiedzialności.

Zakończył się niedawno proces o okrutne morderstwo popełnione jeszcze w 1998 r. Śledztwo w jego sprawie kilkakrotnie umarzano z powodu niewykrycia sprawcy. Ostatecznie, gdy do sądu trafił akt oskarżenia, w ciągu siedmiu lat odbyło się 201 rozpraw. Akta zawierają ponad 200 tomów. Sąd, nie znajdując podstaw do skazania oskarżonych, uniewinnił ich.

Populizm wyznacza kierunek polityki. Demagogia zastępuje demokrację.

W sieci zaroiło się od wpisów odsądzających od czci i wiary sąd, wymiar sprawiedliwości i uczestników procesu. Kilkuset internautów, nie znając akt ani przebiegu żadnej z 201 rozpraw, nie mając pojęcia o dowodach, już na drugi dzień po ogłoszeniu wyroku potrafiło wystawić kategoryczną ocenę, że wyrok jest niesprawiedliwy, sąd skorumpowany, powiązany układami, a oskarżeni wpływowi. Bez znajomości sprawy autorzy wpisów wiedzą, że oskarżony był winny. Skąd to wiedzą? Z poprzedniego wpisu poprzedniego idioty? Kolejność wpisów pokazuje, jak emocje się nakręcają. Każdy następny wpis następnego durnia jest bardziej stanowczy, bardziej obraźliwy, bardziej emocjonalny i głupszy. Każdy kolejny stara się przelicytować poprzednika.

Tak w dobie internetu kształtuje się opinia publiczna. Politycy, którzy już dawno wspomniane na wstępie dobro wspólne definiują jako poparcie udzielone ich partii, wpatrzeni w słupki poparcia dostosowują do gustów i przekonań potencjalnego elektoratu swoją politykę i programy. Ulegają populizmowi. Bardziej liczą się z emocjami niż faktami. Programy dostosowują do emocji nie do faktów. Licytują między sobą, kto zrobi to skuteczniej. Populizm wyznacza kierunek polityki. Demagogia zastępuje demokrację. Nie tylko w Polsce. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ec8301456a



Trzy polityczne lekcje z „Odysei" Christophera Nolana



Kadry z „Odysei" w reżyserii Christophera Nolana.

Piotr Kimla

Czyście już Państwo oglądali „Odyseję" Christophera Nolana? Słyszę, że w Warszawie w IMAX-ach (film kręcony specjalnymi kamerami pod format tych kin) do 1 sierpnia bilety były wykupione. To dzieło trzeba zobaczyć. Trzeba także pogodzić się z faktem, że podstawowe toposy naszej kultury będą docierały do szerokiej publiczności w ten właśnie sposób. Poziom wyrafinowania interpretacyjnego „Odysei" prezentowany przez prof. Ewę Miodońską-Brooks przechowuje się w nielicznych głowach absolwentów ujotowskiej polonistyki i teatrologii. Już nie wróci.

Film Nolana jest szeroko omawiany przez krytyków filmowych, blogerów, youtuberów, hosztaplerów i nie mam zamiaru wtrącać się do ich dyskusji. Interesują mnie głębia i doniosłość wiedzy politycznej zawarte w filmowym dziele. Powie ktoś, że z ekranu przemawia do nas po prostu mądrość polityczna Homera. To oczywiście prawda, ale nie znaczy to, że brytyjsko-amerykański reżyser nie mógł pójść łatwą drogą i pokazać Odyseusza jako sprytnego poszukiwacza przygód. Reżyser ma zasługę w przekazaniu nam politycznych lekcji Homera. Lekcji niezwykle istotnych w świetle społeczno-politycznych problemów współczesnego świata.

„Odyseja" jest filmem antywojennym i pokazuje autentyczną grozę wojny. Odziera ją z blichtru bohaterstwa i wzniosłości, jakim karmi się społeczeństwa w przededniu jej inicjowania. Homer, podobnie

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl ec8301456a

jak Tukidydes, doskonale wie, że wojna nikogo nie pozostawia na swoim miejscu, zarówno fizycznie, jak i mentalnie. Jak pisał Bronisław Łagowski w eseju o Tukidydesie, „wojna okazuje się wielką pomyłką, zbrodniczym głupstwem, niedającym żadnych zaspokojeń, drogą zawsze prowadzącą donikąd. (…) Wojna zawodzi [człowieka – P.K.] zawsze i jest jego błędem absolutnym".

Odys w filmie Nolana jest tego doskonałą egzemplifikacją. Niesie brzemię świadomości zniszczenia podstępem świetnego miasta i, co może jeszcze gorsze, świadomości podcięcia sił witalnych nomokratycznemu wymiarowi własnej kultury, wyrażającemu się w posłuszeństwie prawom boskim i ludzkim. To on i jego towarzysze stają się w końcu niesławnymi „ludźmi morza" – uosobieniem grozy i barbarzyństwa w oczach cywilizowanej ludności. Nie tylko dowcipnie, ale prawdziwie mówi Kirke do towarzyszy Odyseusza, przemieniając ich z powrotem ze świń w ludzi: „Wróćcie do swoich przebrań". Ludzkie fizjonomie są jedynie kamuflażem dla nieszanujących zasad i prawa zdziczałych ludzi, którymi uczyniła ich wojna.

Antymilitarystyczne przesłanie filmu Nolana jest w kontekście współczesności tak istotne, że samo w sobie przesądzałoby o jego doniosłości. Ale istotnej wiedzy politycznej mamy w „Odysei" więcej. Film jest opowieścią o potędze determinizmu w świecie polityki. To szczególnie ważne dzisiaj, gdyż mainstreamowy przekaz płynący z kultury popularnej (nade wszystko, rzecz jasna, z kina amerykańskiego) jest ze swej istoty woluntarystyczny. Sprowadza się do banalnych twierdzeń, że człowiek jest panem siebie, kowalem swojego losu, wszystko może, o ile tylko dostatecznie mocno tego chce.

Homer, Tukidydes, ale także Nolan myślą inaczej. Z punktu widzenia polityki rozumują poprawniej. Dobrze wiedzą – tak jak dobrze wiedział nasz Stefan Kisielewski – że polityka to „sztuka poruszania się i robienia czegoś w okolicznościach danych, zastanych, na które ma się wpływ minimalny". Świetny w filmie jest moment, w którym Odyseusz tłumaczy Penelopie, dlaczego nie leży w ich mocy ucieczka przed władzą Agamemnona i przed nieszczęściami, jakie niesie wojna.

Wspomniałem o boskich i ludzkich prawach, którym podlegają homerowscy bohaterowie. Kluczowy jest fakt, że złamanie tych praw ma zawsze swoje konsekwencje, nawet jeśli nie są one natychmiastowe. Praworządność i konieczność podporządkowania się prawu jest zatem trzecią polityczną lekcją płynącą z ekranizacji homerowego dzieła. To oczywiste, że jest to zarazem zasadniczy problem współczesnego świata polityki, w którym na naszych oczach prawo jest bezpardonowo gwałcone, a triumfować zdają się doraźne interesy i naga siła. Wiara w siłę jest iluzją i zasadniczym błędem politycznym, ponieważ siła nie jest nigdy czynnikiem trwale porządkującym polityczną rzeczywistość.

Piszę to od ćwierćwiecza, analizując realizm polityczny. Rządy oparte na sile z czasem muszą stać się „prawym rządzeniem" – rządami opartymi na prawie – by zapożyczyć się u klasyka Jeana Bodina. Inaczej upadną. Tylko prawo, zasady i reguły czynią ludzkie życie stabilnym i przewidywalnym. Tylko ich istnienie wykrzesuje z nas energię do zakładania biznesów i do inwestowania. Tylko prawo czyni nasze życie cywilizowanym, humanitarnym i egalitarystycznym, ponieważ zrównuje silnych i słabych, bogatych i biednych, bystrych i mniej inteligentnych. Tylko ono tworzy i gwarantuje przestrzeń wolności. Daje wolność w warunkach porządku prawnopaństwowego. Danie ludziom wolności w warunkach takiego ładu jest najwyższą sztuką polityczną, największym politycznym dokonaniem.

Wywodząca się od Greków nasza cywilizacja dokonała tego przy pomocy bogów/Boga, o których/którym nasi przodkowie byli przekonani, że widzą/widzi nas w każdej chwili naszego życia. Dzisiaj być może jesteśmy w trudniejszej sytuacji. Musimy respektować prawo, nawet jeśli nie podzielamy już tej wiary. Musimy przestrzegać prawa wsparci nie tyle świadomością boskich sankcji, ile przekonaniem o jego zbawienności i nieodzowności. Na pogłębienie tego przekonania powinna wpływać nieuchronność sankcji ze strony państwa.

„Odyseja" jest filmem antywojennym i pokazuje autentyczną grozę wojny. Odziera ją z blichtru bohaterstwa i wzniosłości.

Bohaterowie „Odysei" są determinowani zarówno przez prawo bogów, jak i prawa ludzkie. Determinizm ten nie jest jego skrajną formą, czyli fatalizmem, który znamy od stoików („wolność to tylko uświadomiona konieczność"), a którego rzecznikiem w nowożytności był Baruch Spinoza. Spinoza, który twierdził, że człowiek ma tyle wolności, ile rzucony kamień, któremu się wydaje, że jest wolny, bo sam leci.

W świecie polityki istnieje przestrzeń dla ludzkiej wolności i ludzkiej decyzji, ale nie jest ona bezgraniczna, jak chcą nas przekonać woluntaryści. Jest wąska, bo trzeba liczyć się z ogółem przymusów, które istnieją w sferze politycznej. Przymusów stworzonych np. przez poprzednio podjęte decyzje, których autorami często nie jesteśmy my sami, lecz nasi poprzednicy.

Bronisław Łagowski w eseju o Tukidydesie pisał: „Wojna okazuje się wielką pomyłką, zbrodniczym głupstwem, drogą zawsze prowadzącą donikąd".

Prof. dr hab. Piotr Kimla pracuje w Katedrze Stosunków Międzynarodowych i Polityki Zagranicznej Instytutu Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych na Wydziale Studiów Międzynarodowych i Politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego

eprasa.pl ec8301456a

NĘDZA ANTYKOMUNIZMU

Czy obecny prezydent RP potrafiłby budować „zgodę narodową”, jak to robili jego poprzednicy z PRL?

Paweł Siergiejczyk

Karol Nawrocki nigdy nie przestał być szefem Instytutu Pamięci Narodowej. I nigdy nim być nie przestanie – nawet gdy zostanie powołany kolejny prezes tej instytucji. Bo Nawrocki jest dzieckiem IPN, z którym związał całe dorosłe życie i dzięki któremu zrobił tak zdumiewającą karierę. Dlatego IPN-owski antykomunizm będzie oficjalną ideologią III RP przynajmniej tak długo, jak długo Nawrocki pozostanie głową państwa.

Najnowszym przejawem tej ideologii jest prezydencki projekt Ustawy o ustanowieniu Dnia Działacza Opozycji Antykomunistycznej i Osoby Represjonowanej z Powodów Politycznych ogłoszony przez Nawrockiego 28 czerwca, podczas obchodów 70. rocznicy tragicznych wydarzeń w Poznaniu. Sam tekst projektu nie jest zbyt ambitny, składa się bowiem z trzech jednozdaniowych artykułów, które ustanawiają nowe święto państwowe właśnie na 28 czerwca, ustawa wchodzi w życie z dniem ogłoszenia. Nie miałby to oczywiście być dzień wolny od pracy, więc jego ranga byłaby równa marcowemu świętu „żołnierzy wyklętych”, a w praktyce nawet mniejsza, bo w marcu kult „niezłomnych” można narzucać uczniom w szkołach (co często się robi), zaś koniec czerwca to już wakacje, zatem możliwości szkolnej indoktrynacji będą niewielkie.

Nawrockiemu jednak bardzo zależy na ustanowieniu nowego święta, gdyż ma ono stanowić logiczną ciągłość tego, co IPN-owska propaganda stara się narzucić Polakom 1 marca każdego roku. W uzasadnieniu prezydenckiego projektu czytamy:

„Odniesienie do Czerwca 1956 r. ma swoje uzasadnienie historyczne i symboliczne. Przyjmuje się bowiem, że walka zbrojna Polaków o odzyskanie niepodległości kończyła się właśnie w 1956 r., choć oczywiście pojedyncze przypadki walki z bronią w ręku trwały aż do października 1963 r. Od wystąpień robotniczych w Poznaniu w 1956 r. można datować początek nowej formy walki – już bezorężnej – o wolność, godność i niepodległość i można tym samym przyjąć wydarzenia poznańskie za początek opozycji antykomunistycznej i punkt odniesienia dla kolejnych zrywów wolnościowych w marcu 1968 r., w grudniu 1970 r., w czerwcu 1976 r. i wreszcie w sierpniu 1980 r.

Potrzeba ustanowienia dnia 28 czerwca świętem państwowym wynika z konieczności godnego upamiętnienia osób, które w latach 1956-1989, z narażeniem życia, wolności i mienia podejmowały walkę o suwerenność i niepodległość Ojczyzny. Choć obowiązujące przepisy zapewniają tej grupie opiekę państwa i pomoc materialną, brakuje w kalendarzu państwowym wyraźnego akcentu celebrującego ich heroiczną postawę”.

> IPN-owski antykomunizm będzie oficjalną ideologią III RP tak długo, jak długo Nawrocki pozostanie głową państwa.

Zestaw kłamstw

Te dwa krótkie akapity zawierają cały zestaw kłamstw historycznych, na których oparta jest propaganda IPN. Pierwsze kłamstwo zawiera się w tezie o „walce zbrojnej Polaków” aż po rok 1956, a nawet 1963, co jest już kompletną aberracją (chodzi o datę śmierci ostatniego z „wyklętych”, Józefa Franczaka, ukrywającego się przez kilkanaście lat w lasach Lubelszczyzny). Walka zbrojna przeciwko nowej władzy faktycznie skończyła się bowiem po wyborach i amnestii z 1947 r. Później w lasach pozostały już tylko nieliczne grupki najbardziej zdesperowanych, których tragiczny los nie miał przecież żadnego wpływu na losy Polski.

Drugie kłamstwo zawiera się w stwierdzeniu, że „można przyjąć wydarzenia poznańskie za początek opozycji antykomunistycznej”. Robotniczy protest w stolicy Wielkopolski był wydarzeniem jednodniowym, krwawo stłumionym przez wojsko i, owszem, mającym ogromny wpływ na dalszy bieg wydarzeń, ale głównie w samej partii rządzącej, gdyż w pełni ujawnił konflikt wewnętrzny w PZPR i skalę niechęci jej licznych działaczy do dalszej podległości Moskwie, co umożliwiło już w październiku 1956 r. przejęcie władzy przez Władysława Gomułkę jako wyraziciela niepodległościowych aspiracji większości społeczeństwa. Niepodległościowych, a nie antykomunistycznych, bo takiego określenia w ogóle nie używano ani wtedy ani później.

eprasa.pl ec8301456a



Obalenie pomnika radzieckiego żołnierza w miejscowości Siedlec w Wielkopolsce. Nz. ówczesny prezes IPN Karol Nawrocki i wójt gminy Jacek Kolesiński, 20 kwietnia 2022 r.

Nie używał go także żaden nurt opozycji w PRL, na co w ostatnich latach życia zwracał uwagę jeden z najdłużej więzionych opozycjonistów, Leszek Moczulski (zmarły w 2024 r.). Słusznie zresztą dowodzący, że słowo „komunizm" było tak wieloznaczne, zarówno na gruncie radzieckim, jak i międzynarodowym, że dla obywateli powojennej Polski nie mogło stanowić realnego punktu odniesienia. Dlatego opozycja w PRL walczyła o prawa człowieka, demokrację, zrzucenie zależności od ZSRR, ale nigdy nie głosiła żadnego „antykomunizmu". To termin całkowicie ahistoryczny, wprowadzony do obiegu publicznego dopiero w III RP, a na szeroką skalę wraz z upowszechnieniem się IPN-owskiej wersji historii.

Kolejnym kłamstwem jest łączenie tej rzekomej „opozycji antykomunistycznej" ze „zrywami wolnościowymi", które miał zapoczątkować poznański Czerwiec 1956 r. Z całej serii wydarzeń wymienionych w uzasadnieniu projektu ustawy jedynie marcowe protesty studenckie z 1968 r. miały charakter wolnościowy, bo dotyczyły takich spraw jak działalność cenzury, ograniczanie swobód kulturalnych i naukowych.

Opozycja w PRL walczyła o prawa człowieka, demokrację, zrzucenie zależności od ZSRR, ale nigdy nie głosiła „antykomunizmu".

Pozostałe „zrywy" stanowiły po prostu spontaniczną reakcję mieszkańców dużych ośrodków przemysłowych na kolejne podwyżki cen żywności i w ogóle na trudności ekonomiczno-socjalne, z którymi władza nie mogła sobie poradzić. Tak było w Poznaniu w 1956 r., na Wybrzeżu w grudniu 1970 r., w Radomiu i Ursusie w czerwcu 1976 r., wreszcie w dużej części kraju latem 1980 r. Nazywanie „antykomunizmem" każdego niezadowolenia z działań ówczesnej władzy jest oczywiście również ahistorycznym nadużyciem.

Odwaga i nonkonformizm

Również teza o „konieczności godnego upamiętnienia osób, które w latach 1956-1989, z narażeniem życia, wolności i mienia, podejmowały walkę o suwerenność i niepodległość Ojczyzny", nie ma wiele wspólnego z prawdą historyczną. Przez większość tego okresu (do 1980 r.) takich osób była bowiem garstka, można by ją liczyć najwyżej w setkach, bo na pewno nie w tysiącach. Tzw. opozycja przedsierpniowa skupiała głównie wąskie środowiska inteligenckie z największych miast (na czele z Warszawą) i nie stanowiła żadnego zagrożenia dla władzy, która zresztą ograniczała represje do minimum, nie chcąc sprawiać złego wrażenia na Zachodzie, skąd w latach 70. ekipa Gierka czerpała kredyty i międzynarodowy prestiż.

W ogóle nie da się tego porównać z czasami stalinizmu, gdy przeciwnicy nowej władzy – prawdziwi lub nawet domniemani – byli torturowani, skazywani na wieloletnie więzienia czy karę śmierci. Po 1956 r. to wszystko się skończyło, zatem opozycjoniści nie ryzykowali życiem i byli więzieni raczej krótko (poza wyjątkami, takimi jak Jacek Kuroń, Karol Modzelewski czy wspomniany Leszek Moczulski), bo władze często ogłaszały dla nich amnestie. Mienia też im nikt nie zabierał, o czym świadczy choćby fakt, że co najmniej do końca PRL mieszkali

FOT. ADAM JASTRZEBOWSKI/POLSKA PRESS/EAST NEWS

eprasa.pl ec8301456a

w tych samych mieszkaniach, otrzymanych zresztą w ramach powojennych przydziałów. A były to przecież mieszkania, których adresy w drugiej połowie lat 70. oficjalnie podawano jako punkty kontaktowe KOR, ROPCiO czy KPN!

O ile jednak ludzi opozycji sprzed 1980 r. należy cenić przynajmniej za osobistą odwagę i nonkonformizm, to w ostatniej dekadzie Polski Ludowej sytuacja wyglądała już inaczej. Od jesieni 1980 r. do legalnej Solidarności zapisało się kilka milionów ludzi, co żadnym aktem odwagi nie było. Wręcz przeciwnie – stanowiło często wyraz skrajnego konformizmu, zwłaszcza w tych zakładach pracy, w których nowy związek stał się siłą dominującą. Nic dziwnego, że po wprowadzeniu stanu wojennego Solidarność faktycznie się rozpadła, gdy internowano kilkanaście tysięcy jej najaktywniejszych działaczy. Zresztą wielu internowanych niedługo po uwolnieniu skorzystało z możliwości wyjazdu na Zachód, skąd najczęściej już nigdy nie wrócili.

Ci, którzy pozostali, nieraz angażowali się w działalność tzw. podziemia, co w praktyce sprowadzało się głównie do kolportowania ulotek, gazetek czy książek z podziemnych wydawnictw. Innej działalności właściwie nie podejmowano i nawet radykalna Solidarność Walcząca pod wodzą Kornela Morawieckiego na szczęście nie zrealizowała swoich zapowiedzi zbrojnego oporu wobec władzy.

Główną ostoją dla środowisk opozycyjnych był bowiem Kościół katolicki, którego ówczesne kierownictwo – z prymasem Józefem Glempem i oczywiście papieżem Janem Pawłem II na czele – konsekwentnie dążyło do uspokojenia sytuacji w kraju i podejmowało rozmaite próby pogodzenia władzy z opozycją, co ostatecznie doprowadziło do Okrągłego Stołu.

Żadnych niuansów

W latach 80. działalność opozycyjna nie wymagała już zatem żadnej „heroicznej postawy", której celebrowania dziś tak się domaga prezydent Nawrocki. Zresztą działalności tej było coraz mniej, bo z każdym rokiem szeregi ludzi zaangażowanych w podziemie topniały, a w drugiej połowie lat 80. były to – niemal jak dekadę wcześniej – nieliczne grupki skupione wokół lokalnych liderów, którym po ostatniej amnestii z 1986 r. nie groziło już nawet więzienie.

Z pewnością wie o tym doskonale Karol Nawrocki, który 13 lat temu obronił na Uniwersytecie Gdańskim pracę doktorską dotyczącą „oporu społecznego wobec władzy komunistycznej w województwie elbląskim 1976-1989". Woli jednak podtrzymywać mit „opozycji antykomunistycznej" i jej rzekomo zasadniczego udziału w odzyskaniu pełnej suwerenności przez nasz kraj.

W uzasadnieniu swojego projektu prezydent twierdzi, że ustanowienie nowego święta „pozwoli na wzmocnienie tożsamości narodowej, poprzez utrwalenie pamięci o pokojowym demontażu systemu totalitarnego i budowanie postaw odwagi cywilnej i szacunku dla demokratycznych wartości wywalczonych przez opozycję". Czy jednak „wzmocnienie tożsamości narodowej" można osiągnąć poprzez głoszenie zakłamanej historii? Bowiem PRL to nie był żaden „system totalitarny", a już na pewno nie w latach 80., gdy rzeczywiście doszło do pokojowego demontażu systemu, tyle że raczej autorytarnego, i to w bardzo łagodnej formie.

Jeśli zaś Polskę Ludową nazwiemy państwem totalitarnym, to jak należałoby określić ZSRR albo ChRL? Bo chyba nawet najskrajniejszy antykomunista zgodzi się, że różnice między nami a komunistyczną Moskwą i Pekinem istniały, i to zdecydowanie na korzyść PRL.

A ów pokojowy demontaż udało się przeprowadzić nie tyle dzięki opozycji (choć przy jej udziale), ile wskutek decyzji kierownictwa PZPR z gen. Wojciechem Jaruzelskim na czele. O tym jednak od obecnego prezydenta ani w ogóle od IPN-owskich pseudohistoryków nigdy nie usłyszymy. Ich mocno spóźniony antykomunizm (wszak sami najczęściej epoki sprzed 1989 r. nie pamiętają) polega bowiem na prostym, a wręcz prostackim rozróżnieniu: zła władza kontra „opór społeczny" w PRL. W tym schemacie nie ma miejsca na żadne niuanse, dwuznaczności czy paradoksy. Dlatego historia w wersji IPN-owskiej jest szara, nudna i do bólu przewidywalna, a narzucany przez tę instytucję rocznicowy patos – sztuczny, wymuszony i nieznośny. A to tylko zniechęca młode pokolenia do historii, o czym świadczy choćby spadająca z roku na rok liczba uczniów wybierających ten przedmiot na maturze.

Tymczasem powojenne 45-lecie to na tyle długa epoka w dziejach Polski, by odnaleźć w niej naprawdę mnóstwo fascynujących wydarzeń, arcyciekawych postaci i kluczowych procesów, które pozwalają zrozumieć genezę naszej współczesności. Zamiast więc nasiąkać prostackim antykomunizmem rodem z IPN, lepiej sięgnąć po lekturę, która pokaże nam Polskę Ludową w jej wszystkich barwach i odcieniach. Chodzi o dzieło, które dla naszej historii współczesnej jest mniej więcej tym, czym dla dziejów średniowiecznych była kronika Jana Długosza.

Owym „Długoszem PRL" był oczywiście Mieczysław Rakowski, autor dziesięciu tomów dzienników z lat 1958-1990. Ostatni premier i I sekretarz KC PZPR w swoich zapiskach doskonale oddawał prawdę o tamtym ustroju, który obserwował z podwójnej perspektywy: człowieka władzy i niezwykle krytycznego intelektualisty.

Lista odznaczonych

Z myślą o prezydencie Nawrockim, który ostatnio jest szczególnie

Antykomunizm to termin ahistoryczny, wprowadzony do obiegu dopiero w III RP, wraz z upowszechnieniem się IPN-owskiej wersji historii.

eprasa.pl ec8301456a

aktywny na polu polityki orderowej, warto zacytować bardzo znamienny fragment tego dzieła. 24 lipca 1969 r. Rakowski zanotował:

„A więc jesteśmy już po narodowych jasełkach. Z wielką pompą obchodzono 25. rocznicę PKWN. Na Placu Defilad odbyła się wielka defilada wojskowa, parada sportowców i manifestacja młodzieży. Było wiele przemówień i odznaczeń. Wzajemnie przypinano sobie na piersiach najwyższe odznaczenia państwowe. W Komitecie Centralnym połowa pracowników otrzymała ordery. Sztandar Pracy I klasy otrzymał Piasecki, a jego pomocnik – Przetakiewicz (przed wojną faszyzujący) – Komandorię. Słowem – zgoda narodowa. Władza jest wspaniałomyślna. Odznaczenia otrzymali także księża i świeccy działacze katoliccy. Między innymi prezes Caritasu – ks. Antoni Lempart (Sztandar Pracy I klasy), naczelny dziekan WP – ks. płk. Julian Humeński (Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski), rektor Akademii Teologii Katolickiej – ks. prof. Józef Iwanicki (Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski). Wśród działaczy świeckich: wiceprezes Klubu Inteligencji Katolickiej – poseł Konstanty Łubieński (Sztandar Pracy II klasy), Stanisław Stomma (Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski), Tadeusz Mazowiecki, Andrzej Micewa-Micewski, Janusz Zabłocki i Kazimierz Morawski (Krzyże Oficerskie Orderu Odrodzenia Polski), redaktorzy naczelni: Jerzy Ślaski (tygodnik »WTK«), Jerzy Turowicz (»Tygodnik Powszechny«) i Maciej Wrzeszcz (»Kierunki«). Oby tylko nie nadeszły jeszcze czasy, w których wieszani będą ci, którzy dzisiaj zawieszają ordery”.

To ostatnie zdanie powinni sobie wziąć do serca wszyscy rządzący w każdej epoce. Tym bardziej że szybko okazało się ono prorocze – wszak już półtora roku później nie było u władzy ekipy Gomułki, która miała tak hojną rękę do odznaczania nie tylko „swoich”, ale i licznych katolików, a nawet eksponowanych przedstawicieli kleru.

Zauważmy przy okazji, że wśród odznaczonych byli czołowi posłowie koła Znak (Stomma i Mazowiecki), którzy w marcu 1968 r. stanęli w obronie protestujących studentów. Był też Jerzy Ślaski, paksowski dziennikarz i historyk, w młodości partyzant AK i więzień NKWD, późniejszy autor ważnych książek o wojennym i powojennym podziemiu, twórca określenia „żołnierze wyklęci”.

Czy obecny prezydent RP potrafiłby tak wspaniałomyślnie budować „zgodę narodową”, jak to robili jego poprzednicy z PRL?

Historia według IPN jest szara, nudna i przewidywalna, a narzucany przez tę instytucję rocznicowy patos – sztuczny i wymuszony.

Paweł Siergiejczyk



eprasa.pl ec8301456a

PUŁKOWNIK od siedmiu grzechów

Zbigniew Załuski w czołówce publicystów PRL

Tomasz Leszkowicz

Politruk broniący polskich tradycji orężnych? Zesłaniec do Kazachstanu opiewający braterstwo broni z Armią Czerwoną? Ostatni w historii polskiej literatury żołnierz pisarz? Zbigniew Załuski, prawdopodobnie najsłynniejszy pułkownik lat 60., galopem wszedł do czołówki publicystów epoki PRL.

Polacy uwielbiają spierać się o własną historię. Na przełomie 1962 i 1963 r. z zapałem kłócili się o sens szarż szwoleżerów w wąwozie Somosierra i śmierci ks. Józefa Poniatowskiego. W ogólnopolskiej dyskusji udział wzięła czołówka ówczesnych piór. Atmosfera w pewnym momencie rozgrzała się do takiego stopnia, że decyzję o wygaszeniu podjęło Biuro Prasy KC PZPR. Nawiązania do sporu pojawiały się w satyrycznych „Szpilkach" i popularnych radiowych „Matysiakach". Książka, od której wszystko się zaczęło, stała się hitem czarnego rynku.

Publikacja nosiła tytuł „Siedem polskich grzechów głównych" i ukazała się nakładem Czytelnika. Jej autorem był Zbigniew Załuski – pułkownik Ludowego Wojska Polskiego, od prawie dwóch dekad oficer polityczny. Nie miał jeszcze 40 lat, swoimi tezami sprowokował jednak dyskusję, która nie tylko ze względu na treść historyczną, ale zwłaszcza polityczną, zapisała się w podręcznikach najnowszych dziejów Polski.

„W czterdziestym nas matko…"

Wojskowe akta personalne, słownik pisarzy i nagrobek w alei zasłużonych na Powązkach są zgodne: Załuski urodził się 31 lipca 1926 r. Jeszcze za jego życia pojawiały się sugestie, m.in. jego przyjaciela Janusza Przymanowskiego, że data ta nie jest do końca precyzyjna. Dziś jego syn potwierdza, że ojciec dodał sobie rok, by móc pójść do wojska. Dokumenty z archiwum w kazachstańskim Pawłodarze poświadczają tę informację: Załuski Zbigniew, wieś Kaczyry, urodzony w 1927 r. Na przełomie 1943 i 1944 r. w miejscowym radzieckim wojenkomacie postarzył się najpopularniejszą znaną metodą: na zgubione dokumenty.

Na świat przyszedł w Kiwercach pod Łuckiem, który był stolicą województwa wołyńskiego, jako syn Ludwika i Rajmundy z Kosmulskich. Jego rodzina sprowadziła się na Wołyń kilka lat wcześniej, gdyż ojciec dostał tu pracę. Przez wiele lat był nadleśniczym w Siekierzycach, położonych niedaleko Przebraża, który w 1943 r. zasłynął jako centrum samoobrony Polaków przed UPA. Matka nauczycielka w latach 30. zajmowała się domem. Załuski wychowywał się w leśniczówce, 1 września 1939 r. miał jednak rozpocząć naukę w łuckim gimnazjum. Marzył o karierze budowniczego okrętów.

Wybuch wojny tragicznie dotknął rodzinę. Dwaj starsi bracia zginęli pod okupacją niemiecką. Ojciec, jako członek miejscowej elity, ukrywał się przed Sowietami, udało mu się jednak przeżyć. W kwietniu 1940 r. Rajmunda i Zbyszek zostali zapakowani do transportów kolejowych i wywiezieni w stepy Kazachstanu, do Kaczyr nad Irtyszem w guberni pawłodarskiej. Po podpisaniu układu Sikorski-Majski w lipcu 1941 r. Rajmunda Załuska, osoba społecznie aktywna i zdeterminowana, została powiatowym mężem zaufania ambasady RP w ZSRR, a więc reprezentantką miejscowych Polaków. W kazachstańskim archiwum znaleźć można ślady jej działalności – interwencje w sprawy zesłańców, zwłaszcza zapewnienia żywności potrzebującym.

Gdy na początku 1943 r. Sowieci postanowili ponownie nadać zesłanym Polakom obywatelstwo Kraju Rad, Załuska jako przedstawicielka ambasady nie mogła przyjąć radzieckiego paszportu (choć pragmatycznie zachęcała do tego innych). Została skazana na obóz pracy, w którym zmarła. Według jednej z relacji osłabła w czasie marszu przez step i została porzucona przez konwojentów.

Od Czerniakowa do Berlina

Nastoletni Zbyszek – inteligencki syn i okularnik – od początku zesłania pracował fizycznie. Gdy został na świecie sam, jedyną opcją stała się armia. Ta dowodzona przez Andersa ewakuowała się do Persji rok wcześniej, pozostała więc ta tworzona przez Zygmunta Berlinga w Sielcach nad Oką. Przyszły pułkownik znalazł się tam w lutym 1944 r. i trafił do 3. Dywizji Piechoty. Tam szybko zwerbowano go do aparatu polityczno-wychowawczego – chociaż młody i niewykształcony – był dość oczytany. Jako podoficer, a następnie oficer, miał prowadzić pogadanki, dbać o morale i postawy żołnierzy, ale także pilnować, by dostawali ciepły posiłek.

Gdy jesienią 1944 r. do jego 9. Pułku Piechoty przybyły kontyngenty akowców z Kresów, którzy po akcji „Burza" zdecydowali się na wstąpienie do ludowego wojska, został

eprasa.pl ec8301456a



Zbigniew Załuski na kiermaszu książki, Warszawa, maj 1964.

(w przededniu awansu oficerskiego) zarejestrowany jako tajny współpracownik Informacji Wojskowej o pseudonimie „Lubicz". O współpracy nie wiemy nic, gdyż dokumenty wojskowej bezpieki są wybrakowane. Dekadę później, w okresie stalinowskim, ta sama instytucja interesowała się Załuskim w zupełnie inny sposób, zbierając na niego kompromaty – dość gruba teczka również została zniszczona po 1956 r.

Sierżant, a następnie chorąży Załuski od lata 1944 r. był na pierwszej linii frontu. Walczył na przyczółku warecko-magnuszewskim, a we wrześniu 1944 r. ze swoim pułkiem desantował się na warszawskim Czerniakowie, biorąc udział w nieudanej próbie pomocy powstańcom. Po kilku dniach udało mu się – w nie do końca jasnych okolicznościach – wrócić na praski brzeg, na przyczółku stracił jednak wielu kolegów. W 1945 r. brał udział w bitwie na Wale Pomorskim, w Kołobrzegu walczył od pierwszych dni szturmu, w operacji berlińskiej bił się nad Starą Odrą, a potem dowodził grupą uzbrojoną w zdobyczne panzerfausty. Wojnę zakończył z trzema Krzyżami Walecznych. Latem 1945 r. przez kilka tygodni uczestniczył w działaniach przeciw podziemiu niepodległościowemu w rejonie Chełma, a następnie brał udział w wysiedleniu ludności ukraińskiej spod Lubaczowa.

Od 1948 r. Zbigniew Załuski był oficerem w Głównym Zarządzie Polityczno-Wychowawczym (później: Politycznym) WP. W 1950 r. zachorował na gruźlicę, co oprócz usunięcia płuca niemal nie skończyło się zwolnieniem z wojska. Dekadę później znów będzie tym zagrożonym, tym razem z powodu braku matury, wymaganej już wówczas od oficerów. Był już wtedy wziętym publicystą wojskowym – od 1952 r. współredagował przeznaczony dla oficerów miesięcznik „Wojsko Ludowe". Od czasów odwilży 1956 r. coraz częściej pisał o sprawach historycznych. Z tych tekstów powstała pierwsza książka „Przepustka do historii" z 1961 r., w której niuansował obraz Września 1939 r. i bronił tradycji 1. i 2. Armii WP, z których sam się wywodził.

Grzechy Polaków i grzechy pułkownika

Książkowy debiut został przyjęty przychylnie, hitem okazała się jednak druga książka, wydana jesienią 1962 r. „Siedem polskich grzechów głównych" było publicystyczną odpowiedzią na pojawiające się po Październiku w studenckich teatrach, prasie i filmach szkoły polskiej krytyczne głosy dotyczące czynu żołnierskiego i tzw. bohaterszczyzny, pokazujące bezsens poświęcenia i walki zbrojnej.

Atakując tzw. szyderców, Załuski postanowił sięgnąć po zmitologizowane wydarzenia – szturmy kosynierów na armaty, powstańców styczniowych z dubeltówkami, szarżę w wąwozie Somosierra, ataki lancami na czołgi, obronę reduty Ordona i Westerplatte czy śmierć ks. Józefa w Elsterze – i pokazać, jak w rzeczywistości wyglądały oraz jaki miały sens, przy okazji wpisując w tradycję bohaterstwa czyn zbrojny komunistów w czasie ostatniej wojny. Wszystko to jako wzorzec poświęcenia i służby przydatny w wychowaniu młodzieży.

Książka napisana była z polotem i publicystycznym pazurem, a pułkownik nie bał się zaczepiać znanych osób. Choć Załuski próbował zmieścić się w ramach ideologicznych, to zwłaszcza w części historycznej żywo opisywał narodową historię, o której Polacy chcieli czytać. Była to pierwsza przyczyna popularności książki, której dziesięciotysięczny nakład rozszedł się błyskawicznie. Drugą była awantura prasowa.

FOT. DANUTA B. ŁOMACZEWSKA/EAST NEWS

eprasa.pl ec8301456a

Szarżę rozpoczęli Dominik Horodyński w „Nowej Kulturze" i Kazimierz Koźniewski w „Polityce". Zarzucali Załuskiemu anachroniczność i podążanie za kultem munduru. Teksty wywołały polemiki, a pozycja pułkownika znalazła tylu samo zwolenników, ilu przeciwników. Sprawa stała się szybko polityczna. Książkę potraktowano jako manifest krystalizującej się grupy Mieczysława Moczara, stąd w podtekście dyskutanci opowiadali się za lub przeciw poglądom „partyzantów". Dariusz Fikus w „Polityce" zestawił Załuskiego z Dmowskim, a wiązany z moczarowcami Leszek Wysznacki stawiał znak równości między „szydercami" i stalinistami. Jakby tego było mało, pułkownika z „Wojska Ludowego" poparli… prorežimowi katolicy z PAX-u.

W marcu 1963 r. Biuro Prasy KC PZPR postanowiło zainterweniować i za pomocą cenzury wygasiło dyskusję. Szef biura Artur Starewicz po konsultacji z Gomułką napisał w „Trybunie Ludu" anonimowy artykuł „Spór o ideały wychowawcze socjalizmu", w którym gromił i Załuskiego, i jego polemistów z „Polityki".

Człowiek Generała

Płk. Załuski miał jednak swojego obrońcę – ówczesnego szefa GZP WP, gen. dyw. Wojciecha Jaruzelskiego, którego wojenny życiorys był bardzo podobny do losu pułkownika. To on miał stać za zielonym światłem dla wydania blokowanej „Przepustki do historii", a na wewnętrzną notatkę Biura Prasy z pomocą swojego zastępcy, płk. Władysława Polańskiego, odpowiedział własną, w której bronił Załuskiego i krytykował Starewicza, co wywołało zgrzyt wewnątrz KC PZPR. Kariera zapalczywego pułkownika publicysty nie tylko się nie załamała, ale w kolejnych latach rozkwitła.

Armia traktowała Załuskiego jako swój główny zasób propagandowo-intelektualny, przenosząc go na specjalny etat twórczy. Gen. Jaruzelski, niczym staropolski magnat, podtrzymywał więź patron-klient na różne sposoby, m.in. poprzez regularne obdarowywanie pułkownika noworocznymi upominkami. Gomułka, który nie znosił „Siedmiu polskich grzechów głównych", w końcu przekonał się do pisarza – w 1968 r. ukazała się głośna książka „Czterdziesty czwarty" poświęcona wydarzeniom z początków Polski Ludowej, która „Wiesławowi" przypadła do gustu.

Szczyt kariery Załuskiego przypadł na przełom lat 60. i 70. Wydawał kolejne książki, był cenionym publicystą („Polityka" w „Małym poczcie dziennikarzy polskich" pisała o nim: „można się nie zgadzać, ale należy czytać"), zaangażował się w film – był m.in. polskim konsultantem Jurija Ozierowa, radzieckiego reżysera monumentalnych filmów wojennych „Wyzwolenie Europy" i „Żołnierze Wolności". W pierwszych latach rządów Gierka objął funkcję I sekretarza organizacji partyjnej literatów w Warszawie. W czasach narodzin opozycji był wśród twórców jedną z twarzy polityki kulturalnej i ważnym uczestnikiem sporów środowiskowych. Od 1969 r. zasiadał w Sejmie PRL, a w 1975 r. został zastępcą członka KC PZPR. Zmarł 5 marca 1978 r. na zawał serca spowodowany dawną gruźlicą, a także niezbyt zdrowym trybem życia. Zdążył zostać jeszcze PRL-owskim klasykiem – jego imię nosiło kilka szkół w całym kraju oraz Centralna Biblioteka Wojskowa.

Zbigniew Załuski do dziś przez niektórych nazywany jest jednym z głównych ideologów narodowego komunizmu i środowiska „partyzantów". Rzeczywiście w jego twórczości treści patriotyczne łączyły się z obowiązującą ideologią. Działał też w ruchu kombatanckim. Marian Turski, który znał pułkownika, wspominał jednak, że miał on mieć pretensje do swoich polemistów, którzy łączyli go z moczarowcami. Jeśli wiązać go z jakąś frakcją, to przede wszystkim z samym wojskiem, od lat 60. coraz aktywniejszym w różnych sferach życia PRL. Jaruzelski był sojusznikiem Moczara, potem jednak od niego się odciął, popierając Gierka. Załuski szedł za swoim patronem, pnąc się w górę establishmentu partyjno-państwowego. Kto wie, czy gdyby dożył, nie byłby ministrem kultury w ekipie stanu wojennego? Przyjaciół i zwolenników miał też jednak wśród działaczy katolickich czy przyszłych opozycjonistów, takich jak Leszek Moczulski. Dziś jego książki pamiętają głównie ich czytelnicy z czasów PRL. A że był czytany, nie można mieć wątpliwości: na spotkaniu w krakowskiej Piwnicy pod Jaszczurami napierający tłum miał nawet wybić szybę.

Tomasz Leszkowicz jest doktorem historii, pracownikiem Wojskowego Biura Historycznego, pracuje nad biografią Zbigniewa Załuskiego



eprasa.pl ec8301456a



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Hiroszima, wymazane ludobójstwo

Piszę te słowa 81 lat od zrzucenia przez Stany Zjednoczone na Hiroszimę pierwszej bomby atomowej. O tej samej porze, kiedy miasto zniknęło z powierzchni ziemi, wraz nim ok. 140 tys. mieszkańców, a kolejni mieli umierać przez następne dekady. Kilka dni później podobny śmiertelny los spotkał Nagasaki. Japonia skapitulowała. Wojna światowa przeszła do historii. Prawda o skali zniszczenia i śmierci była skutecznie, z małymi wyjątkami, kontrolowana przez armię i administrację amerykańską, tuszowana i ukrywana. 85% amerykańskiego społeczeństwa akceptowało i popierało decyzję o użyciu bomby atomowej. Przeciw było 10%. „Chicago Sun" podsumował to zdaniem: „Nie istnieje żadna skala wartości, według której wybuch TNT jest słuszny, a wybuch uranu niesłuszny".

Zapewne prawda o skutkach (w tym o skali umierania na chorobę popromienną), którą można by wyrazić słowami: „Hiroszima, ciszej nad tą trumną", pozostawałaby w cieniu, gdyby nie historia powstania i publikacji jednej książki. W maju 1946 r. do Japonii dotarł doświadczony, choć dopiero 32-letni amerykański reporter wojenny John Hersey, wydelegowany przez kierownictwo „New Yorkera". Hersey, autor bestsellerowych książek reportaży wojennych, ocalały podczas wojny z kilku katastrof lotniczych, w samolocie lecącym do Japonii przypadkowo przeczytał nagrodzoną Pulitzerem powieść „Most Sun Luis Rey" Thortnona Wildera, opisującą z perspektywy kilkorga świadków wielką katastrofę w Peru w XVIII w. Ten strukturalny pomysł Hersey postanowił wykorzystać do opowiedzenia tego, co wydarzyło się 6 sierpnia 1945 r. w Hiroszimie. Dzięki niezwykłemu instynktowi reporterskiemu i dobrym kontaktom z wojskiem (jego wcześniejsze, nagradzane reportaże były pochwałą wysiłku wojennego amerykańskich żołnierzy) po mistrzowsku wykorzystał dwutygodniową przepustkę do Hiroszimy. Znalazł sześcioro ocalałych i wysłuchał ich z trudną do wyobrażenia uważnością – tak powstała „Hiroszima", jedna z najsłynniejszych książek reporterskich XX w. Tekst wypełnił, po raz pierwszy w historii, cały numer sierpniowego „New Yorkera". 30 tys. słów Herseya, napisanych surowym, lakonicznym językiem opowieści bohaterów i bohaterek książki, miało na dekady zmienić myślenie o bombie atomowej. Nie wolno było wówczas jeszcze pisać o żadnych szczegółach technicznych dotyczących powstania i działania samej bomby. Zostało czyste, niemal tętniące ciszą świadectwo. Gen. Leslie Groves, wojskowy szef Projektu Manhattan, skomentował to: „Gdy patrzę na zdjęcia naszych żołnierzy wracających z japońskiej niewoli i słyszę relacje tych, którzy przeszli marsz z Bataan, nie przejmuję się szczególnie tym, jak mocno ta broń uderzyła w Japończyków".

Albert Einstein, który zapowiedział kupno tysiąca egzemplarzy „Hiroszimy", oświadczył: „Pan Hersey przedstawił prawdziwy obraz przerażających skutków, jakie ludzie odczuli, gdy wśród nich eksplodowała bomba atomowa i spowodowała niespotykane dotąd zniszczenia. Ten obraz niesie przesłanki względem przyszłości całego rodzaju ludzkiego i powinien głęboko zaniepokoić wszystkich odpowiedzialnych mężczyzn i kobiety". Einstein na tym nie poprzestał. Jakiś czas później, niedługo przed własną śmiercią, wraz brytyjskim filozofem i logikiem Bertrandem Russellem opublikował słynny manifest na temat konieczności globalnego rozbrojenia nuklearnego. Do Russella dołączył polski fizyk jądrowy Józef Rotblat, który uczestniczył w pracach Projektu Manhattan i jako jedyny naukowiec opuścił Los Alamos, kiedy stało się jasne, że bomba, nad którą pracował, nie zostanie użyta przeciw hitlerowskim Niemcom, ale przeciw Japonii. W 1995 r. otrzymał za działalność organizacji na rzecz rozbrojenia nuklearnego Pugwash Pokojową Nagrodę Nobla – najskuteczniej wymazane z pamięci noblowskie uhonorowanie dla Polaka. Byliśmy już wtedy na drodze do największej militarnej przyjaźni z ukochanym przez Polaków i polską władzę państwem na świecie – Stanami Zjednoczonymi.

Tym, co przytłacza, poza samymi skutkami zrzucenia bomb na dwa japońskie miasta i wymową etyczną tamtych decyzji, jest świadomość, jak gigantyczny wysiłek, ludzki i finansowy, doprowadził do tego ludobójczego ataku. Gdyby to zaangażowanie poszło w innym humanitarnym, pokojowym kierunku, aż strach pomyśleć, jakże lepiej mógłby wyglądać dzisiejszy świat. Cóż – zwyciężyło przekonanie i argumenty wojskowych. A USA stały się hegemoniczną potęgą XX w.

Wybuch sześciokilogramowego ładunku, który wywołał efekt cieplny – 60 mln st. C i odpowiadał sile wybuch 15 kt TNT – zapowiedział nową epokę dziejów ludzkości. I w niej, nie bardzo o tym pamiętając (a Nagasaki zapomniawszy całkiem), przyszło nam żyć. W ciszy podobnej do tej, która towarzyszyła Hiroszimie po samym wybuchu. Granice, które zostały przekroczone wówczas, kiedy de facto odcięto głowę zapisom konwencji genewskich, i dziś nie znaczą wiele.

Zatrzymajmy się na chwilę na wspomnienie o tym, co USA zgotowały tym dwóm japońskim miastom. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ec8301456a

Kto pilnuje granic Europy

Wydarzenia z Ceuty pokazały, jak niebezpiecznie jest oddawać kontrolę nad imigracją



Organizacje pomocowe wydają posiłki imigrantom, którzy masowo przedostali się do Ceuty. 3 sierpnia 2026 r.

Mateusz Mazzini

Na tym etapie naprawdę trudno uwierzyć, że był to naturalny napływ ludzi. Wystarczy spojrzeć na fakty, nie tylko związane z hiszpańskimi eksklawami w Afryce. Ceuta, kontrolowane przez Madryt miasto-region, od czterech stuleci pozostaje częścią państwa hiszpańskiego, choć formalnie jest regionem autonomicznym, o sporym stopniu samorządności. Najważniejsze jednak, że nie jest objęte tymi samymi regulacjami prawa międzynarodowego co kontynentalna część kraju. Dokładniej: nie należy do strefy Schengen ani do Paktu Północnoatlantyckiego. Oznacza to, że nawet mieszkańcy Ceuty oraz legalnie przebywający tam imigranci muszą każdorazowo przejść kontrolę graniczną i pokazać dokumenty, żeby przedostać się na inne terytorium Unii Europejskiej. W przypadku ewentualnego ataku, nawet będącego elementem wojny hybrydowej, NATO nie miałoby też podstaw do interwencji.

Skąd ten zryw?

Jeszcze lepszy obraz sytuacji otrzymamy po zestawieniu danych populacyjnych. W Ceucie na co dzień mieszka ok. 82 tys. osób, głównie Hiszpanów, choć wielu z nich jest mieszanego pochodzenia i żyje w marokańsko-hiszpańskich związkach. Sporo jest też hiszpańskich muzułmanów. Jeśli zatem w ciągu

FOT. IVÁN ZAMBRANO/EUROPA PRESS/EAST NEWS

eprasa.pl ec8301456a

30 godzin na ulicach Ceuty pojawia się 60 tys. nielegalnych imigrantów, miasto jest sparaliżowane. Niemal dwukrotne zwiększenie populacji w ciągu nieco ponad doby doprowadziłoby do załamania wszystkich systemów społecznych, militarnych i infrastrukturalnych. Nie ma więc co się dziwić mediom i lokalnym władzom, które te wydarzenia błyskawicznie nazwały kryzysem.

Dalej na ścieżce dowodów liczbowych znajdują się dane Fronteksu, unijnej agencji kontroli zewnętrznych granic UE. Wynika z nich, że przez 12 miesięcy ubiegłego roku na tzw. szlaku zachodniego Morza Śródziemnego – obejmującym Ceutę, Melillę, ale też Gibraltar – odnotowano zaledwie 19,4 tys. przypadków przekroczenia granic bez wymaganych dokumentów. Z jednej strony to wzrost o 19% rok do roku, wynikający najpewniej z uszczelnienia granic na środku Morza Śródziemnego i na Morzu Egejskim czy na szlaku bałkańskim. Z drugiej – i niech to wybrzmi – to mniej niż jedna trzecia całkowitej liczby imigrantów, która pojawiła się w Ceucie w ciągu nieco ponad doby.

Nawet gdyby uwierzyć w naturalne przyczyny tego zrywu migracyjnego, byłby on możliwy jedynie wskutek gwałtownej zmiany warunków bytowych po marokańskiej stronie granicy. Tak, w Maroku żyje się gorzej niż w Hiszpanii, państwo jest represyjne i słabiej rozwinięte gospodarczo, ale nierówności istnieją od dekad. W dodatku w Maroku w ostatnich dniach czy tygodniach nie doszło do żadnej katastrofy, która zmusiłaby ludzi do masowej ucieczki.

Jedyną zmianą na płaszczyźnie faktów, jaka rzeczywiście zaszła, był wyrok hiszpańskiego Sądu Najwyższego zabraniający natychmiastowego odsyłania za granicę imigrantów, którzy próbowali przedostać się do Hiszpanii drogą morską. Nie oznacza to absolutnie – wbrew temu, co propaguje dzisiaj skrajna prawica – że nagle rząd Pédra Sáncheza zdecydował się przyjąć wszystkich tych ludzi. Przeciwnie, nadal mieliby być odsyłani, ale po przejściu procedury weryfikacyjnej pod kątem prawa do azylu, już na lądzie. A ochrony prawnej większość z nich by nie otrzymała, bo Maroko nie jest w stanie wojny i nie prowadzi działań militarnych przeciwko innym państwom.

Z praktycznego punktu widzenia wyrok madryckiego sądu co najwyżej dawał imigrantom kilkanaście dodatkowych godzin w punkcie procesowania ich aplikacji gdzieś w Ceucie. Na hiszpańską część kontynentu i tak by się nie przedostawali.

Wreszcie ostatni element tła, czyli poprzedni incydent migracyjny w Ceucie. W 2021 r. władze Maroka wyraźnie manifestowały niezadowolenie z faktu, że Hiszpania zezwoliła na hospitalizację z powodu zachorowania na COVID-19 lidera Frontu Polisario, separatystycznej organizacji walczącej o niepodległość okupowanej przez Maroko Sahary Zachodniej. Hiszpanie przyjęli go do siebie, a w ramach „odwetu" Marokańczycy na chwilę zaprzestali kontroli paszportowych po swojej stronie granicy z Ceutą. Nawet wtedy jednak liczba imigrantów, którzy przedostali się do Hiszpanii, wyniosła 5 tys. Ponad 10 razy mniej niż ostatnio.

W obliczu kryzysu Hiszpania została sama.

Nie ma solidarności

Wiedząc o tym, warto pytać o przyczyny ataku na Ceutę. Tego typu zdarzeń nigdy nie da się wyjaśnić pojedynczym ruchem, decyzją czy poglądem. Nic, co nastąpiło przez ostatnie kilkanaście dni pomiędzy Hiszpanią, Marokiem i UE, nie wynikło wyłącznie z najnowszej dynamiki geopolitycznej. Wreszcie trzeba pamiętać o unikatowości tej sytuacji, kontekście regionalnym i historycznym, który powoduje, że kryzysu z Ceuty nie można porównywać z wydarzeniami z 2021 r. na granicy polsko-białoruskiej w Białowieży.

Maroko i Hiszpania, w przeciwieństwie do Polski i Białorusi, utrzymują bowiem intensywne relacje. Za cztery lata oba kraje, razem z Portugalią, zorganizują mistrzostwa świata w piłce nożnej. Takiej kandydatury nie da się zgłosić i przygotować bez lat wspólnych konsultacji czy powoływania zespołów roboczych.

W dodatku tylko w latach 2017--2027 Hiszpania przekaże Maroku łącznie 969 mln euro pomocy rozwojowej – choć to określenie uznać należy raczej za eufemizm. To pieniądze przeznaczone głównie na to, by Maroko, z pomocą lepiej rozwiniętej infrastruktury granicznej, skuteczniejszej i dobrze wytrenowanej policji, dobrze wyposażonych klinik i nowocześniejszej technologii zatrzymywało imigrantów u siebie. Zarówno własnych, jak i tych przedostających się do Europy, np. z krajów Afryki Subsaharyjskiej. Polska na granicy z Białorusią stawia własne ogrodzenia, martwiąc się raczej o to, czy Białorusini ich nie zdewastują. Nikogo w Warszawie nie interesuje, jak funkcjonuje (a raczej nie funkcjonuje) białoruska straż graniczna. Nie ma partnerstwa, jest wrogość.

Pomiędzy Rabatem a Madrytem istnieje natomiast coś na kształt pragmatycznego realizmu. Współpraca wtedy, kiedy obu stronom to się kalkuluje. Okazjonalne eksplozje złości, kiedy ktoś komuś nadepnie na odcisk. Ale przede wszystkim pogłębiający się od lat proces oddawania przez państwa europejskie kontroli nad nielegalną imigracją państwom często autorytarnych, których przywiązanie do pryncypiów demokracji, liberalizmu czy praw człowieka jest dość luźne.

Na czynniki pierwsze rozłożyła to w komentarzu do wydarzeń w Ceucie Carla Hobbs, szefowa madryckiego biura Europejskiej Rady Spraw Międzynarodowych (ECFR), w eseju o wymownym tytule „Samotność na granicy". Bo o ile, wbrew narracjom premier Włoch Giorgii Meloni, amerykańskiej administracji czy rozmaitych skrajnie prawicowych influencerów nie można winić Sáncheza bezpośrednio za 60 tys. osób w Ceucie w ciągu zaledwie 30 godzin, to już można zapisać na jego konto odpowiedzialność za model, w którym to nie on decyduje o bezpieczeństwie własnych granic. Hobbs ma rację, pisząc, że Hiszpania w obliczu tego kryzysu została sama.

eprasa.pl ec8301456a

Europa – inaczej niż w przypadku Puszczy Białowieskiej – nie okazała solidarności, wręcz przeciwnie. Z inicjatywy duńskiej premier Mette Frederiksen powstał list podpisany przez przywódców 22 państw unijnych (w tym Polski), wzywający do zwiększenia bezpieczeństwa zewnętrznych granic Unii, ale jednocześnie dość niedyskretnie krytykujący Sáncheza za jego politykę migracyjną.

To mało zawoalowany atak na jego niedawną decyzję o stworzeniu przyśpieszonej ścieżki najpierw legalizacji pobytu, a potem otrzymania hiszpańskiego obywatelstwa dla pół miliona imigrantów mieszkających w Hiszpanii – głównie Latynosów. To kolejna płaszczyzna, na której hiszpański szef rządu sytuuje się w opozycji do europejskiego głównego nurtu. Najpierw jako pierwszy stanął po stronie Palestyny w konflikcie z Izraelem, potem odmówił Amerykanom używania wspólnych baz do tankowania ich myśliwców w drodze na Bliski Wschód.

Jednocześnie – i to nie może umknąć uwadze opinii publicznej – Sánchez po odejściu z urzędu Viktora Orbána jest najbardziej w Unii otwarty na współpracę z Chinami. Regularnie też torpeduje na forum unijnym jakiekolwiek próby wzmocnienia europejskiej odporności na chińską nadprodukcję przemysłową. Sánchez jest dziś najbardziej odizolowanym od reszty kontynentu przywódcą, ale przynajmniej częściowo jest temu sam winien.

W polityce migracyjnej też nie był i nie jest do końca szlachetny, choć tu od mainstreamu Unii nie odstaje. Od lat sponsoruje sąsiednie państwo, by jego władze same zajmowały się problemem imigracji do Europy. Nie on jeden, dokładnie to samo robią Włosi wobec Libii i Tunezji oraz Grecja w stosunku Turcji. A cała Wspólnota przelewa rocznie na konto rządu w Ankarze prawie tyle samo pieniędzy, ile Hiszpanie dają Marokańczykom przez dekadę. To też, paradoksalnie, zagranie z podręcznika skrajnej prawicy, która od dawna normalizuje narrację, że imigracja jest sprawą krajów, z których ludzie uciekają, i to one powinny ten problem rozwiązywać u siebie. Lepiej więc płacić i się nie martwić, niż wziąć na siebie chociaż część odpowiedzialności.

Migracyjne punkty zapalne

Problem w tym, że podobna polityka niechcący zamienia takie miejsca jak Ceuta w migracyjne punkty zapalne. W dodatku to nie kraje europejskie, tylko właśnie bliskowschodni czy afrykańscy autokraci otrzymują narzędzie do uzbrojenia imigracji przeciwko Staremu Kontynentowi. Jeśli bowiem to po marokańskiej stronie jest tama migracyjna, właśnie Rabat może ją zlikwidować i wywołać kryzys w Ceucie. Kontrola, a przez to i sprawczość, została oddana komu innemu. Sánchez może być więc najbardziej współczującym, otwartym na migrację szefem rządu w Europie, ale to tylko kawałek opowieści o nim. Ukazany w szerszej perspektywie staje się takim samym politykiem jak współcześni mu premierzy i prezydenci innych krajów.

Co, niestety, nie przekłada się na solidarność. Europejscy przywódcy trafnie uznali bowiem kryzys w Ceucie za zagrożenie dla bezpieczeństwa całej UE. Tyle że proponowane przez nich rozwiązanie, zawierające się w stwierdzeniu o stosowaniu „tych samych metod, tylko bardziej, mocniej i częściej", niczego nie zmieni. Problemem nie jest bowiem to, że Sánchez komuś coś obiecał, ani to, że Maroko obraziło się za normalizację stosunków Hiszpanii z lokalnym rywalem, Algierią. Sedno sprawy leży znacznie głębiej, na płaszczyźnie systemowej. Unia, nawet – a może zwłaszcza – po wprowadzeniu paktu migracyjnego, nie ma ujednoliconej polityki w tej kwestii. Nadal zachowuje się niejednoznacznie. Chce bronić atrybutów państwa narodowego, jakim są granice, jednocześnie sama państwem narodowym nie jest. Pakt migracyjny jest zresztą dokumentem dziurawym. Zakłada współdzielenie obowiązków na papierze, a w praktyce zawiera mnóstwo wyłączeń, o których arbitralnie decyduje Bruksela.

Kraje członkowskie w obliczu tego paraliżu podejmują własne działania. Tyle że same mogą paść ofiarą takiego ataku. Grecy, dzisiaj krytykujący Hiszpanów, byliby bezradni, gdyby Recep Tayyip Erdoğan nagle przestał pragnąć unijnych pieniędzy. Meloni nie poradziłaby sobie ze zmasowaną presją migracyjną wytworzoną przez przemytników ludzi i gangi z Libii. Wszyscy wtedy domagaliby się ogólnoeuropejskiej solidarności. I raczej nie mogliby na nią liczyć.

Mateusz Mazzini



eprasa.pl ec8301456a



Oko w oko Tomasz Jastrun

Pożytek z nieszczęścia

Nie wraca się z reguły do lektur szkolnych, czytane za wcześnie nudziły i źle się teraz kojarzą. A jednak wróciłem do „Chłopów" Reymonta, w papierowej wersji nie dałbym rady, słucham, znakomicie czyta Marek Walczak. Zaskoczenie, jaka to wspaniała proza poetycka, gęsta i mięsista. W pełni zasłużona Nagroda Nobla. Jak w roku 1924 zareagował Reymont na wiadomość, że dostał Nobla? Wpadł w rozpacz. Pisał w liście do znajomego: „Okropne! Nagroda Nobla, pieniądze, sława wszechświatowa i człowiek, który bez zmęczenia wielkiego nie potrafi się rozebrać. To istna ironia życia. Urągliwa i prawdziwie szatańska". Nie pojechał po odbiór nagrody, nie miał siły, umarł za rok. Skąd tonący w długach pisarz miał środki, by pisać czterotomowych „Chłopów"?

Reymont, dawny pomocnik kolejarza, jechał pociągiem w drugiej klasie ze znajomym dziennikarzem i jego żoną. Pod Włochami doszło do czołowego zderzenia z innym pociągiem. Był piątek 13 lipca 1900 r. Zginęło pięć osób, a ok. 40 zostało rannych – w tym pisarz. Żona znajomego zginęła. Siła uderzenia zniszczyła wagony, a w lokomotywie eksplodował kocioł parowy. Reymont doznał szoku nerwowego i urazów, ale nie tak poważnych, jak to zadeklarował. W listach do znajomych pisał o dwóch pękniętych żebrach. Wynajął adwokata i zażądał wysokiego odszkodowania od Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Tu już widnieje liczba 12 złamanych żeber. Nie była to prawda, ale tak brzmiało orzeczenie lekarskie ordynatora dr. Jana Rocha Rauma. Lekarz był wielbicielem prozy Reymonta i martwił się, że nie ma on pieniędzy na pisanie. Świeżo wydana „Ziemia obiecana" nie przyniosła dochodu. Wynegocjowano 38,5 tys. rubli, co w tamtych czasach stanowiło fortunę. Pozwoliło to Reymontowi na spłatę długów, ślub z ukochaną Aurelią Szabłowską i sfinansowanie kosztownego leczenia w zagranicznych sanatoriach. Oraz dało mu pełną niezależność finansową, która zaowocowała napisaniem „Chłopów".

Można więc zaryzykować tezę, że bez katastrofy kolejowej i przychylnego lekarza nie byłoby „Chłopów" i Nobla. Takie bywają paradoksy w życiu. Nieszczęścia czasami służą szczęściu i na odwrót. Każdy z nas ma w swojej biografii takie przykłady. Dlatego nie rozpaczajmy z powodu nieszczęść, a jednak cieszmy się, gdy przydarza nam się szczęście. Szczęście to zwykle tylko chwila od razu zatruwana myślą, że zaraz minie. Nieszczęścia ciągną się za nami jak czarny welon.

•

Gdy jechaliśmy do przyjaciół, zawyły syreny. Nawet pod Warszawą ludzie stawali na baczność. To jednak porusza, chociaż powstanie było najpiękniejszym idiotyzmem w naszej historii i teraz hołubimy ten idiotyzm jak małe dziecko, które nie chcemy, by było dorosłe i zmądrzało. Gdy wracaliśmy, już blisko naszej ulicy przeszedł nam drogę dzik, szedł powoli i dostojnie, pan ulicy. To już u nas codzienność.

•

Przełamałem się, a nie było łatwo, i pooglądałem telewizję Republika. Ogarnęła mnie jakaś mroczna trwoga przed tymi, którzy tak mówią i myślą. Obrazy jak sieczka z jelita grubego, wkrada się co chwila zdumiewająca nieporadna reklama zegarków, wszystko przeplatane żebraniem o pieniądze, „okręt tonie", telewizja nie ma pieniędzy. Co jakiś czas żałosne satyryczne filmiki mające ośmieszyć Tuska, robione chyba przez kretynów. I to nienawistne szczucie na Ukraińców. Wszystko w tej telewizji ma formę kpiny pełnej jadu, nieporadnej i głupiej. I każde wydarzenie, nawet takie, które powinno nas jednoczyć, jak rosyjska rakieta, dzieli nas na śmierć i życie. Tusk jest winien, że rakieta wleciała do Polski. Nie ma tu miejsca na dyskusję.

Nie rozpaczajmy z powodu nieszczęść i cieszmy się, gdy przydarza nam się szczęście.

•

Z upływem dni coraz trudniej zobaczyć, czym w myśleniu różni się partyjka Morawieckiego od PiS matki. W Morawieckim może mniej jadu niż w Czarnku, który ma nabrzmiałe gruczoły jadowe. Obaj się przepychają, kto zostanie premierem. PiS się rozłamało i ze szczeliny na wielu czarnych nibynóżkach wybiegają skrywane tajemnice. Rośnie prestiż Nawrockiego, jak zostanie Panem Bogiem prawicy, zatęsknimy za prezesem.

•

To, że w KO jest tylko dwóch aktywnych polityków z charyzmą, Tusk i Sikorski, trzeci z zadatkami Sienkiewicz siedzi w Brukseli, stanowi słabość koalicji. Polska dynamicznie się rozwija, znajomi prawnicy obsługujący biznes opowiadają mi, jak szybko rosną firmy, to lawinowy przyrost. I widać to gołym okiem. Trzeba tylko zjawisko przerobić na atrakcyjną opowieść i ją upubliczniać. Do tego naprawdę nie jest konieczny Homer. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ec8301456a

Niewolnicy włoskich pól

Caporalato – system, który zabija

Tomasz Skowronek

Wieczorem 1 czerwca na stacji benzynowej w Amendolarze, niewielkiej miejscowości we włoskiej Kalabrii, zatrzymała się furgonetka z pięcioma migrującymi robotnikami rolnymi. Chwilę później doszło do ataku.

Nagrania z monitoringu, opublikowane przez „Corriere della Sera", pokazują dwóch mężczyzn podchodzących do pojazdu. Wlewają do środka łatwopalną ciecz, zamykają drzwi i podpalają samochód. Uwięzieni wewnątrz ludzie nie mają szans na ucieczkę. Trzech obywateli Afganistanu i jeden Pakistańczyk giną w płomieniach. Piąty mężczyzna przeżywa – udaje mu się wyskoczyć przez okno. W zeznaniu mówi, że wszyscy pracowali bez wynagrodzenia przy zbiorze truskawek.

Do ataku miało dojść po tym, jak zażądali wypłaty należnych pieniędzy od osób organizujących im pracę. Śledczy zatrzymali dwóch obywateli Pakistanu. Zostali oni zidentyfikowani jako tzw. caporali – nieformalni pośrednicy kontrolujący rynek pracy migrantów.

Premier Giorgia Meloni stwierdziła, że zabójstwa zszokowały Włochy. Dla osób od lat badających system pracy sezonowej w rolnictwie była to jednak kolejna, skrajna odsłona znanego mechanizmu.

Fabryka taniej pracy

Włoskie caporalato to jeden z najtrwalszych systemów nielegalnego pośrednictwa pracy w Europie Południowej. Opiera się na sieci caporali, pośredników, którzy rekrutują migrantów, organizują im transport, zakwaterowanie i zatrudnienie, za każdą z tych usług pobierając opłaty. W praktyce oznacza to całkowitą kontrolę nad pracownikiem.



W samochodzie podpalonym przez caporali zginęło trzech obywateli Afganistanu i jeden Pakistańczyk. Amendolara, 1 czerwca 2026 r.

Według danych związku zawodowego reprezentującego pracowników przemysłu rolno-spożywczego FLAI CGIL w niektórych regionach południowych Włoch jedynie ok. 30% migrantów pracujących w rolnictwie ma formalne umowy. Ale nawet w takich przypadkach część wynagrodzenia wypłacana jest „na czarno". Reszta pracuje całkowicie poza systemem. Stawki sięgają często 2-3 euro za godzinę. Jednocześnie robotnicy płacą za transport, jedzenie i nocleg – usługi organizowane przez tych samych pośredników, którzy ich zatrudniają.

Jak słusznie zauważa „Corriere della Sera", caporale „to ten, który łączy przedsiębiorstwa rolne z pracownikami migrującymi", co w praktyce oznacza całkowitą zależność – ekonomiczną, mieszkaniową i społeczną. Mechanizm utrzymuje się dzięki zadłużeniu migrantów. Koszty ich podróży do Europy sięgają często kilkunastu tysięcy euro i są finansowane w kraju pochodzenia, zwykle przez lokalnych pośredników.

Po przyjeździe do Włoch dług nie znika – przeciwnie, staje się narzędziem kontroli. Pracownik, który próbuje się wycofać, ryzykuje nie tylko utratę pracy, ale i ewentualne konsekwencje wobec pozostającej w kraju rodziny.

System opiera się na prostym mechanizmie: im większa zależność, tym większa bezkarność pośredników. Przemoc nie musi być stała – wystarczy jej możliwość.

Nowe sieci, stare mechanizmy

Przez dekady caporalato kojarzono przede wszystkim z włoskimi organizacjami mafijnymi – camorrą, 'ndranghetą i sacra corona unitą. Dziś system ten ma bardziej złożoną strukturę.

Ocalały z ataku w Amendolarze mówił o sprawcach jako o członkach „dużej pakistańskiej mafii". Eksperci podkreślają jednak, że w tym wypadku nie chodzi o zastąpienie włoskich mafii, lecz o współistnienie różnych sieci w jednym systemie. Jak wskazuje „Corriere della Sera", 'ndrangheta wciąż odgrywa dużą rolę w doborze pośredników i kontroluje część rynku pracy. Z kolei „La Repubblica" zwraca uwagę, że realne zyski z eksploatacji migrantów pozostają

FOT. FB/CALABRIA NEWS

eprasa.pl ec8301456a

często po stronie włoskich struktur gospodarczych.

Prof. Vincenzo Musacchio, ekspert ds. przestępczości zorganizowanej z RIACS w Newark, podkreśla, że tzw. pakistańska mafia nie ma struktury klasycznych organizacji mafijnych. „Mówimy o mafii sui generis. Działa, opierając się na więziach rodzinnych, klanach i przynależności etnicznej. Nie ma centralnego kierownictwa, ale kontroluje całe łańcuchy pracy migrantów”, wyjaśnia prof. Musacchio.

Ich siła wynika z transnarodowego charakteru. Kontrola zaczyna się jeszcze w kraju pochodzenia, gdzie rodziny zadłużają się, by sfinansować wyjazd krewnego do Europy. „Pracownik nie może się zbuntować: jeśli przestanie pracować, dług rośnie, a klany w Pakistanie grożą jego rodzinie”, podkreśla Musacchio. „To wielopoziomowy mechanizm przymusu psychologicznego”. Współpraca różnych grup przestępczych opiera się na interesie ekonomicznym. „Nie ma konfliktu. Włoska mafia kontroluje terytorium i przepływy finansowe, a zagraniczne sieci dostarczają taniej, elastycznej siły roboczej”.

Przestępczość ma się dobrze

Choć caporalato najczęściej kojarzy się z rolnictwem południowych Włoch, jego zasięg jest znacznie szerszy. Śledztwa wskazują na obecność podobnych mechanizmów zatrudniania w logistyce, magazynach, przemyśle stoczniowym i sektorze usług także w północnych regionach kraju. Niedawno wyszła na jaw sprawa w Mediolanie, dotyczyła aresztowania kierownika firmy budowlanej, oskarżonego o nielegalne zatrudnianie setek indyjskich pracowników przy budowie nowego amerykańskiego konsulatu. Według prokuratury pracownicy byli zmuszani do 12-godzinnych dni pracy, nawet w okresach choroby, i otrzymywali jedynie 2 euro za godzinę.

Popularnym narzędziem wykorzystywanym w tym systemie jest zakładanie fikcyjnych spółdzielni i tworzenie łańcuchów podwykonawców. Duże firmy zlecają pracę pośrednikom, którzy omijają prawo pracy, nie płacą składek, a następnie – przed kontrolą – znikają, by pojawić się wkrótce pod nową nazwą.

Każdego roku we Włoszech pracuje średnio ok. 370 tys. zagranicznych robotników rolnych. Według Fundacji Rizzotto w 2022 r. ok. 430 tys. osób padło ofiarą caporalato, a ponad połowa pracowników rolnych funkcjonowała częściowo lub całkowicie poza legalnym systemem. Tragedia w Kalabrii nie jest wyjątkiem. Odsłania tylko zwykle niewidoczny, brutalny system. W tym układzie migrant nie jest jedynie pracownikiem. Jest zasobem w łańcuchu. ■

Włoskie caporalato to jeden z najtrwalszych systemów nielegalnego pośrednictwa pracy w Europie Południowej.



eprasa.pl ec8301456a

CZASAMI CZUJĘ TEN CIĘŻAR



Rozmawia Tomasz Miłkowski

W ostatnich dwóch latach, za pańskiej dyrekcji, Teatr Telewizji stanął na nogi. Wyciągnął pan asy z rękawa. Czy osiągnąwszy tak wiele, ma pan jeszcze coś do ujawnienia przed nowym sezonem?

– Program będziemy ogłaszali na początku września. Wtedy opowiem więcej o planowanych na kolejny sezon premierach, teraz dopinamy szczegóły i nie chcę jeszcze za dużo o nich mówić.

Żeby mieć o czym mówić we wrześniu?

– Dzisiaj mogę powiedzieć, że w przyszłym sezonie uda nam się najpewniej utrzymać zarówno liczbę produkcji, jak i ich poziom. Jeszcze trzy lata temu spektakle w TVP były robione szybko i za nierealne budżety. Wynikało to z niewiary decydentów w sens misji publicznej. Decyzja obecnego prezesa telewizji o zwiększeniu finansowania ambitnych projektów, rozmowy wewnątrz telewizji o tym, jak można odświeżyć formułę Teatru TV, większe zaangażowanie i współpraca innych agencji TVP – to zmienia podejście do teatru wewnątrz tej dużej korporacji, jaką jest Telewizja Polska.

I co, naprawdę się zmieniło?

– Zmieniło się. Zarówno, jeżeli chodzi o jakość, ale też poruszane tematy. Kiedy w pierwszym roku uruchamialiśmy niektóre produkcje, usłyszałem, że będę ekskomunikowany. Ze smutkiem konstatuję, że nadal nie jestem. Publiczność oczekuje oprócz rozrywki również poważnej rozmowy. I budowania przestrzeni, która wychodzi poza polaryzację, ogarniającą już chyba wszystkie sfery życia publicznego.

O jakich spektaklach pan mówi?

– O takich jak „Prałat” czy „Jak nie zabiłem swojego ojca”. Rozmowy po ich emisji, nawet jeżeli były dla niektórych mocne czy wchodziły w rejony mogące budzić kontrowersje, były potrzebne i w stu procentach spełniały definicję misji publicznej. Obecnie politycy i media w zdecydowanej większości odpuścili sobie rozmowę. Liczy się cyrk. Przy okazji warto wspomnieć, że Jacek

Kurski miał przecież ambicje, żeby Teatr Telewizji był wartościowy i był mocną jednostką produkcyjną wewnątrz TVP. No ale zapału, pieniędzy i mocy politycznej starczyło na zaledwie dwa czy dwa i pół sezonu. Potem wszystko się rozsypało.

Wie pan dlaczego?

– Widzę, czego politycy oczekują od telewizji i z czego telewizja jest rozliczana. Niezależnie od tego, że jesteśmy medium publicznym, siłą rzeczy wchodzimy w konkurencję z mediami komercyjnymi. A właściwie jesteśmy w nią wpychani przez polityków i brak ustawy medialnej. Trudno się przebić z merytoryczną rozmową o tym, czym mają być media publiczne. Oglądalność i przyglądanie się temu, co się dzieje na rynku, też są istotne, ale pozostaje pytanie, czym mamy się różnić od mediów komercyjnych. Tak więc myślę, że głównym naszym asem jest to, że próbujemy na nowo definiować sens misji publicznej w mocno skomercjalizowanej rzeczywistości, a co za tym idzie, utrzymać obecny poziom produkcji.

Czyli moda na Teatr Telewizji nie minie?

– Mam nadzieję, że to nie jest dwu-, trzysezonowy skok, po którym politycy stwierdzą: dobra, już za dużo tej misji publicznej, teraz musimy wrócić do disco polo lub czegokolwiek, co łatwo i tanio podbije oglądalność oraz da poczucie skuteczności chłopcom bawiącym się mediami. Wierzę, że uda nam się zachować jakąś równowagę. Na przyszły sezon mamy zaplanowanych kilka ciekawych produkcji. Jestem zadowolony, że zaczynamy pracować w zdrowym rytmie i większość produkcji na pół roku do przodu jest już gotowych, co powoduje, że…

…nie ma zadyszki?

– To nie zawsze się udaje, bo oczekiwania artystów i przyzwyczajenia takiej korporacji jak telewizja czasami się rozjeżdżają. Momentami jednak udaje nam się stworzyć takie warunki, jakich oczekują artyści, i zadyszka jest mniejsza. Dzięki temu jest więcej przestrzeni do twórczej pracy, a struktura korporacyjna ugina się i pozwala na artystyczne szaleństwa.

Jednym z hamulców produkcji w latach poprzedzających zmiany był konflikt ze środowiskiem artystycznym. Udało się go panu rozproszyć. Ten kierunek będzie zachowany?

– W tym momencie jest raczej problem z nadmiarem ciekawych propozycji. Przed chwilą skończyliśmy w redakcji dwuipółgodzinne spotkanie dotyczące repertuaru oraz propozycji i planowania sezonu 2027/2028. Naprawdę jest sporo ciekawych projektów, które odrzucam, bo jest ich za dużo i musimy robić ostrą selekcję.

Jeśli walczą ze sobą projekty naprawdę znaczące, można liczyć, że wygrają najlepsze.

– Czytałem w „Rzeczpospolitej", że „ojejku, telewizja produkuje tak dużo, a mnie nie wszystko się podoba". Jeszcze trzy lata temu w sezonie było dziewięć premier, z których połowa była zamówieniem politycznym lub pseudopatriotycznym półproduktem. Teraz premier jest 31. Statystycznie jest większa szansa na to, że więcej niż dziewięć premier będzie czymś ciekawszym niż kolejna laurka o Piłsudskim lub Wyszyńskim. Wolę, kiedy propozycji jest nadmiar i możemy wybierać, próbując ułożyć repertuar, który będzie odzwierciedlał to, co się dzieje w polskim teatrze. Który będzie zawierał zarówno rzeczy bardziej konserwatywne czy takie, do których jest przyzwyczajony widz Teatru TV, ale też takie, które będą na nowo badały język, jakim może operować ten teatr.

Kiedyś istniało Studio Teatralne Dwójki jako pole eksperymentu i awangardy. Tę lukę próbuje pan zastąpić, wpuszczając artystów myślących inaczej. Może warto zapowiadać, że to są poszukiwania.

– Zrobiliśmy kilka czołówek Teatru Telewizji. Jest czołówka poświęcona klasyce, nowej dramaturgii, Teatrowi Młodego Widza.

Jakoś nie zwróciłem na to uwagi.

– Swoją rolę odgrywa też „Postscriptum", stanowiące próbę rozmowy z widzami. Wprowadzenie studia eksperymentalnego Dwójki czy powrót do niego w tym momencie nie jest możliwe. Uruchomienie nowego pasma, zaopiekowanie się nim i wypromowanie go to setki tysięcy, jeżeli nie miliony złotych.

Ale może to pieśń przyszłości, nie wiadomo.

– Może, jeżeli będzie nowa ustawa, zabezpieczone finansowanie mediów, a politycy odpowiedzą szczerze, do czego są im potrzebne media. Wtedy może znajdzie się przestrzeń na nowe pasmo. Teraz robimy maksimum.

Publiczność oprócz rozrywki oczekuje również poważnej rozmowy.

Na szczęście nikt nie żąda od pana, żeby artysta był odpowiedzialny – cytuję Zbigniewa Liberę, który wypowiadał się jasno: artysta musi być nieodpowiedzialny.

– Zgadzam się z Liberą, choć trzeba zaznaczyć niewygodę, jakiej doświadcza pewnie każdy dyrektor instytucji kultury. Z jednej strony, jestem osobą, która na tę nieodpowiedzialność artystów pozwala, bo gdzieś musi istnieć społeczna przestrzeń na przyglądanie się nam samym, naszym demonom, temu, kim jesteśmy. Z drugiej – jestem odpowiedzialny za publiczne pieniądze i stąd są te nasze spotkania redakcyjne, czasami wielogodzinne, żeby podjąć właściwe decyzje. Natomiast bez takich instytucji, bez teatru, bez kontrolowanego szaleństwa bylibyśmy ubożsi jako społeczeństwo.

To łagodna kontrola, jak rozumiem.

– Niektórzy artyści rozumieją tę dwoistość i to, że wchodzą do instytucji, która ma swoje zasady. Nawet jeżeli czasami zbliżamy się do granic tych zasad, jednak one są i trzeba ich się trzymać. Ale są też artyści, którzy nie chcą rozumieć niczego poza ich tzw. egotripami i wtedy współpraca bywa trudna.

Wspomniał pan o dwóch tytułach, które zrobiły wrażenie ze względu na treści. O spektaklu Mateusza Pakuły i „Prałacie". To było dotknięcie ran społecznych. Ciekawy był też przekład spektaklu Pakuły na język telewizji.

– W tym sezonie mieliśmy też przykład udanego przeniesienia „Kruka z Tower" z warszawskiego Teatru Dramatycznego, gdzie wspólna praca operatora i reżyserki pozwoliła przenieść tę historię ze sceny na ekran.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl ec8301456a

Ale był też monodram Ireny Jun „Stara kobieta wysiaduje" według Różewicza, któremu Natalia Korczakowska nadała zupełnie inny kształt w formie telewizyjnej.

– To też kwestia koordynacji i współpracy reżyserów, twórców i wszystkich pionów zaangażowanych w produkcję, włącznie z redaktorami Teatru TV, którzy wspólnie z producentami nadzorują cały proces. A z drugiej strony to po prostu wolność, jaką staramy się dawać artystom.

W tej chwili żyjemy w przestrzeni bardzo lękowej, gdzie mamy dwa walczące plemiona. Jedno mówi: jak dojdę do władzy, będziecie wszyscy siedzieć. A drugie siłą rzeczy zaczyna używać podobnego języka, bo tego wymaga paradygmat polityczny. Przez to państwo gnije, ludzie się boją i nie mają poczucia stabilności w działaniu instytucji, również artystycznych. Urzędnicy boją się podejmować decyzje, w związku z czym państwo jest w jakiejś mierze sparaliżowane. To też się przekłada na to, co się dzieje artystycznie, bo jednak decydenci wolą, żeby teatry były przede wszystkim grzeczne, rozrywkowe, pseudoklasyczne i…

...takie eksperymentalne, że już nikt nic nie wie, o co chodzi.

– To zupełnie inna sprawa. Problem komunikacji części naszego środowiska z rzeczywistością i pytanie, do kogo mówimy. Praca w telewizji to dla mnie lekcja pokory – jeden spektakl może mieć taką oglądalność, jaką w teatrze repertuarowym osiągnie się, grając 10 lat codziennie przy pełnej widowni. Dostajemy wyniki oglądalności i wiemy mniej więcej, kto to ogląda. To zmusza do zadawania sobie pytań: dla kogo te spektakle robimy. Z kim rozmawiamy i w jaki sposób.

Dziś kultura może być bezpiecznikiem społecznym i przestrzenią, gdzie możemy sensownie rozmawiać.

Macie orientację, jak wygląda widownia Teatru TV? Przybywa młodych widzów? Bo starzy lubią teatr i z przyzwyczajenia mogą go oglądać.

– Trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie, czym jest telewizja publiczna i jaką ma widownię w odróżnieniu od TVN, Polsatu, Netfliksa, Apple TV itd. Widownia TVP jest trochę starsza. To telewizja, która trafia – i to jest też atut polityczny, a na pewno był dla Kurskiego – do polskiej prowincji w o wiele większej mierze niż np. TVN. Mam świadomość pewnych przyzwyczajeń naszej widowni i staram się często wychodzić jej naprzeciw. Nie chcę wystraszyć widowni, ale też nie chcę poddawać się pohukiwaniom krytyków, którym się wydaje, że tylko oni wiedzą, jak powinien wyglądać idealny Teatr TV.

Przyszły sezon będzie bardzo zróżnicowany. Po spektaklach, które będą prawdopodobnie hitami, wyemitujemy produkcje starające się, mówiąc w skrócie, szukać nowego języka. Jednocześnie tym drugim produkcjom przyglądamy się ze szczególną uwagą, analizując dane dotyczące oglądalności. Spektakl „Jak nie zabiłem swojego ojca" oglądała w większym niż zazwyczaj stopniu kadra menedżerska i kierownicza. **Ciekawe.**

– Obserwujemy te przepływy i wyciągamy wnioski. Omawiamy z działem marketingu, jak ma wyglądać promocja, gdzie powinniśmy się promować, czy w czasopismach lifestyle'owych, czy w krzyżówkach lub innych mediach, i kalibrujemy te działania w zależności od spektaklu.

Czuje się tę promocję, można zauważyć nawet pewne przeinwestowanie.

– Wolę, żeby to było przeinwestowanie, niż niedoinwestowanie. Zwłaszcza dziś kultura może być jakimś bezpiecznikiem społecznym i przestrzenią, gdzie możemy jeszcze w miarę sensownie rozmawiać ze sobą czy przyglądać się sobie.

Jednak na pewnych produkcjach szczególnie zależy Teatrowi TV i panu osobiście.

– To prawda. Tak jest w przypadku Teatru Młodego Widza, dość mocno promowanego.

Kiedyś spektakle dla młodego widza były szalenie popularne. Ale nigdy nie ma powrotu do tego, co było. Tak też jest z oglądalnością.

– Nie ma co marzyć o tym, co się działo 20 czy 40 lat temu przy okazji niektórych premier. Cały kontekst medialny i społeczny zmienił się drastycznie. Kiedyś były dostępne tylko dwa kanały i Teatr Telewizji mogło obejrzeć 3-4 mln osób. Słyszę od starszych kolegów czy koleżanek, że w czasie emisji „Kobry" ulice się wyludniały.

To prawda.

– Natomiast w tej chwili mamy Netflix i inne platformy streamingowe, TVN, Polsat i kablówki. Mniej więcej ta sama liczba osób ogląda telewizję, ale widownia się rozdrobniła. Do tego dochodzi doświadczenie pandemii, które jeszcze bardziej zmieniło przyzwyczajenia ludzi. Więcej z nich przeniosło się do aplikacji i oglądania obrazków w telefonie czy w internecie.

Kiedy tu przyszedłem, usłyszałem, że jak spektakl Teatru TV osiągał średnią 200 tys., to już było święto. W tej chwili przekraczamy prawie zawsze te 200 tys. Kilkanaście spektakli osiągnęło średnią powyżej 400 tys., czyli oglądało nas po pół miliona, 600 tys. albo i więcej ludzi.

Nielichy wzrost.

– Oczywiście w niektórych wypadkach oglądalność może się wahać, ale ogólnie średnia jest wyższa. Czyli da się. Być może jest jeszcze jakiś zapas. Rozmawiałem z reżyserem, którego film wszedł do kin, i zapytałem go o oglądalność. Powiedział, że szacuje liczbę ludzi, którzy chodzą na kino artystyczne, od 300 tys. do pół miliona. Pomyślałem, że to jest też nasza widownia, bo to liczby, wokół których oscylujemy i trudno je będzie przebić.

To liczby znaczące, zwłaszcza w porównaniu z widownią teatru repertuarowego. Za każdym razem podkreślacie w „Postscriptum", że to największy teatr.

– Wygląda na to, że Teatr Telewizji rzeczywiście jest największą sceną świata.

To zobowiązuje. Czuje pan ten ciężar?

– Czasami czuję, ale staram się skupiać na tym, co mam do zrobienia.

Tomasz Miłkowski

eprasa.pl ec8301456a

WYDARZENIE



32. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce
Tribute To Miles Orchestra

Muzyka Milesa Davisa jest jednym z fundamentów współczesnego jazzu, inspiracją dla licznych artystów, znajdujących w spuściźnie mistrza wciąż aktualne, uniwersalne przesłanie. W setną. rocznicę urodzin legendy jazzu zagra polska supergrupa – plejada gwiazd pod wodzą Wojciecha Konikiewicza. Lider zespołu, pianista, klawiszowiec, gitarzysta, kompozytor, aranżer i producent, to jeden z najciekawszych i najbardziej kreatywnych muzyków polskiego jazzu. Założoną w 1997 r. TTMO charakteryzuje potężne i zarazem przestrzenne brzmienie, oparte na elektronicznym instrumentarium, wirtuozowskich solówkach instrumentów dętych, gitary i sekcji rytmicznej oraz interakcjach didżeja. „Przeżyliśmy i wciąż przeżywamy razem niezapomniane chwile, wielokrotnie spotykając się z niezwykle głębokim odbiorem ze strony publiczności – podkreśla Konikiewicz. – Nigdy nie staraliśmy się tworzyć kopii, we własny sposób interpretując tematy wielkiego trębacza. Miles lives!”. *(ap)*

Więcej na: jazznastarowce.pl, facebook.com/festiwaljazznastarowce.

Warszawa, Rynek Starego Miasta, 15 sierpnia, godz. 19

NA EKRANACH



Historie równoległe,
reż. Asghar Farhadi, prod. Belgia/Francja/USA/Włochy, premiera 14 sierpnia

W dniu premiery „Historii równoległych” (remake’u szóstego „Dekalogu”) na festiwalu filmowym w Cannes zmarł Krzysztof Piesiewicz, stały współpracownik Krzysztofa Kieślowskiego. Miała to więc być premiera symboliczna, ale wyszło, jak wyszło. Amerykańscy krytycy nie zostawili suchej nitki na najnowszym dramacie Asghara Farhadiego (m.in. „Rozstanie” i „Klient”). I zgoda, to nie jest rzecz idealna, ale wciąż pozostaje „jakaś”, stając się niepoprawną rozrywką dla wszystkich, którzy w kinie szukają wrażeń i są w stanie przymknąć oczy na nieścisłości i słabe rozwiązania fabularne. W „Historiach równoległych” śledzimy losy utalentowanej pisarki Sylvie (Isabelle Huppert), która przez lornetkę podgląda sąsiadów z bloku naprzeciwko. Autorka pisze o nich książkę, wyobrażając sobie, kto jest kim i jaką rolę odgrywa w trójkącie miłosnym. Kiedy jednak sąsiedzi przeczytają manuskrypt Sylvie, ich życie wywróci się do góry nogami. Ile prawdy jest w literaturze? Na to pytanie stara się odpowiedzieć Farhadi, tworząc film zupełnie inny od szóstego „Dekalogu”. *Jan Tracz*

KURTYNA W GÓRĘ



Pozłotka

Na początku nic nie zapowiada grozy konfliktu. Rodzice dorastających synów, bodaj z ostatniej klasy podstawówki, dobrzy znajomi, spotykają się przed zbliżającymi się urodzinami jednego z dzieciaków. Rzecz w tym, że przyjęcie urodzinowe odbędzie się na strzelnicy, gdzie przewidywalną atrakcją ma być prawdopodobnie strzelanie do celu.

Aldona i Mariusz, a zwłaszcza Aldona, nie chcą, żeby ich syn Jasiek miał kontakt z bronią. Czują się pacyfistami. Niezręczność polega na tym, jak wytłumaczyć bliskim znajomym, Julianowi i Justynie, że ich syn nie przyjdzie na urodziny, skoro wiadomo, że Jasiek i Maks przyjaźnią się. Wkrótce niezręczność przeradza się w konflikt, wrogość, staje się polem bitwy. Okaże się, że nic nie jest takie, jakim na początku się wydawało. Marek Modzelewski odsłoni, co tak naprawdę dorośli noszą w głowach i co buzuje w głowach ich synów.

Świetnie skonstruowana maszyna demaskacji, przyprawiona dawnym studenckim romansem Aldony i Juliana. „Pacyfiści” sięgną nie tylko po papierową broń. Kroi się coś na kształt tragikomedii kryminalnej z melodramatem w tle.

Barwy spektaklowi dodają aktorzy: Agnieszka Suchora, naczelna pacyfistka z diabłem pod skórą, Monika Krzywkowska jako na pozór mniej ekspansywna Justyna, broniąca zdobytych pozycji, pewny siebie Julian – Jacek Braciak (na zmianę w Wojciechem Malajkatem), najbardziej z nich wszystkich zrównoważony i nieco zakompleksiony Mariusz – Mariusz Jakusa (na zmianę z Krzysztofem Pluskotą). „Niewidoczna” z natury rzeczy aktorska reżyseria Jacka Braciaka okazała się gwarancją tego aktorskiego spektaklu, będącego testem deklarowanych przekonań. *Tomasz Miłkowski*

Marek Modzelewski, „Pacyfiści”, reż. Jacek Braciak, koprodukcja z Teatrem STU w Krakowie, Teatr Współczesny w Warszawie, premiera 7 maja 2026

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. BARBARA OJRZEŃSKA, MONOLITH FILMS, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl ec8301456a



Akt na kanapie z różową poduszką



Czesząca się

Józef Pankiewicz



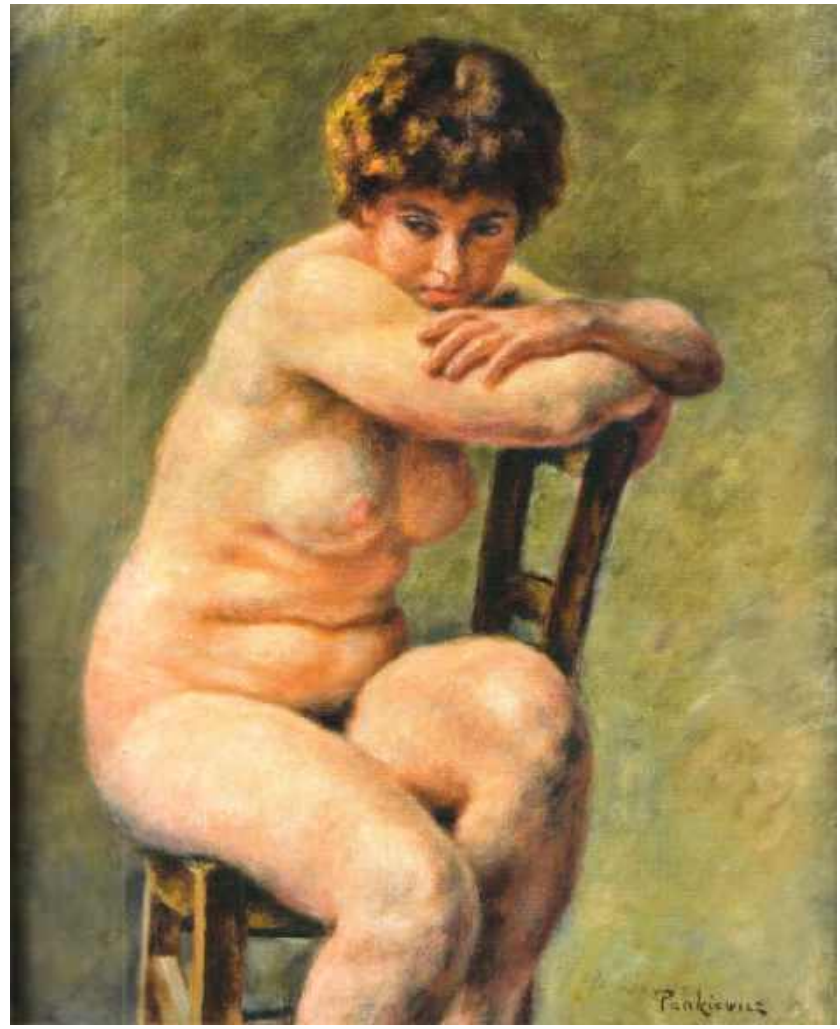
Krajobraz prowansalski ze scenami idyllicznymi

eprasa.pl ec8301456a



„Pankiewicz. Zbliżenia" autorstwa Urszuli Kozakowskiej-Zauchy (Arkady) to bogato ilustrowany album poświęcony twórczości Józefa Pankiewicza – jednego z najważniejszych polskich malarzy przełomu XIX i XX w. Artysta, uznawany za autora pierwszego polskiego obrazu impresjonistycznego, przez dekady rozwijał swój styl, przechodząc od realizmu i naturalizmu, przez impresjonizm, symbolizm i postimpresjonizm, aż po wyrafinowany koloryzm. Album prezentuje jego najważniejsze dzieła ze zbiorów muzealnych i prywatnych, ukazując ich znaczenie w kontekście przemian sztuki europejskiej.





Modelka siedząca na krześle



Akt

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl ec8301456a

Stąd, czyli z Bielska Podlaskiego

Mamy katolików, prawosławnych i niewierzących. Na jednych i na drugich świętach ciasta jemy

Anna Wyrwik

– Dyrektor mojej podstawówki powtarzał, że Bielsk Podlaski tym się różni od Hajnówki, że tam jest zbieranina z całej Polski, bo jak po I wojnie światowej wystartował przemysł drzewny, wszyscy tam ciągnęli, a u nas jakby wziąć cyrkiel i zrobić kółko na 20 km wokół miasta, to większość ludzi jest stąd – mówi Jacek Prokopiuk, lokalny dziennikarz, z którym spotykam się w azjatyckiej restauracji przy Placu Ratuszowym.

Tak, w azjatyckiej. Nie w podlaskiej z kartaczami i kiszką ziemniaczaną, ale w restauracji nazwą i zdjęciami na ścianach nawiązującej do Wietnamu.

W mieście są sushi, pizzeria Wenecja, turecki kebab, kawiarnia Hajduczek, chińskie centrum handlowe i sklepy Społem co kawałek. Tu stara drewniana chałupa, tu pokryta sidingiem, a tu oblepiona reklamami. Z tym że jednak starych drewnianych chałup to już prawie nie ma.

Jacek Prokopiuk wspomina lata 70. i 80., czas dzieciństwa, kiedy Bielsk Podlaski był drewnianym miastem, ale na jego oczach się zmieniał. Dziś drewniane chaty zostały przy ulicy Zamkowej, a drewniana ulica Mickiewicza zamieniła się w typową ulicę miasta powiatowego, czyli otynkowana ciągnie się przez miasto ze sklepami i usługami po obu stronach, reklamowanymi na kolejnych szyldach i plakatach. Architektura też jest powiatowa – budynki z czasów PRL i wesoła architektoniczna twórczość lat 90., a do tego kilka plastikowo-szklanych wstawek z XXI w.

Wróćmy jednak do tego, co mówi Prokopiuk, a mówi, że „stąd". Co to znaczy? Ano nie to, co większość osób myśli, że znaczy. Czyli nie chodzi o żadną tam narodowość czy jednolitość religijną.

– Na zachodzie powiatu są katolicy o silnie prawicowych poglądach, a na wschodzie powiatu prawosławni, którzy głosują przeciwko PiS. Mamy różną mentalność, ale jedną świadomość przynależności do tego miejsca.

W rodzinie Jacka Prokopiuka dopiero ojciec zaczął mówić po polsku. Dziadek nie mówił. Ale to nieważne, bo co innego język, religia i pochodzenie, a co innego właśnie ta świadomość, bo nawet jeśli ktoś tu ma tę ukraińską czy białoruską, to ma też bielską.

> Mamy różną mentalność, ale jedną świadomość przynależności do tego miejsca.

Zerknijmy w statystyki. W Bielsku Podlaskim mieszka ok. 23,5 tys. osób, a w całym powiecie ok. 50 tys. Prócz Polaków są tu przedstawiciele mniejszości narodowych białoruskiej i ukraińskiej. Ci pierwsi stanowią ok. 20% mieszkańców miasta i powiatu, dochodząc nawet do 70% w gminie Orla.

W wyborach parlamentarnych w 2023 r. w zachodniej gminie Brańsk PiS zgarnęło 74%, a KO otrzymała tylko 4%, we wschodniej gminie Orla KO 34%, Trzecia Droga 22%, a PiS 25%, za to w samym mieście Bielsk Podlaski PiS miało 28%, a KO 32%.

W 2025 r. w powiecie bielskim wygrał Karol Nawrocki z 60-procentowym wynikiem przy 40-procentowym wyniku Rafała Trzaskowskiego. Zresztą podobnie procentowo rozkładają się proporcje między katolikami i osobami wyznania prawosławnego – 60% do 40%. W mieście Bielsk Podlaski i w gminie Orla wygrał kandydat KO.

To pokazuje, że mamy do czynienia z powiatem granicznym, pomiędzy Podlasiem, tym bliskim Puszczy Białowieskiej, Hajnówki, z białoruską i prawosławną tradycją, a Podlasiem, przez które leci już prosta droga na Mazowsze i do reszty Polski, a im bliżej centrum Polski, tym przecież bardziej jednolicie. Tu jednolicie nie jest, a Bielsk jest pośrodku tego chaosu, różnorodności i niejednolitości. Pomiędzy.

Jacek Prokopiuk wspomina dalej. Nie ma już piwiarni, gdzie mężczyźni pili piwo na stojąco, ani miejskiej łaźni, gdzie ludzie myli się, zanim miasto oplotły rury dostarczające wodę do każdego domu. Wciąż jest za to Grodzisko, czyli Łysa Górka, historycznie usypane na wysokość 7 m w celach obronnych, a od lat wykorzystywane latem do spacerów, zimą do zjeżdżania na sankach.

– Lubię w tym mieście to, że jest niewielkie i skupione, 20 minut i jestem wszędzie, ale najbardziej to chyba lubię ratusz – uśmiecha się Prokopiuk i pokazuje budynek przez okno restauracji. Kiedyś na tym rynku handlowano, jak to na rynku, a dalej był rynek koński, gdzie handlowano zwierzętami.

Dziś jest beton, szyldy, a w ratuszu od lat 80. mieści się Muzeum Obojga Narodów.

Panna młoda ciągnęła ręczniczek

– Nazwa nawiązuje do Rzeczypospolitej Obojga Narodów, czyli wspólnego państwa Korony Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego, utworzonego na mocy unii lubelskiej w 1569 r. – mówi Krystyna Juźwiuk, która oprowadza

eprasa.pl ec8301456a



To tu mieścił się plan „Znachora", a za ladą w sklepie stała Anna Dymna.



Krystyna Juźwiuk oprowadza po wystawie „Przyszedł Znachor do apteki".



W rodzinie Jacka Prokopiuka dopiero ojciec zaczął mówić po polsku.



Doroteusz Fionik przed chatą swoich pradziadków. Od 1986 r. prowadzi Muzeum Małej Ojczyzny.

eprasa.pl ec8301456a

mnie po wystawach. – Ziemia bielska przez stulecia stanowiła ważną część tego organizmu państwowego. To tutaj przenikały się tradycje, języki, religie i kultury obu narodów, tworząc charakterystyczne dla Podlasia wielokulturowe dziedzictwo. Misją muzeum jest opowiadanie właśnie o tej historii, o wspólnym dziedzictwie pogranicza oraz o miejscu, które przez wieki było przestrzenią współistnienia różnych społeczności i kultur.

Późnobarokowy, murowany ratusz, w którym się znajdujemy, powstał pod koniec XVIII w., po wielkim pożarze miasta, na miejscu drewnianego. Ufundowała go, przy udziale miasta, starościna bielska Izabela (Elżbieta) Branicka z domu Poniatowska, siostra króla Stanisława Augusta.

– W tutejszej bazylice mniejszej wisi obraz św. Elżbiety, która ma twarz Izabeli Branickiej – mówi Krystyna Juźwiuk.

I dodaje, że wykuty w blasze owad z datą 1779, znajdujący się na szczycie ratusza, to pamiątka po pladze szarańczy, która według legendy nawiedziła Podlasie.

Muzeum pracuje nad wystawą stałą, poświęconą miastu, której otwarcie planowane jest na grudzień tego roku. Tymczasem przewodniczka pokazuje mi pierwszą wystawę.

Jeśli Bielsk Podlaski z czegoś jest znany w kulturze popularnej, to z filmu „Znachor" w reżyserii Jerzego Hoffmana, bo to tu mieścił się plan, na którym zachodzili Jerzy Bińczycki i Tomasz Stockinger do sklepu, gdzie za ladą stała Anna Dymna. Dziś w tym sklepie pan Stefan sprzedaje buty, a nad drzwiami wisi pamiątkowy szyld. W okolicy powstaje muzeum „Znachora". W ratuszu zaś możemy oglądać ekspozycję „Przyszedł Znachor do apteki. Ziołolecznictwo i aptekarstwo na Podlasiu", bo w latach 50. w lokalu, który grał filmowy sklep, mieściła się apteka. Na wystawie są meble i naczynia służące kiedyś do przechowywania surowców i leków oraz elementy wyposażenia laboratoriów.

Następnie przewodniczka prowadzi mnie na górę, by pokazać wystawę „Ręcznikowe ogrody", kolekcję ponad 450 bielskich ręczników obrzędowych i ludowych.





Na miejscowych imprezach często leje się piwo z browaru, który prowadzi Walenty Łapciew.

– Ręcznik obrzędowy to więcej niż tkanina – mówi Krystyna Juźwiuk. – Towarzyszy człowiekowi od narodzin aż do śmierci.

Kobiety podczas porodu przerzucały ręcznik przez belkę łóżka i trzymały się jego końców, by uśmierzyć ból. Te ręczniki haftowały od dziecka, czerpiąc motywy z okolic, z pól, lasów, łąk, a więc kwiaty czy ptaki. Każdy ręcznik to osobna opowieść.

Podczas wesela ręcznik był obecny niemal wszędzie – przed kołami wozu weselnego, a w późniejszych czasach samochodu. Symbolizowało to szczęście i dostatek. Potem para młoda stawała na ręczniku podczas sakramentu, a potem…

– Panna młoda obcasikiem ciągnęła ręczniczek, ksiądz prawosławny „oj tam!", krzyczał, że nie wolno. Ale panna młoda wiedziała, że musi pociągnąć obcasikiem, a niech to szczęście na miłość i nową drogę wszystkie druhny dostaną i pójdą w orszak ślubny.

W domach ręcznik wisiał na honorowym miejscu, w świętym kącie, zdobiąc ikonę. Przykrywano nim świeżo upieczony chleb i obwiązywano nim pierwszy snop zboża. Symbolizował dobro i ochronę. Był też obecny podczas rytuałów po śmierci. Wywieszano go przez okno, informując o żałobie, bo miał pomóc duszy przejść do lepszego świata. W przypadku śmierci dzieci to na ręcznikach spuszczano do grobu małe trumny.

Na zdjęciach widzę, jak obecnie ludzie dbają o stare rytuały, organizując warsztaty poświęcone haftowaniu ręczników rytualnych. Na jednym ze zdjęć jest Doroteusz Fionik.

Studziwody

Wjeżdżając do Bielska Podlaskiego drogą krajową 66 od strony Kleszczeli, przejeżdża się przez Studziwody, kiedyś osobną miejscowość, a od początku lat 50. część miasta.

Od 1986 r. Doroteusz Fionik prowadzi tu Muzeum Małej Ojczyzny. Po jednej stronie drogi stoi stara, podlaska chata, w której mieszkali jeszcze jego dziadkowie i pradziadkowie. Podobnie jak całe Studziwody, tak i oni żyli z wyrobu walonek, czyli tradycyjnych filcowych butów

eprasa.pl ec8301456a



Kiedyś drewniana ulica Mickiewicza zamieniła się w typową ulicę miasta powiatowego.

zimowych. Mieszkali tu jednak z przerwą. Podczas I wojny światowej miejscowa ludność uciekła stąd przed frontem na wschód. Pradziadkowie Fionika sześć lat mieszkali nad Wołgą. Wrócili do Studziwód w 1921 r., by zobaczyć puste pole i powojenne zgliszcza. Ale chatę odbudowali. Dziś jest w niej muzeum, są stare sprzęty, tradycyjne stroje, oczywiście walonki i obrazy lokalnego artysty Anatola Krawczuka.

Po drugiej stronie ulicy stoi tzw. Dom Mieszczański, zbudowany w 1820 r., przeniesiony tu z centrum Bielska Podlaskiego, w którym Fionik organizuje warsztaty i zajęcia edukacyjne.

– Dziś właśnie zaczynamy rowerowy obóz historyczny dla młodzieży. Zaraz wyruszamy. Będziemy jeździć po wsiach i przeprowadzać wywiady z ludźmi – mówi. – Mamy wokół siebie dużo artystów, muzyków, plastyków, wystawy… Cały czas coś się dzieje.

Dziać się będzie też w ostatni weekend wakacji (28-29 sierpnia). Fionik mieszka kilka ulic dalej, a obok jego domu stoi pomalowana na kolorowo stodoła z napisem BARN+FIELD.

– Festiwal BARN+FIELD to dwie sceny, jedna w stodole, druga na polu. Zaczynaliśmy od robienia sceny z palet z recyklingu, rok temu było już ponad 800 osób, w tym roku mamy wsparcie miasta, województwa i świetny program – nie kryje dumy Eliasz Fionik.

Jest synem Doroteusza, ma 22 lata i studiuje w łódzkiej filmówce. Co będzie się działo u niego na podwórku, na imprezie – jak mówi – dla sąsiadów, na którą zjeżdżają ludzie z całej Polski? Warsztaty rękodzieła, haftu, garncarstwa, picie i jedzenie, pole namiotowe i przede wszystkim muzyka – irlandzki zespół alt-rockowy Ether,

> Lubię w tym mieście to, że jest niewielkie i skupione, 20 minut i jestem wszędzie.

białoruski raper Mandzik, trójmiejski duet świtała & dj cbh, Baasch, Dominika Płonka oraz Jann.

Dla mnie się podoba

Jeśli w Bielsku Podlaskim albo okolicach jest jakaś impreza, często leje się na niej piwo Hoplala. W siedzibie browaru, w strefie ekonomicznej Bielska Podlaskiego, spotykam się z Walentym Łapciewem.

W 2016 r. jego córka Dominika zadała sobie pytanie, dlaczego piwo jest adresowane do mężczyzn, i założyła browar dla kobiet. Opracowała receptury, z koleżankami wymyślały nazwy piw, jak: Kotku, wrócę później, Kiss&Fly, Piękna Mądra Zdolna czy PSZEcudnej urody. Niestety, Dominika zmarła po ciężkiej chorobie. Browar przejęli jej rodzice, Walenty i Helena.

– Większość receptur zachowaliśmy. Doszło piwo różane i dwa piwa bezalkoholowe. Gdy startowaliśmy, piwa bezalkoholowe stanowiły ok. 10% naszej sprzedaży, dziś to połowa.

W ofercie Hoplala są m.in. 0%: Dziś ja prowadzę, Podwieźć Cię? i Domyśl się. Hitem sezonu jest lager o podlaskiej nazwie Dla Mnie Się Podoba.

– To nie jest tak, że mężczyźni lubią to, a kobiety to. Zdarza się, że kobiety wolą lagera, a mężczyźni piwo różane.

Łapciew pochodzi z Bielska, więc pytam go o różnorodność i tolerancję.

– W Bielsku mamy i katolików, i prawosławnych, i niewierzących, i nie ma problemu. I na jednych, i na drugich świętach ciasta jemy.

Co do jedzenia, to włoska, japońska i wietnamska kuchnia są, a co z polską? Od zawsze, a konkretnie od 1970 r. gotują ją w społemowskiej restauracji Podlasianka, czymś między barem mlecznym, a salą weselną. Jednak po bardziej podlaski klimat trzeba pojechać z 7 km za miasto. Jadę.

Niektórzy ludzie mieszkający na Podlasiu, ale już tam w okolicach Puszczy Białowieskiej, przy granicy z Białorusią, niedaleko Hajnówki, Białowieży, o reszcie kraju mówią „Polska", „do Polski jedziemy", mówią, „z Polski przyjechała", „a co w Polsce mówią?". Wyjazd z Bielska Podlaskiego też jest trochę taki, jakby już do Polski się jechało. Bielsk Podlaski, miasto frontowe. Mimo że zdaniem Jacka Prokopiuka każdy myśli centrycznie, i dla niego np. to ten Bielsk Podlaski jest Podlasiem.

Zanim jednak jeszcze się wyjedzie do Polski, drogą krajową 19, prowadzącą na Siemiatycze, można się zatrzymać w Kuchni Dobromil, gdzie dają babkę ziemniaczaną, pielmieni, placki ziemniaczane, chleb na zakwasie i leją lokalne piwo. A za restauracją po łące chodzą bociany.

Anna Wyrwik

FOT. ANNA WYRWIK (6)

eprasa.pl ec8301456a

Jaga ograła Glasgow Rangers

I to tyle pucharowych uciech

Wojciech Kuczok

Brawa dla Jagiellonii, jedynej naszej drużyny, która pozytywnie zaskoczyła w minionym tygodniu, pokonując Glasgow Rangers. Takie wyniki należy doceniać, bez względu na to, czy rywal akurat niekoniecznie nawiązuje formą do swojego legendarnego portfolio.

Po latach nikt nie będzie pamiętał, że Rangersi z Glasgow mieli kiepski początek sezonu w lidze szkockiej, a w poprzednim sezonie dali się wyprzedzić w tabeli nawet Heartsom z Edynburga. To zawsze będzie wielka europejska firma, 55-krotny (!) mistrz Szkocji, triumfator Pucharu Zdobywców Pucharów z 1972 r. Ekipa, której spośród naszych klubów potrafił sprostać tylko wielki Górnik z Włodzimierzem Lubańskim w drodze po finał PEZP przed 56 laty.

Potem zarówno Górnik, GKS, Amica, Legia, jak i Lech nie znalazły sposobu, aby wygrać choć pojedynczy mecz ze Szkotami. Sam pomnę, jak młokosem będąc, świadkowałem łomotowi, jaki Rangersi spuścili Gieksie na Stadionie Śląskim w 1988 r. Dwukrotnie wtedy śląscy obrońcy nie zdołali powstrzymać Terry'ego Butchera, który kropnął dwa gole głową. O tym, jaka jest twarda, cały świat przekonał się rok później, gdy w meczu reprezentacji Anglii z powodu rozciętej skóry w starciu na początku meczu, Butcher przez cały mecz grał, brocząc krwią.

„The Gers" przed dekadą wyszli z największego kryzysu w historii, spowodowanego karną relegacją na czwarty poziom rozgrywek (klubowi groziło bankructwo, nie rozliczał się z skarbówką) w 2012 r. Powrót na najwyższy szczebel trwał cztery lata, rychło też klub odnalazł się w Lidze Europy, docierając choćby do jej finału w 2022 r. Budżetowo Szkoci przerastają Jagiellonię po wielekroć, w składzie mają kilku zawodników, którzy z powodzeniem zagrali na mundialu, jak choćby Norweg Thelo Aasgaard, czy Belg Nicolas Raskin, wybrany przez „L'Equipe" do jedenastki największych objawień turnieju.

Mecz w Białymstoku zaczął się więc zgodnie z oczekiwaniami od katastrofy, gdy już w czwartej minucie obrońca Jagi Montóia trafił do własnej bramki. Potem mogliśmy na własne oczy przekonać się, jak fundamentalne znaczenie ma tzw. pucharowe ograne na międzynarodowej arenie. Drużyna trenera Siemieńca w ciągu ostatnich dwóch sezonów rozegrała ponad 20 spotkań w europejskich pucharach, zatem to, co dla innych klubów byłoby wydarzeniem wysoce stresogennym, dla Białostoczan jest już normalnym dniem w pracy. Zamiast paniki po feralnym początku Jaga natychmiast zabrała się do odrabiania strat – i trzeba zauważyć, że wydatnie pomógł jej w tym nigeryjski stoper przyjezdnych, Emmanuel Fernandez. Najpierw zmienił lot centry Kajetana Szmyta, tak że ku zdumieniu bramkarza ze spodziewanego „pustego przelotu" zrobił się strzał tuż przy słupku. Potem przewrócił się w polu karnym i nie wstając, patrzył, jak Imaz strzela, a Szmyt dobija.

Pod Jasną Górą nie ma kto strzelać goli.

Mimo morderczego upału Jaga forsowała wysokie tempo gry i miała wiele okazji do podwyższenia wyniku, ale w końcówce to goście parli do wyrównania i byli blisko celu (Jagę uratował słupek). Gospodarze mieli jednak szanse skutecznie skontrować. Szkoda tylko, że ich nowy nabytek, wypożyczony z Lens młody skrzydłowy Agbonifo, to typowy jeździec bez głowy, który biega z piłką bardzo szybko, po to by równie szybko ją stracić.

Glasgow jest podzielone religijnie między katolicki Celtic (to w tym klubie piękną kartę zapisali Polacy: Dariusz Dziekanowski, Maciej Żurawski, czy choćby Artur Boruc) i protestanckich Rangers. W tym mieście kibicowanie ma wymiar pozasportowy, co przekłada się na szczególną zajadłość fanów na trybunach.

Na Ibrox Park, przy 50 tys. fanatycznych kibiców „The Gers", Jagę czeka prawdziwe wyzwanie – co do tego, że gospodarze od pierwszych minut rzucą się na nasze „Pszczółki", nie ma wątpliwości. Ten mecz, zwłaszcza zaś jego początek, trzeba będzie po prostu przetrwać.

Nieoczekiwanie znajomością sztuki przetrwania będzie się musiał wykazać także poznański Lech podczas wyprawy na Wyspy Owcze. Beznadziejną postawę Kolejorza w domowym starciu z niejakim Klaksvíkar Ítróttarfelag można przypisać depresji po koszmarze w eliminacjach Ligi Mistrzów, gdzie piłkarze z Wielkopolski roztrwonili rekordową przewagę nad duńskim Aarhus. Zamiast mobilizacji i wielobramkowej zaliczki kibice dostali wymęczone zwycięstwo i zobaczyli odstręczający marazm w grze swoich ulubieńców.

Przygnębiony Lech wygrał nie tylko minimalnie, ale i szczęśliwie, bo zdobywca jedynego gola Yannick Agnero jest znany z marnowania okazji stuprocentowych – tym razem w sytuacji sam na sam skorzystał z tego, że bramkarz się potknął. Fererzy mieli swoje okazje, ich graczowi udało się nawet trafić w poprzeczkę bezpośrednio z rzutu rożnego, różnicy klas między obiema ekipami nie było widać.

eprasa.pl ec8301456a



Rodrigo Conceição z Jagiellonii Białystok (po prawej) podczas eliminacji Ligi Europy 2026/2027 w meczu z Rangers FC. Białystok, 6 sierpnia 2026 r.

Rewanż mistrzowie Polski zagrają na sztucznej murawie, a o tym, że kiepsko sobie na niej radzą, dowiódł chociażby gibraltarski blamaż sprzed roku (porażka z Lincoln Red Imps). Sytuacja robi się dramatyczna, bo jeśli Lechici zbłaźnią się po raz kolejny, w ostatniej fazie eliminacji Ligi Konferencji czekać na nich mogą mistrzowie Węgier lub Łotwy, łatwiej zatem wcale nie będzie.

Nie jest wcale nieprawdopodobieństwem brak jakiegokolwiek reprezentanta Polski w ligowej fazie tegorocznych pucharów. Lech dowiódł, że jest w stanie przegrać z każdym i odpaść mimo kapitalnej zaliczki w pierwszym meczu.

O awans będzie nadzwyczaj trudno pozostałym drużynom. Raków też zagra wyjazd na sztucznej murawie w Sztokholmie, a po tym, co pokazał w Częstochowie, próżno mieć nadzieję na sukces. Dawid Kroczek miał być trenerem tymczasowym po zwolnieniu Łukasza Tomczyka, ale w miarę udany finisz rozgrywek sprawił, że postanowiono mu dać szansę. To człowiek Marka Papszuna, jeden z asystentów obecnego trenera Legii, trudno się zatem dziwić, że Raków gra jak za Papszuna – brzydko, ale zgoła nie jak za Papszuna – nieskutecznie. Falstart w Ekstraklasie, pucharowe męczarnie z klubem maltańskim, a teraz bezbramkowy remis z przeciętnym Hammarby stawiają dalszy staż Kroczka pod znakiem zapytania.

Na domiar złego kuzyn Erlinga Haalanda, najlepszy napastnik częstochowian Jonathan Braut Brunes, w końcu dopiął swego i wymusił transfer (przygarnęła go praska Sparta) – pod Jasną Górą nie ma zatem kto strzelać goli. Ani Patryk Makuch, ani Mahir Emreli nie są w stanie zastąpić Norwega – Raków jest bezzębny, w meczu u siebie oddał rywalom inicjatywę, a nieliczne okazje miał po stałych fragmentach gry. Po jednym z nich zdobył zresztą gola, w moim przekonaniu całkiem prawidłowo, ale jak nie idzie to „po całości" – sędzia dopatrzył się przewinienia w ofensywie. Raków stracił nie tylko punkty, ale i kapitana Igora Tudora, który mimo środków przeciwbólowych nie dał rady kontynuować gry z kontuzjowanym barkiem.

O pozostanie w pucharowej grze i nagrodę w postaci dwumeczu z Atalantą Bergamo będzie trudno także GKS Katowice. Dwa „kryminalne" błędy obrońców Arkadiusza Jędrycha i Borji Galána, którzy w ekstraklasie uchodzą za solidnych fachowców, ustawiły mecz pod dyktando Hapoelu Tel Awiw.

Można się pocieszać tym, że Gieksa na wyjazdach gra o klasę gorzej niż na Nowej Bukowej, a potencjał drużyny z Izraela nie jest niebotyczny. Odrobienie strat przy uważnej grze i szalonym dopingu Katowiczan nie jest wykluczone, szkoda tylko, że zwycięstwo w pierwszym meczu GKS rywalom po prostu sprezentował.

Zdumiewająca sytuacja miała miejsce w drugiej połowie meczu, gdy jeden z fanatyków Hapoelu wbiegł na murawę i zamiast zostać natychmiast schwytanym przez służby porządkowe, błaznował i prowokował zarówno kibiców śląskich, jak i węgierskich (mecz odbywał się na neutralnym terenie w Miszkolcu). Kres harcom położył dopiero rozjuszony Węgier, który przedarł się przez ogrodzenie i postanowił samodzielnie obezwładnić intruza. Wtedy dopiero ochroniarze zaczęli reagować stanowczo. Czyżby obywatele Izraela byli objęci paragrafem ochronnym, których zabrania służbom porządkowym interwencji nawet w przypadku jawnego pogwałcenia regulaminu, czyli wbiegnięcia kibica na murawę?!

W boju pozostał także zabrzański Górnik i choć przegrał w Budapeszcie z Ferencvárosi, znowu pozostawił korzystne wrażenie. Mecz z przebiegu gry był remisowy, jedyny gol dla Węgrów padł w okresie przewagi Zabrzan. Kwestia awansu pozostaje otwarta, tym bardziej że u siebie Górnik zagra z nożem na gardle – w przypadku porażki trafi w play offach o Ligę Konferencji na Monaco. Z całym szacunkiem dla Zabrzan, śląska waleczność to za mało, by mieć jakiekolwiek szanse z takim rywalem. ■

FOT. GRZEGORZ WAJDA/REPORTER

eprasa.pl ec8301456a

Paweł Średziński


Miedziopierś północna

Czujny jak ważka nad Narwią

Rzadkie ważki, zagrożone motyle i niezwykłe zależności przyrody

Okazuje się, że Narwiański Park Narodowy jest miejscem, które przyciąga nie tylko miłośników przyrody z Polski. Wśród admiratorów Narwi znalazł się bowiem João Matos da Costa. Pochodzi z Portugalii i znalazł się nad tą rzeką przez splot różnych okoliczności. Przesiąkł już tym miejscem, co wynikło z faktu, że zawodowe życie związał z parkiem narodowym chroniącym jej dolinę. Dziś bada żyjące w niej owady, a szczególnym jego zainteresowaniem cieszą się ważki i motyle.

Z Portugalii nad Narew

Spotykamy się w parkowym ośrodku edukacyjnym, Młynarzówce, gdzie na co dzień pracuje João. Nim zaczniemy rozmawiać o ważkach i motylach, pytam go, jak trafił do Polski. W odpowiedzi słyszę: „Najpierw studiowałem w Portugalii. Byłem na leśnictwie. Mój kolega namówił mnie, żeby pojechać do Polski, bo była taka możliwość. Powiedziałem mu, że tam jest zimno, ale w końcu się zgodziłem. Trafiliśmy do Poznania zimą. Kolega wrócił do Portugalii, a ja zdecydowałem się zostać w Polsce, bo przyszła wiosna, było zielono. Tyle bujnej zieleni to w Portugalii nie mamy.

Studiowałem wtedy ochronę środowiska. Po jej ukończeniu okazało się, że była możliwość otrzymania dofinansowania na kontynuację nauki. Poznałem też dziewczynę z Białegostoku. I przyjechałem na wschód Polski. Akurat poszukiwano osoby do pracy w Narwiańskim Parku Narodowym. Złożyłem dokumenty. Wtedy dyrektorem był Ryszard Modzelewski. Wspaniały człowiek! Zaprosił mnie na rozmowę i zapytał, czy mówię po polsku. A jeśli nie mówię, to jak chcę tutaj funkcjonować.

Dał mi dwa miesiące na naukę języka, jeśli chcę ubiegać się o pracę. Pojechałem do Warszawy na intensywny kurs polskiego. Udało się. Zacząłem mówić lepiej i po drugiej rozmowie kwalifikacyjnej dostałem posadę w parku. Zacząłem pracować w 2009 r. Tu, w podlaskim, urodziły się moje dwie córki. A ja mieszkam teraz w Białymstoku”. (…)

Ważki

W Narwiańskim Parku Narodowym stwierdzono do dziś występowanie 47 gatunków ważek na łączną liczbę 73 gatunków występujących w całej Polsce. To daje 67% wszystkich polskich gatunków ważek. Ich obecności sprzyja charakter parku, który został powołany do ochrony rzecznej doliny, z licznymi starorzeczami i mokradłami.

„A jakie są gatunki ważek szczególnie ważne dla parku?”, dopytuję. João zaczyna wymieniać ich nazwy: żagnica zielona, zalotka większa, trzepla zielona, gadziogłówka żółtonoga, miedziopierś północna, straszka syberyjska. To tylko niektóre z ponad 40 gatunków występujących na terenie parku.

Zalotka większa znajduje się w załączniku Dyrektywy Siedliskowej, co oznacza, że to gatunek kluczowy dla Unii Europejskiej. W Polsce jest wciąż uznawana za „szeroko rozsiedloną”. Pierwsze odnotowanie jej obecności w parku zawdzięczamy João. Od tego czasu udało się ustalić, że w parku występuje na różnych stanowiskach. Podobnie jak innym ważkom zagraża jej susza i wysychanie rzeki. Dodatkowym problemem jest zarastanie doliny przez krzewy i drzewa, a przez to zacienianie stanowisk tego gatunku.

Żagnica zielona to kolejny ciekawy gatunek ważki. Jak podkreśla mój rozmówca, samica tego gatunku składa jajeczka na roślinie rosnącej w wodzie – osoce aleosowatej. Ekspert dodaje, że to nie przypadek, że żagnica tak bardzo polubiła ten park. Narew na większości swojego odcinka w granicach parku jest rzeką anastomozującą, czyli taką, która płynie

eprasa.pl ec8301456a


Żagnica zielona


Strzępotek edypus

jednocześnie wieloma wijącymi się korytami, łączącymi się i rozdzielającymi. To sprzyja występowaniu rozległych stanowisk osoki, a wraz z nią stwarza dobre warunki do rozrodu żagnicy zielonej.

Ten gatunek ważki jest uznawany za licznie występujący w parku. Inną imponującą – jeżeli chodzi o wygląd – ważką jest trzepla zielona. Podobnie jak zalotka większa znajduje się w unijnych załącznikach Dyrektywy Siedliskowej. Populacja tego gatunku w Polsce jest uznawana za stabilną. Jednak w samym parku trzepla nie ma wysokich zagęszczeń, co po części tłumaczy się tym, że preferuje większe i meandrujące koryta rzeczne, o umiarkowanym przepływie wody i piaszczysto-żwirowym dnie. Tymczasem Narew w parkowych granicach jest wielokorytowa, a jej dolina zatorfiona.

Mimo że Narwiański Park Narodowy nie jest aż tak optymalnym siedliskiem, to badacze owadów znajdują na jego terenie wylinki tych ważek. To właśnie one, czyli pozostałości po ostatecznym przepoczwarzeniu się larw tych owadów w postać dorosłą, pomagają badaczom w czasie monitoringu tej części entomofauny.

Co warto zauważyć, larwy ważek, zanim przyjmą postać dorosłą, mogą pod wodą spędzić sporo czasu – nawet kilka lat – i przejść wiele przeobrażeń. W końcu chitynowa osłona pęka i wyłania się z niej dorosła ważka. W okresie larwalnym, podobnie jak później, w dorosłym, ważki są drapieżnikami. Ich ofiarą padają m.in. larwy komarów, ale i inne zwierzęta, w tym kijanki.

Bardzo rzadkim gatunkiem ważki występującym w Narwiańskim Parku Narodowym jest miedziopierś północna. W Polsce nie należy do licznych owadów. W granicach parku stwierdzono już parokrotnie jej występowanie w rejonie torfowiska Rynki. Co ciekawe, z terenu parku pochodzi również obserwacja straszki syberyjskiej, kolejnego nielicznego gatunku w Polsce.

Zanim larwy ważek przyjmą postać dorosłą, mogą pod wodą spędzić kilka lat i przejść wiele przeobrażeń.

Wśród 47 gatunków ważek, których występowanie stwierdzono na tym obszarze chronionym, są też gatunki dość powszechnie występujące. Wśród nich warto wymienić świteziankę błyszczącą. Jest ona bardzo łatwa do rozpoznania z racji metalicznego ubarwienia, przy czym samce są metalizująco niebieskie, a samice metalizująco zielone. Jest to ważka, która lubi doliny nizinnych rzek.

Moj rozmówca zauważa, że dopiero w ostatnich dwóch dekadach naukowcy zaczęli bliżej przyglądać się narwiańskim ważkom. Ich świat wciąż wymaga dalszych badań i być może w parku pokażą się kolejne rzadkie gatunki albo jeszcze nieodnotowane. Obszar Narwiańskiego Parku Narodowego jest ważną ostoją dla tej grupy organizmów.

Pierwsze badania ważek, zanim w parku zaczął się nimi zajmować João, prowadził Cezary Bystrowski. To on stwierdził m.in. występowanie szablaka przepasanego, rzadkiego gatunku z charakterystyczną linią barwnego paska na obu parach

eprasa.pl ec8301456a

skrzydeł. Jest to ważka rzadko spotykana w Polsce. Pomimo swojej innej nazwy gatunkowej – szablak górski – nie występuje w górach. To określenie jest związane z miejscem, gdzie został po raz pierwszy opisany, we włoskim Piemoncie, czyli górskim regionie Italii. Oprócz tego szablaka nad Narwią latają również szablak krwisty, zwyczajny i żółty. João wyjaśnia mi, że mamy dwa podrzędy ważek. Są ważki równoskrzydłe, czyli takie, u których obie pary skrzydeł mają podobny kształt i wielkość oraz są zwężone u nasady. Wśród nich jest m.in. często obserwowana świtezianka. Przez to, jak wyglądają ich skrzydła, są słabszymi lotnikami.

Z kolei drugi podrząd należy do ważek różnoskrzydłych. Te wyróżniają się tym, że ich przednia para skrzydeł jest inna, jeżeli chodzi o kształt i wielkość, niż tylna para. Te ważki poruszają każdą parą skrzydeł niezależnie od siebie, co sprawia, że latają szybciej i mają większą „moc przelotową" niż ich równoskrzydłe krewniaczki. Wśród ważek różnoskrzydłych są m.in. szablaki. Jednak nie wszystkie gatunki ważek występujące w parku są chronione prawem w Polsce – zaledwie sześć z 47 stwierdzonych na tym obszarze.

Motyle

Okazuje się, że ważki nie są jedynym obiektem zainteresowań mojego rozmówcy. Wśród owadów, które go interesują, znajdują się również motyle. Tu warto podkreślić, że mamy gatunki motyli dziennych oraz nocnych, zwanych potocznie ćmami. W tej pierwszej grupie na terenie Narwiańskiego Parku Narodowego stwierdzono występowanie 66 gatunków. Jak twierdzą eksperci, park charakteryzuje się „umiarkowanym bogactwem" z racji swojej niewielkiej powierzchni.

Za obszary najcenniejsze dla tej grupy owadów uznaje się grądziki, czyli wysepki położone między korytami rzeki, oraz torfowisko Rynki. Z gatunków motyli dziennych uznawanych za priorytetowe badacze tych owadów wymieniają m.in. czerwończyka nieparka. Jest to gatunek ściśle chroniony i znajduje się na liście zwierząt zagrożonych w Polsce. Preferuje wilgotne łąki i obszary nieleśne, stąd zagrożeniem jest zmiana składu gatunkowego rosnących tam roślin, jak i zarastanie takich miejsc przez krzewy i drzewa.

W Narwiańskim Parku Narodowym została również stwierdzona obecność strzępotka edypusa, uznawanego za jeden z najbardziej zagrożonych gatunków. Ten motyl występuje na nielicznych stanowiskach w Polsce. Jedno z nich znajdowało się właśnie w parku. Jego występowaniu sprzyja obecność torfowisk. Inny gatunek strzępotka, strzępotek soplaczek, również jest znany z jednego miejsca w rejonie torfowiska Rynki. Ten rzadki motyl preferuje torfowiska niskie.

W opinii entomologów równie dużym unikatem co strzępotek edypus, jest modraszek alkona. Jego obecność po raz pierwszy została potwierdzona na jednym z grądzikow w dolinie Narwi. To tam znajduje się stanowisko goryczki wąskolistnej, rośliny żywicielskiej w pierwszym okresie rozwoju larw tego modraszka. Po tym, jak larwy opadną na ziemię, do akcji muszą wkroczyć mrówki, w tym przypadku mrówki z gatunków wścieklic, których robotnice przenoszą je do mrowiska. Biorą one modraszkowe larwy za larwy mrówek. Tam funkcjonują w charakterze pasożytów, zimując, ale nie niszczą swoich żywicieli, i korzystają z dokarmiania przez mrówki. Potem same wychodzą na zewnątrz i wylatują z mrowiska już w formie dojrzałej. Dlatego w miejscach, gdzie stwierdza się obecność modraszka alkona, muszą być spełnione dwa warunki – obecność goryczki i mrowisk. To pokazuje skomplikowane zależności, jakie łączą różne gatunki i warunkują ich występowanie.

W opracowaniu, które ukazało się w 2016 r. z okazji 20-lecia Narwiańskiego Parku Narodowego, jego autorzy – wśród nich był czołowy badacz motyli, prof. Marcin Sielezniew – wymieniali jeszcze trzy gatunki przeplatki – diamina, didyma i britomartis. Ten ostatni jest notowany rzadko w Polsce, a jego obecność była stwierdzona na jednym z grądzików, co mogło mieć związek z występowaniem jego prawdopodobnej rośliny żywicielskiej, czyli przetacznika długolistnego.

Jak się okazuje, w przypadku motyli potrzebne są różnego rodzaju zabiegi ochronne, które wzmacniają ochronę ich siedlisk. Chodzi tu o utrzymanie warunków sprzyjających ich przetrwaniu. Wiele zależy od gatunku. Część motyli wymaga muraw, a zatem miejsc suchych, ale użytkowanych w taki sposób, że nie dochodzi na nich do zarastania. Z drugiej strony prowadzona dawniej w takich miejscach ekstensywna gospodarka rolna, w tym wypas zwierząt, powinna być zdaniem badaczy przywracana. Nie należy jej jednak mylić z intensywnym rolnictwem, które obecnie również stwarza wiele zagrożeń dla motyli.

João pracuje obecnie nad doktoratem, ale skupia się w nim na motylach nocnych, które, jak twierdzi, woli nazywać ćmami.

„Motyle dzienne latają tylko w dzień – stwierdza z przekonaniem. – A ćmy latają w nocy, a niektóre również w dzień, stąd nie są wyłącznie motylami nocnymi. Pierwsze działania podjąłem jeszcze w 2017 r. i zdobyłem pierwsze finansowanie. Z ćmami jest o tyle trudno, że o ile motyle dzienne można rozpoznać po skrzydłach, to w przypadku ciem nie jest to już takie łatwe. Do ich łapania wykorzystuję specjalne pułapki świetlne, które przyciągają te owady. (…) Wiemy też już, że liczba gatunków ciem w parku wynosi 300".



Fragmenty książki Pawła Średzińskiego *Narwiański Park Narodowy. Wędrownik po parku i jego okolicach*, Paśny Buriat, Suwałki 2026

W Narwiańskim Parku Narodowym stwierdzono obecność strzępotka edypusa, jednego z najbardziej zagrożonych gatunków motyli.

FOT. SHUTTERSTOCK (3)

eprasa.pl ec8301456a



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

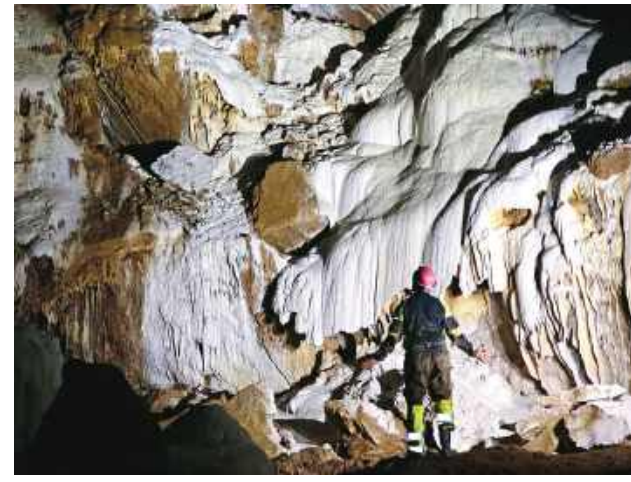
Pogwarka z nietoperzem

Idę ścieżyną wyślizganą wśród głazów i piarżysk, nade mną ciemność; o tym, że to nie noc na powierzchni, ale dzień, we wnętrzu skał przypomina tylko czasem mijany gaj śnieżnobiałych stalagmitów. Jestem w jednej z największych naturalnych komór podziemnych Mitteleuropy, nazwanej przez odkrywców Rozprávkovým domem, na fali popularności niegdysiejszego przeboju Karela Gotta. Bajkowe są to przestrzenie dekorowane kalcytową szatą naciekową. To już właściwie nie jaskinia, ale góry podziemne, w sali rozleglejszej od pełnowymiarowego boiska piłkarskiego, z wysoko zawieszonym stropem, nie widać ścian ani sufitu. Jeśli kto z powodu klaustrofobii nie miał okazji podziwiać świata podziemnego, tu mógłby się wyzbyć lęków.

Stratenská, druga po systemie Demianowskim jaskinia Słowacji, liczy sobie dzisiaj już 26 km korytarzy, z czego wielka część przypada na gigantycznych rozmiarów ciąg sal wymytych przed 4 mln lat przez wody rzeki Hnilec. Odkryto ją dopiero w 1972 r., jest więc w pewnym sensie moją rówieśnicą. Speleolodzy ze Spiskiej Nowej Wsi strzegą jej jak oka w głowie. Przez wiele lat infiltrowałem ich środowisko, aby wreszcie móc skorzystać z zaproszenia do wspólnej eksploracji. Podobno ostatnim Polakiem, który tu się dostał, był przed ćwierćwieczem doktorant Uniwersytetu Jagiellońskiego badający mikrofaunę tutejszych wód podziemnych – skądinąd nie ma ich zbyt wiele oprócz kilku niewielkich jeziorek, w systemie brak aktywnego cieku wodnego. Jaskinia jest sucha, dzięki czemu całkowicie cicha. Nic tu nie cieknie, nic nie kapie, co w tak olbrzymich przestrzeniach robi niezwykłe wrażenie, kiedy na chwilę zatrzymujemy się i milkniemy.

W jednym z odleglejszych korytarzy, kilka godzin od otworu, znów czuję tę błogość, że zniknąłem z powierzchni ziemi nękanej zmianami klimatycznymi i wojnami wywołanymi przez obłąkanych satrapów. I nawet gdyby nasza gwiazda zgasła, ludzie dowiedzą się o tym po ośmiu minutach, bo tyle potrzebuje światło słoneczne, aby dotrzeć na Ziemię, a ja się nie dowiem, póki stąd nie wyjdę, żaden kataklizm mnie tu nie dosięgnie. Jestem dość otłuszczony, przez co nie marznę szybko, ale za to zadyszki dostaję łatwo – zasiedziałem się w sali imienia Słowackiego Powstania Narodowego (historia dociera pod ziemię tylko w nazwach), moja ekipa już rozpoczęła odwrót, echo ich kroków i rozmów oddala się, aż w końcu w absolutnej ciszy i ciemności zaczynam słyszeć szum własnej krwi w żyłach. Zapalam światło, zwlekam się z legowiska na glinie pobielonej wyschłym mlekiem wapiennym i niechętnie idę w stronę powrotną, bo zabłąkać się w takim labiryncie nietrudno, a jeszcze mi nie pora na wieczne odpoczywanie. Dla otuchy gadam do siebie, a potem do nietoperzy w mniej obszernym przełazie. Przepraszam, że je wyrwaliśmy z drzemki światłami, głosami i podniesieniem temperatury. Już się kręcą, wiercą, a potem zrywają do nerwowego lotu, ale zanim wylecą na zewnątrz, zegar biologiczny im podpowie, że do godziny komarów jeszcze daleko, jeszcze można spać, zanim przyjdzie czas wyżerki.

Gadam do nietoperzy, co wcale nie zdaje mi się dziwactwem. Pomnę, jak ledwie dzień wcześniej w jednym z bocznych ołtarzy lewockiego kościoła widziałem relief ze św. Antonim Padewskim, co to wygłosił kazanie do ryb w Rimini. Ludzie go nie chcieli słuchać, to się rozgadał nad rzeką. Mój świętej pamięci wujek też z rybami gadał, ucinał sobie z nimi pogawędkę nad Amelungiem, zwłaszcza kiedy nie chciały brać. Święty to był człowiek, chociaż do kościoła chodził wyłącznie dla spokoju bogobojnej ciotki, a homilii nie przesypiał tylko za sprawą jej kuksańców.

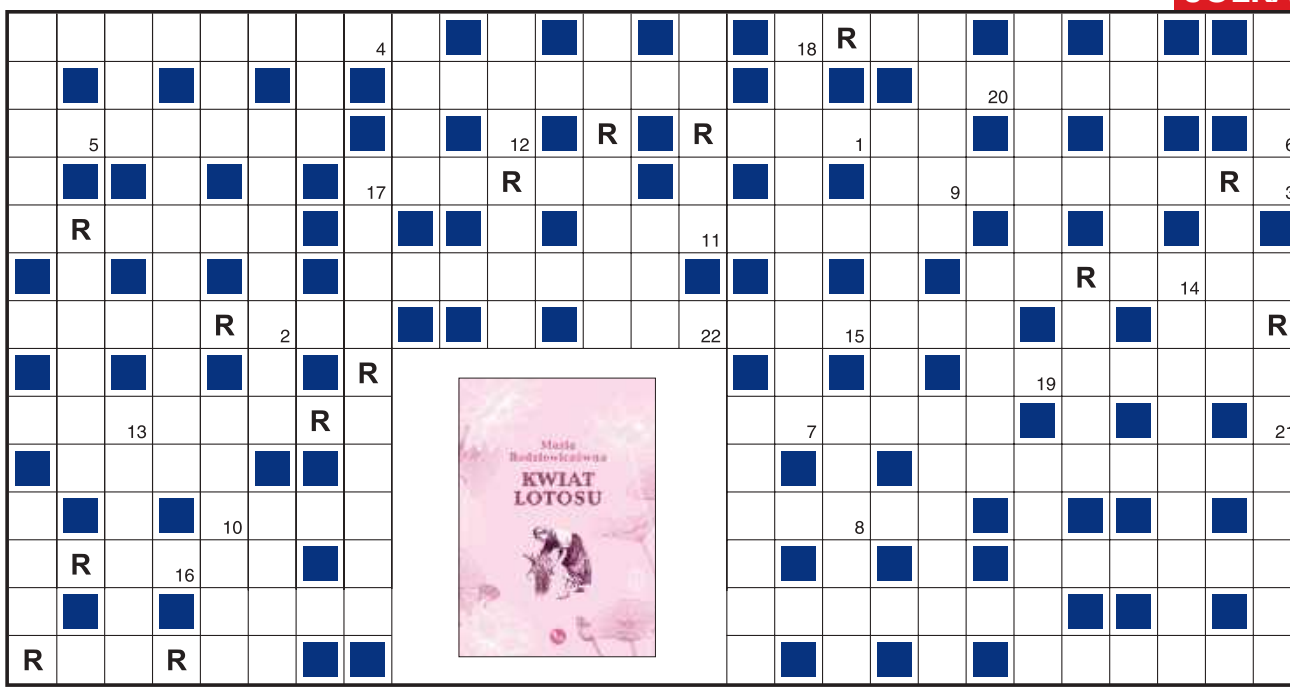


Przypomina mi się panoramiczny całkiem już świecki happening morski Kantora, w którym Edward Krasiński dyrygował falami Bałtyku. Także inne kurioza, jak choćby św. Szymon Słupnik u Buñuela, błogosławiący ząb, który stracił (ale z niejakim zawahaniem, czy godzi się błogosławić przyszłą relikwię). Albo pląsawica Szejkersów, która ostatnio trafiła do kultury popularnej za sprawą sfilmowanej w formie musicalu biografii Ann Lee (zagrała ją Amanda Seyfried, a scenariusz napisał Brady Corbet, ten od „Brutalisty"). Przypomina się także rewelacyjny „Święty Idiota" Cezarego Wodzińskiego, monografia jurodstwa, historia prawosławnych pomyleńców chrystusowych, średniowiecznych happenerów z Bożej łaski.

Wiele się przypomina, jak człowiek jest sam ze sobą, jak ma czas i wolę modlić się, nogami maszerując przez podziemne pustacie. Z dala od rac, hymnów, politycznych połajanek, fejsbukowych gównoburz i całej tej zmęczonej sobą ludzkości. ■

FOT. AUTOR

eprasa.pl ec8301456a



1	2	3	4	5

6	7	8	9

10	11	12	13	14	15	16

17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- tempo wolniejsze niż allegretto
- byk czczony jako wcielenie Ptaha
- kielich Higiei jej oznakowaniem
- poczucie wyższości i zuchwałość
- powłoka gazowa wokół planety
- mały samolot sportowy lub turystyczny
- niewyraźna mowa, tekst bez sensu
- „…bezdomnych”, film Kasi Adamik
- członek kasty kapłańskiej w Indiach
- pseudonim Stanisława Mackiewicza
- o stróżu, dozorcy
- pies z horroru Stephena Kinga
- do nabierania, a na żaglówce do wylewania
- styl pływacki jak zwierzę morskie
- osiągnięcie, zrealizowanie celu
- sportowe długie spodnie i bluza
- niemiły, nietaktowny mruk
- i miejsce bitwy z 301 r. p.n.e., i sondażownia
- bycie, życie, egzystencja
- warmiński – Kopernik, włocławski – Mikołaj Wodka
- pani przed ladą
- futrzasta, miaucząca dama
- surowiec mineralny tworzący złoże
- nosa, tekstu lub zeznania podatkowego
- salonowy albo z sawanny
- jego tatusiem ten z sawanny
- przez niektórych panów maskowana pożyczką
- …Berezowska, malarka, graficzka
- pomost do spacerów w kąpieliskach
- dostaje posadę dzięki pokrewieństwu
- Ludwika, autorka warszawskiej Syreny
- cios kładący przeciwnika na deski
- imię pisarki Zabużko
- Hejkum kejkum …ratuj!
- opieka boska
- tnąca krawędź noża
- łatwo wpada w popłoch
- Ludwik XIV: …to ja
- …informacyjna serwowana w mediach
- Nona, Decima i Morta
- głowy do niej w tytule powieści Jana Lama
- wskazuje ją kompas
- maszyna do przygotowywania tras narciarskich
- rowerowa taksówka
- bo maślarze i harcerze mają siebie dość
- stan upadku, dewastacji
- serce starego miasta
- przewrót wykonywany bez podparcia
- dziczyzna na comber
- chór działający przy parafii
- urok i atrakcyjność fizyczna
- biały, żółty lub pleśniowy
- graficzna albo liturgiczna
- ciemny odcień czerwieni
- wodna głębia
- obcisły strój baletowy
- uchylenie się przed ciosem
- werbena inaczej
- pożyczka maskująca ubytek włosów
- miejsce na uboczu, zakamarek

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1286”. Do rozlosowania książki „Kwiat lotosu” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 16 sierpnia 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1283” z nr. 30: *Nie zawsze groźny, kto grozi.*

Nagrody otrzymują: Marianna Felis z Koła, Renata Osierda z Kęt, Zenon Czajczyc z Olsztyna.

eprasa.pl ec8301456a

Sąsiad

Ambasador Ukrainy w Polsce Wasyl Bodnar zakończył misję w Warszawie i wraca do Kijowa, by objąć stanowisko wiceministra spraw zagranicznych – poinformowały media. Co ciekawe, wiceszefem ukraińskiego MSZ ma zostać także Wasyl Zwarycz, który był jego poprzednikiem w Warszawie. Dodajmy, że Bodnar już był w swojej karierze wiceministrem. To jest jego półka. Kto może go zastąpić? PAP podała, że albo Iryna Wereszczuk, zastępczyni szefa kancelarii prezydenckiej, była wicepremier, albo wiceszef MSZ Ołeksandr Miszczenko.

To oznacza, że Ukraina kieruje do ambasady w Polsce ludzi z bardzo wysokiego poziomu, już politycznego. Czyli, że jesteśmy dla Kijowa jednym z najważniejszych państw.

A kogo my kierujemy do Kijowa?

Gdy w roku 2015 r. PiS zdobyło władzę, jedną z pierwszych decyzji było zablokowanie Marcina Wojciechowskiego, który miał zostać ambasadorem w Kijowie. Wojciechowski przez dwa lata był rzecznikiem MSZ, ale wcześniej pracował w „Gazecie Wyborczej". I to go w oczach prawicy pogrążało: że bez doświadczenia dyplomatycznego, bez umocowania politycznego, no i z „Gazety Wyborczej". PiS przez rok zastanawiało się więc, co z kijowską placówką, i ostatecznie wysłało na nią Jana Piekło, katolickiego dziennikarza, byłego dyrektora wykonawczego PAUCI (Poland-America-Ukraine Cooperation Initiative). Bez doświadczenia w pracy rządowej i dyplomatycznej.

O! Jaki wtedy podniósł się szum! „Jan Piekło w Kijowie. Radość banderowców, smutek ich ofiar – pisał ks. Isakowicz-Zaleski. – Nowy ambasador od lat stara się w swoich publikacjach i wywiadach przedstawiać UPA jako »organizację narodowowyzwoleńczą«. Co więcej, usprawiedliwia jej gloryfikację, która obecnie na Ukrainie jest odgórnie wprowadzana przez prezydenta Petra Poroszenkę i parlament w Kijowie. Dla przykładu, rok temu w wywiadzie dla »Dziennika Polskiego« Jan Piekło powiedział: »Nie widzę nic złego w tym, że Ukraina chce uczcić ludzi, którzy walczyli z komunistycznym reżimem. Zdarzył się wtedy epizod bratobójczej walki między Ukraińcami a Polakami, doszło do zbrodni wołyńskiej, ale to tylko część historii UPA, która ma również inne karty«". Hospody pomyłuj! Ludobójstwo dokonane na ponad 150 tys. bezbronnych mieszkańcach polskich wiosek jest tylko „epizodem"?

Piekło był w Kijowie do roku 2019, kiedy zastąpił go Bartosz Cichocki. Można mówić, że to było podniesienie rangi – Cichocki wcześniej, przez dwa lata, był w MSZ podsekretarzem stanu ds. bezpieczeństwa, polityki wschodniej i polityki europejskiej. A jeszcze wcześniej – doradcą szefa Agencji Wywiadu. Ale co z tego, skoro za jego czasów polityka Polski wobec Ukrainy wciąż wyglądała niemrawo.

O następcy Cichockiego, Jarosławie Guzym, nie ma co wspominać, bo to była jego pierwsza praca w MSZ, no i był w ambasadzie kilka miesięcy. Zastąpił go Piotr Łukasiewicz, pułkownik rezerwy, były attaché wojskowy w Afganistanie, a później ambasador w tym kraju. Czyli człowiek od spraw wojennych.

Wnioski z tego przeglądu nasuwają się same – Ukraina traktuje nas znacznie poważniej, niż my traktujemy Ukrainę. Nie miejmy więc pretensji, że tak niewiele nam wychodzi.

Attaché



Reprezentacja Wielkiej Brytanii podczas finału programu dowolnego zespołów w pływaniu artystycznym na Mistrzostwach Europy w sportach wodnych (LEN). Olympic Aquatics Centre w Saint-Denis pod Paryżem, 3 sierpnia 2026 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl ec8301456a







PENETRACJE

PANI

PAWEŁ SOŁTYS, PABLOPAVO,
PISARZ, WOKALISTA

Na ceremonii rozdania Nike byli moi rodzice. Mama jeszcze żyła. Przez lata mieli ze mną ciężko, nie byłem grzecznym dzieckiem. Wyrzucili mnie z jednej podstawówki, w liceum ciągle byłem zagrożony. Studiowałem 10 lat i nie skończyłem. Przysporzyłem im wiele łez i nerwów. Dzisiaj to rozumiem, bo mam córkę. Dziecko zmienia perspektywę. Na Nike rodzice siedzieli z tyłu, ja wśród nominowanych, w pierwszym rzędzie. Odwróciłem się w pewnym momencie i zobaczyłem ich dumę. To było wspaniałe uczucie. Mój tata lubi toasty. Jest ze starej szkoły – nie chodzi o to, żeby sobie dolewać, tylko żeby celebrować ważne chwile. Po wydaniu „Mikrotyków" wygłosił długą mowę o tym, jaki jest ze mnie dumny. Strasznie się popłakałem.

ZDANIE

DR MACIEJ PACH,
KONSTYTUCJONALISTA, PAN

Utworzenie sądu konstytucyjnego było jednym z postulatów m.in. NSZZ Solidarność, a wyciągając pewne wnioski z wydarzeń 1980 r., władza komunistyczna postanowiła pójść na częściowe ustępstwa. W ramach tych koncesji uchwalono Ustawę z dnia 26 marca 1982 r. o zmianie Konstytucji PRL, na mocy której zainstalowano w polskim ustroju dwa trybunały: Trybunał Konstytucyjny i Trybunał Stanu. (…) Organ ten szybko zaczął zyskiwać dość powszechne uznanie. W znacznej mierze było to zasługą poważnego potraktowania przez Sejm kwestii wyróżnienia się wiedzą prawniczą przez członków TK. Rzeczywiście, w tamtym czasie do sądu konstytucyjnego wybierano bardzo dobrych prawników. Wspominiał o tym zresztą wielokrotnie podczas publicznych spotkań prof. Andrzej Zoll, jako żywo niebędący osobą związaną z władzą PRL, za to będący kimś, kto miał okazję orzekać z „pierwszym składem" TK już po przełomie ustrojowym lat 1989-1990.

na szczycie

ALICJA CIELOCH,
AUTORKA „POLSKA ROWEREM. NAJLEPSZE TRASY NA KRÓTSZE I DŁUŻSZE WYPRAWY"

Warto się wybrać na Velo Dunajec czy Velo Czorsztyn. To piękne szlaki, choć bardzo znane. Widoki z trasy Velo Czorsztyn to jedne z najpiękniejszych, jakich doświadczyłam. I to jest cudowne, że mamy taki szlak, bo jest dla każdego. Trasa wokół Jeziora Czorsztyńskiego liczy ok. 30 km z przeprawą promową lub ok. 40 km przy objeździe całego jeziora. Z pięknymi widokami na Pieniny, Tatry i Spisz. Świetną propozycją na dłuższą wyprawę jest Velo Dunajec. Szczególnie malowniczy jest odcinek przez Przełom Dunajca – od Nowego Targu przez Szczawnicę do Czerwonego Klasztoru. Cały szlak jest dość wymagający, liczy ok. 240 km i dobrze sprawdza się jako kilkudniowa wycieczka.

VIVA!

AGA ZARYAN,
ARTYSTKA JAZZOWA

Mam dwie strony, na scenie częściej pokazuję moją liryczną stronę, na bardziej dynamiczny i szalony album czekają moje przyjaciółki, które od lat powtarzają: „Pokaż swoją dziką, nieokiełznaną stronę, którą znamy od lat". Nadejdzie i na taką płytę czas. Muzyka mnie uspokaja, wycisza. To przeciwwaga do tego, co dzieje się w życiu prywatnym, gdzie na ogół się śpieszę i jestem w biegu. W muzyce mogę też wyrazić sprzeciw, przeciwstawić się temu, co mnie boli. Śpiewając, opowiadam o tym, co dla mnie ważne.

FOT. AMEM, SEKCJA GIMNASTYCZNA, POLSKA ORKA POLITYCZNA

eprasa.pl ec8301456a

BRAKUJĄCE LITERY

W każdym rzędzie wstaw po 6 liter, tak aby odczytać trzy hasła – rozwiązania.

SŁWAOODAŻNIKMŚI

WONOŁACITOSYBOPIE

ŻDAMĄROĆNIEJSTNOW

SŁOWA TO ODWAŻNIKI MYŚLI, WOLNO PŁACI KTO SZYBKO PIJE, ŻADNA MĄDROŚĆ NIE JEST NOWA



Aby język giętki…

KRZYSZTOF VARGA
O PLANACH KAROLA NAWROCKIEGO

Nie spocznie, dopóki nie zniszczy swoich wrogów.

WOJCIECH SZACKI
O MATEUSZU MORAWIECKIM

Na grillu mówił do wszystkich i do nikogo.

ANDRZEJ STANKIEWICZ
O PROF. ANDRZEJU NOWAKU

W polityce jest naiwny. Dlatego też idealnie nadawał się na autora wywiadu rzeki z Nawrockim.

ANDRZEJ SEWERYN O ANDRZEJU WAJDZIE

Mówił, że jeśli film jest dobry, to jest to zasługa zespołu. Ale jeśli jest zły – to wina reżysera. Brał odpowiedzialność za swoje niepowodzenia.

AGNIESZKA SMOCZYŃSKA O AI

Robimy wszystko, wszędzie, naraz. AI także nie spowoduje, że zwolnimy. Będziemy żyć i pracować jeszcze szybciej i jeszcze intensywniej.

ANDRZEJ BARGIEL O WYJĄTKOWEJ DRODZE

Rampa na Eigerze, niespełna 4 tys. m, ale uważana za jedną z najtrudniejszych na świecie. Zjazd jest po prostu kosmiczny.

MARIA DĘBSKA O ŁATCE TRUDNEJ

Wolę być trudna niż żadna. Nie zadowolę wszystkich.

JAGODA SZELC O SNACH

Porządkują rzeczywistość, nawet jeśli wydają się chaotyczne. Pokazują nasze lęki, pragnienia, to o czym na jawie nie chcemy pamiętać.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański **j.domanski@tygodnikprzeglad.pl**
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz **a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl**
Marzena Michałek **m.michalek@tygodnikprzeglad.pl**
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł **i.morzol@tygodnikprzeglad.pl**
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek **a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl**
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska **j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl**
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl ec8301456a

Leszek Żebrowski. Plakaty





Wystawa prezentuje twórczość Leszka Żebrowskiego – jednego z najwybitniejszych współczesnych polskich plakacistów, którego dorobek od kilkudziesięciu lat zajmuje ważne miejsce w historii polskiej i światowej sztuki plakatu. Na ekspozycji zaprezentowano wybór prac ukazujących charakterystyczny język artysty, oparty na syntetycznej formie, sile metafory i wyjątkowej umiejętności budowania znaczeń za pomocą oszczędnych środków wyrazu. Twórczość Żebrowskiego wykracza poza funkcję plakatu użytkowego, łącząc projektowanie graficzne ze sztuką nowoczesną. Wystawa przybliża dorobek autora nagradzanego na prestiżowych konkursach i biennale na całym świecie, którego prace od dekad pozostają jednym z najważniejszych przykładów współczesnej polskiej szkoły plakatu.

Rzeszów
Biuro Wystaw Artystycznych
ul. Jana III Sobieskiego 18
do 30 sierpnia







FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl ec8301456a



Dołącz do nas na
szlachetnapaczka.pl

szlachetna
PACZKA

eprasa.pl ec8301456a

TEATR CAPITOL

PREMIERA
WRZESIEŃ 2026



reżyseria
JERZY BONCZAK

reżyseria
ROBIN HARDY

LEWE INTERESY

przekład
ELŻBIETA WOŹNIAK

TOMASZ **DEDEK** · ARKADIUSZ **DETMER** · MAGDALENA **DWURZYŃSKA** · PIOTR **JANUSZ** · JUSTYNA **JELEŃ** · SEBASTIAN **KONRAD** · MIROSŁAW **KRAWCZYK** · PAULINA **LASOTA** · JACEK **LENARTOWICZ** · ILSA **ŁASAK** · BARTOSZ **OBUCHOWICZ** · WOJCIECH **STENCEL** · MACIEJ **WILEWSKI** · PIOTR **ZELT**

• KUP BILET TEATR CAPITOL • www.teatrcapitol.pl

Patroni Medialni

Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl ec8301456a